

**William Golding**

# **Rytuały morza**

**I tom Trylogii Morskiej**

**Przekład: Arkadiusz Nakoniecznik**

# 1

Czcigodny ojciec chrzestny!

Tymi słowami rozpoczynam dziennik, który postanowiłem prowadzić z myślą o Tobie. Żadne inne słowa nie byłyby bardziej na miejscu.

Dobrze więc. Najpierw miejsce: wreszcie na pokładzie statku. Rok: sam wiesz. Dokładna data? Pierwszy dzień mojej podróży na drugą stronę świata - tylko to się teraz liczy. Dlatego właśnie u góry tej strony postawiłem cyfrę jeden. Wszystko, co teraz napiszę, to relacja z pierwszego dnia naszej żeglugi. Ani miesiąc, ani dzień tygodnia niewiele by znaczyły, ponieważ w drodze z południowej Anglii na antypody dane nam będzie zaznać wszystkich czterech pór roku.

Rano, przed opuszczeniem domu, złożyłem wizytę moim młodszym braciom, którzy przyjęli mnie tak, jak się tego mogłem spodziewać: Lionel odtańczył coś, co jego zdaniem miało być wojennym tańcem aborygenów, mały Percy natomiast padł na wznak i trzymając się kurczowo za brzuch wydawał przeraźliwe jęki, dając mi w ten sposób wyobrażenie o cierpieniach, jakich by zaznał zjadłszy mnie na obiad. Przywołałem ich do porządku paroma szturchańcami, a kiedy obaj mieli już odpowiednio poważne miny, zszedłem na dół, gdzie czekali rodzice. Moja matka uroniła kilka łez - jestem pewien, że najzupełniej prawdziwych, ponieważ i ja czułem w piersi ciepło zupełnie niemęskiego wzruszenia. Ha, nawet mój ojciec... Na moment wszyscy poszliśmy w ślady sentymentalnego Goldsmitha i Richardsona, zapominając o dziarskim Fieldingu i Smolletcie! Wasza lordowska mość z pewnością nabrałby wysokiego mniemania o mych zaletach, gdyby usłyszał te wszystkie rozpaczliwe inwokacje - zupełnie jakbym był skazańcem zakutym w kajdany, nie zaś młodym dżentelmenem, który ma pomagać gubernatorowi w zarządzaniu jedną z kolonii Jego Wysokości! Jednak manifestacja rodzicielskich (a także synowskich) uczuć pozwoliła mi odzyskać równowagę ducha. Okazało się, panie, iż twój chrześniak jest w głębi serca całkiem porządnym chłopcem: do swego zwykłego stanu wrócił dopiero w powozie, za pierwszym zakrętem drogi przy starym młynie.

Jestem więc na pokładzie. Przekroczyłem wybrzuszoną nasmołowaną burtę, która dawno temu mogła być jedną z groźnych „drewnianych fortyfikacji obronnych” Brytanii, schyliwszy się wszedłem przez niskie drzwi do jakiegoś pogrążonego w ciemności pomieszczenia... I niewiele brakowało, bym udławił się własnym oddechem. Dobry Boże, cóż

za straszliwy smród! W mroku nieznacznie tylko rozjaśnionym sztucznym światłem trwała gorączkowa krzątanina. Jakiś osobnik, który przedstawił się jako mój służący, zaprowadził mnie do czegoś w rodzaju dużej skrzyni ustawionej przy burcie statku i oświadczył, iż jest to moja kajuta. Człowiek ów utyka na jedną nogę, z pewnością liczy sobie wiele lat, ma twarz o ostrych rysach oraz lśniąco łysiną na szczycie czaszki, okoloną sterczącymi we wszystkie strony siwymi włosami.

- Dobry człowieku, czy możesz mi wyjaśnić, skąd ten smród? - zapytałem.

Zaczął żywo rozglądać się dokoła, jakby spodziewał się raczej ujrzeć go niż poczuć.

- Smród, panie? Jaki smród?

- Ten smród - odparłem, zasłaniając sobie nos ręką. - Fetor, odór... Nazwij go sobie, jak chcesz.

Pogodny drań z tego Wheelera. Obdarzył mnie tak promiennym uśmiechem, jakby nagle pokład nad naszymi głowami rozstał się, wpuszczając do wnętrza blask słońca.

- Szybko pan do niego przywyknie.

- Nie mam najmniejszego zamiaru do niego przywykać. Gdzie jest kapitan tego statku?

Wheeler błyskawicznie zalał wodą płomień swego uśmiechu i otworzył drzwi kajuty.

- Kapitan Anderson też nic na to nie poradzi, proszę pana - poinformował mnie. - Nowsze statki mają balast z żelaza, ale w naszym jest piasek i żwir. Gdyby ta łajba była w średnim wieku, że tak powiem, pewnie wymieniliby go na żelazo, ale ponieważ jest bardzo stara, to nie ma odważnego, który zechciałby tam grzebać.

- Nie dziwię się, bo sądząc po zapachu, macie tam chyba cmentarz!

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wiem, proszę pana, bo jestem tu od niedawna. Proszę teraz wygodnie usiąść, a ja przyniosę brandy.

Zniknął, zanim zdążyłem zebrać się na odwagę, by mu odpowiedzieć, gdyż wiązałoby się to z koniecznością głębszego zaczerpnięcia powietrza.

Jeśli wasza lordowska mość pozwoli, to opiszę mu teraz moją tymczasową kwaterę - tymczasową, gdyż zamierzam już wkrótce zażądać kajuty z prawdziwego zdarzenia. W maleńkiej komórcie znajduje się koja przypominająca wąskie koryto umocowane do burty statku, pod nią dwie szuflady, w jednym końcu opuszczana kłapa, która może pełnić funkcję biurka, w drugim natomiast brezentowa miednica na metalowym trójnogu, pod którym stoi wiadro. Ufam, iż na statku jest jednak pomieszczenie przeznaczone specjalnie do zaspokajania naturalnych potrzeb organizmu! Na ścianie nad miską pozostało nieco miejsca

na lustro, a w nogach koi wiszą dwie półki na książki. Jedynym ruchomym sprzętem w tym eleganckim salonie jest płócienne krzeselko. W drzwiach na poziomie oczu znajduje się spory otwór, przez który do wnętrza przedostaje się nieco światła, na obu bocznych ścianach natomiast zainstalowano po kilka haków. Szpary w podłodze - to znaczy w pokładzie - są wystarczająco szerokie i głębokie, by skręcić sobie nogę w kostce. Właściwie nie są to szpary, lecz bruzdy wyżłobione przez żelazne koła dział, kiedy jeszcze okręt ten był na tyle młody i dziarski, by nieść je na swoich pokładach. Boczne ściany komórki, podobnie jak frontowa, wyglądają na całkiem nowe, natomiast sufit oraz burta nad koją są stare, zniszczone i noszą ślady wielokrotnych napraw. Niech sobie wasza lordowska mość wyobrazi mnie, żyjącego w takich warunkach! Tymczasem jednak postanowiłem traktować to wszystko jako żart - przynajmniej do chwili, kiedy uda mi się porozmawiać z kapitanem. Smród zresztą przestał już tak bardzo dawać mi się we znaki, a po wypiciu szklaneczki brandy doszedłem do wniosku, iż właściwie mógłbym się nawet do niego przyzwyczaić.

Jakże hałaśliwy jest ten drewniany świat! Wiejący z południowego zachodu wiatr huczy i świszczy w olinowaniu, wściekle szarpiąc zwiniętymi żaglami. (Mogę właściwie powiedzieć: naszymi żaglami, gdyż postanowiłem wykorzystać długą podróż na dokładne zaznajomienie się ze wszystkim, co dotyczy morskiej żeglugi). Niesiony nagłymi podmuchami porywistego wiatru deszcz łomocze w pokłady burty i nadbudówki, a jakby tego jeszcze było mało, gdzieś z przedniej części statku dobiega nieustanne beczenie owiec, porykiwanie bydła, krzyki mężczyzn, a nawet wrzaski kobiet. Moja komórka jest zaledwie jedną z tuzina, ciągnących się wzdłuż tej burty; naprzeciwko znajduje się szereg identycznych kajut, pośrodku natomiast pozbawiony jakichkolwiek ozdób korytarz, przedzielony w połowie potężnym cylindrem bezanmasztu. Wheeler zapewnia mnie, iż posuwając się korytarzem w kierunku rufy dojdzie się do salonu dla pasażerów, na drugim jego końcu zaś są pomieszczenia służące czynnościom całkowicie odmiennej natury. W słabo oświetlonym korytarzu stoją grupkami lub przechadzają się jacyś ludzie; należy przypuszczać, iż to pasażerowie. Przyczyn, jakie skłoniły lordów Admiralicji do przekształcenia tej jednostki w statek służący do przewozu zarówno pasażerów, jak i zwierząt oraz towarów, należy upatrywać w tym, że dżentelmeni ci naprawdę nie mieli możliwości wyboru, zajmąwszy uprzednio dla potrzeb Marynarki i uzbroiwszy ponad sześćset statków.

Wheeler poinformował mnie przed chwilą, iż za godzinę, to znaczy o czwartej, zostanie podany obiad. Kiedy powiedziałem mu, że zamierzam wykorzystać okazję, aby zażądać lepszej kwatery, zastanowił się przez chwilę, po czym odparł, iż sprawa ta może nastęrczyć nieco problemów i że jego zdaniem powinienem się chwilowo wstrzymać z

przedstawieniem swoich życzeń. Wyraziłem wówczas oburzenie, jak ktoś mógł wpaść na pomysł, aby skierować na tak długą trasę statek znajdujący się w równie opłakanym stanie. Mój służący, stojąc w drzwiach komórki z serwetką przewieszoną przez ramię, uraczył mnie kilkoma próbkami marynarskiej filozofii, w rodzaju: „Szanowny panie, ta łajba i tak będzie pływała dopóki nie zatonie”, oraz „Szanowny panie, każdy statek i tak prędzej czy później pójdzie na dno”. Oświecił mnie także, iż statek długo stał w stoczni jedynie z bosmanem i cieślą na pokładzie, którzy mieli wyszukać i naprawić wszelkie usterki, że znacznie lepiej jest stosować stare dobre cumy, a nie żelazne łańcuchy, które przy spuszczeniu i wciąganiu kotwicy klekocą niczym zęby nieboszczyka, oraz że obijanie dna statku miedzianymi blachami nie ma najmniejszego sensu. Po jego przemowie poczułem, jak moje serce opada z łoskotem na sam spód łajby, tam, gdzie mieści się ów cuchnący balast. Chyba popłynę najstarszym statkiem naszej floty, jego pierwszym dowódcą był nie kto inny tylko kapitan Noe! Na odchodnym Wheeler pocieszył mnie, że „podczas sztormu na tej skorupie możesz pan czuć się bezpieczniej niż na niejednym statku o bardziej sztywnej konstrukcji”. Bezpieczniej, dobre sobie! „Bo, widzisz pan, jak przyjdzie mocniejsze uderzenie fali, nasz kadłub poddaje mu się jak stary bucior”.

Jeśli mam powiedzieć prawdę waszej lordowskiej mości, po tej rozmowie dobroczynne działanie brandy minęło bez śladu. Wkrótce potem poinformowano mnie, że muszę natychmiast wyjąć z kufrów wszystko, czego będę potrzebował w czasie podróży, gdyż zaraz potem bagaże trafią do luków, gdzie nie będzie do nich dostępu! Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto mógłby odwołać ten idiotyczny rozkaz, toteż, rad nie rad, kazałem Wheelerowi wziąć się do rozpakowywania, sam natomiast zacząłem ustawiać książki na półce, niewiele później zaś ujrzałem, jak mój bagaż niknie w czeluściach statku. Z pewnością byłbym wściekły, gdyby nie to, że wszystko upodobniło się do farsy. Sporo zadowolenia sprawiła mi możliwość podsłuchania rozmowy dwóch ludzi, którzy zjawili się po kufry; posługiwali się niemal wyłącznie słowami, jakich nie sposób usłyszeć na stałym lądzie. Położyłem sobie przy poduszce „Słownik morski” Falconera, gdyż zamierzam już wkrótce opanować marynarski język równie doskonale, jak każdy z tych chodzących rozkołysanym krokiem mężczyzn.

## Później

Jedliśmy w wielkim pomieszczeniu przy dwóch stołach ustawionych w pobliżu dużego rufowego okna. Nikt nic nie wiedział. Nie zjawił się żaden z oficerów, służba była mało uprzejma, jedzenie nędzne, pasażerowie mieli podłe nastroje, ich żony zaś wydawały się bliskie hysterii, lecz roztaczający się z okna widok zakotwiczonych statków zapierał dech w piersi i pozwalał zapomnieć o całym bałaganie. Według Wheelera, mojej podpory i przewodnika, one także wchodzi w skład naszego konwoju. Zapewnił mnie również, iż niebawem zamieszanie dobiegnie końca, oraz że - jak się wyraził - „wszystko się ułoży”, przypuszczalnie tak samo, jak piach, który ułożył się na spodzie statku, aż wreszcie i my zaczniemy cuchnąć tak jak ten wiekowy balast. Wasza lordowska mość z pewnością doszuka się w moich słowach odrobiny rozdrażnienia istotnie, gdyby nie znośne wino, byłbym po prostu wściekły. Nasz Noe, czyli niejaki kapitan Anderson, nie raczył się pojawić. Przy pierwszej sposobności poinformuję go o mojej obecności na pokładzie, ale dziś jest już ciemno. Jutro z samego rana zamierzam rozpocząć zaznajamianie się z topografią statku, a przy okazji być może uda mi się zawrzeć znajomość z jakimś przyzwoitym oficerem, naturalnie jeśli tacy tutaj w ogóle są. Wśród pasażerów znajduje się sporo dam: młode, w średnim wieku, a także zupełnie stare. Zauważyłem też kilku wiekowych dżentelmenów, młodego oficera sił zbrojnych oraz jeszcze młodszego pastora. Nieszczęśnik usiłował przed posiłkiem odmówić modlitwę, a kiedy jego nieśmiała propozycja nie spotkała się z żadnym odzewem, zapłoniony jak panna młoda usiadł na swoim miejscu przy stole. Nie widziałem natomiast pana Prettimana, ale przypuszczam, że on także jest na pokładzie.

Wheeler zapowiedział, że w nocy wiatr zmieni kierunek, a wówczas podniesiemy kotwicę, postawimy żagle i z chwilą rozpoczęcia odpływu wyruszymy w drogę. Odparłem na to, iż jestem całkiem niezłym żeglarzem, a wówczas dostrzegłem na jego twarzy coś jakby przelotny grymas rozbawienia, który co prawda trudno nazwać uśmiechem, ale właściwie mógłby nim być. Natychmiast postanowiłem, że przy pierwszej nadarzającej się okazji nauczę go dobrych manier... Nagle, właśnie teraz, kiedy piszę te słowa, w otaczającym mnie drewnianym świecie zaszły zmiany. Z góry dobiegają przekleństwa oraz łopot płótna, co chwila rozlega się przenikliwy świergot gwizdków... Dobry Boże, czy to możliwe, żeby takie odgłosy wydobywały się z ludzkich gardel? A to, to był huk działa! Przed moją kajutą jeden z pasażerów potknął się o coś i z głośnym przekleństwem runął na deski, damy krzyczą, było

ryczy, a owce beczą. Na statku zapanował całkowity rozgardiasz. Może więc to było beczy, owce ryczą, damy natomiast przeklinają na czym świat stoi? Płócienna miska, którą Wheeler napełnił wodą, przesunęła się nieco na swym trójnogu.

Nasza kotwica została podniesiona z piasku i żwiru Starej Anglii. Przez trzy, a może cztery lub pięć lat, nie będę miał żadnego kontaktu z ojczystą ziemią. To smutna myśl, mimo tego, że przecież czeka mnie interesująca praca oraz, być może, wiele przygód.

Skoro więc daliśmy się opanować poważnemu nastrojowi, czy godzi się, abym zakończył relację z pierwszego dnia podróży czymś innym niż wyrazami mojej najgłębszej wdzięczności? Ty, ojcie chrzestny, pomogłeś mi postawić stopę na pierwszym szczeblu drabiny i bez względu na to, jak wysoko uda mi się wspiąć - ostrzegam waszą lordowską mość, że moje ambicje nie znają granic! - nigdy nie zapomnę, czyja życzliwa dłoń pomogła mi uczynić pierwszy krok. O to, aby nie okazał się niegodnym tej pomocy, ani nie zrobił nigdy czegoś, co mogłoby przynieść wstyd waszej lordowskiej mości, gorąco modli się wdzięczny syn chrzestny.

Edmund Talbot

Umieściłem cyfrę dwa na początku strony, mimo iż nie wiem, ile wydarzeń uda mi się zrelacjonować w tym jednym wpisie do dziennika. Okoliczności nie sprzyjają trzymaniu się zasad przemyślanej kompozycji. Jestem tak osłabiony po częstych odwiedzinach w... toalecie? ubikacji?... doprawdy nie wiem, jak powinienem nazywać owo miejsce, ponieważ to, co w marynarskim języku nazywa się „toaletą”, znajduje się co prawda w dziobowej części statku, ale młodzi dżentelmeni powinni korzystać z kabiny umieszczonej w rufowej części nadbudówki, oficerowie natomiast... Nie mam pojęcia, z czego powinni korzystać oficerowie. Bezustanny ruch statku oraz konieczność ciągłego dostosowywania do niego położenia ciała sprawiają, iż...

Wasza lordowska mość był łaskaw polecić mi, abym niczego nie ukrywał. Czy nie przypominasz sobie, panie, jak obejmując mnie przyjaźnie wyszedłeś ze mną z biblioteki, pokrzykując jowialnie, tak jak zwykleś często czynić: „Opowiadaj o wszystkim, chłopcze! Niczego nie przemilczaj! Pozwól, abym dzięki tobie mógł jeszcze raz przeżyć młodość!” A więc prawda przedstawia się w ten sposób, że zostałem złożony chorobą morską i prawie nie opuszczam koi. Seneka także cierpiał na tę samą przypadłość, ale jeśli takiego stoika jak on pokonało kilka mil pokrytej zmarszczkami wody, to co się stanie z nami, nieszczęsnymi, na otwartym morzu?

Kiedy leżałem zupełnie bez sił, z twarzą mokrą od słonych łez, otworzyły się drzwi i do kajuty wkroczył Wheeler. Okazał się jednak porządnym człowiekiem, gdyż, wysłuchawszy moich wyjaśnień, ochoczo przyznał mi rację.

- Już niedługo będzie pan mógł skakać i tańczyć przez całą noc. Gdyby mnie, albo jakiegoś innego marynarza, wsadzić na konia, na pewno czulibyśmy się tak, jakby nerki objęły nam się o kolana.

Jęknąłem coś w odpowiedzi, a zaraz potem usłyszałem odgłos, jaki wydaje odkorkowywana butelka.

- Niech pan sobie pomyśli, że po prostu uczy się pan „ujeżdżać statek”, tak jak kiedyś uczył się pan jeździć na koniu. Wkrótce opanuje pan tę umiejętność.

Ta myśl istotnie podniosła mnie nieco na duchu, nie tak bardzo jednak, jak cudowny zapach, który owiał mą duszę niczym ciepły południowy wiatr. Otworzyłem oczy i cóż ujrzałem? Wheelera trzymającego szklanek z najwspanialszym środkiem uśmierzającym, jaki



kiedykolwiek wynaleziono. Znajomy smak natychmiast przywiódł mi na myśl najszcześniejsze chwile dzieciństwa; odprawiwszy Wheelera przez chwilę drzemałem, a potem zapadłem w głęboki sen. Dobra miarka wyciągu z maku więcej pomogłaby staremu Senece niż cała jego filozofia!

Obudziłem się w całkowitej ciemności i początkowo nie wiedziałem gdzie jestem. Niestety, gwałtowne kołysanie, chyba jeszcze bardziej intensywne, szybko mi o wszystkim przypomniało. Zawołałem Wheelera, lecz dopiero kiedy powtórzyłem wezwanie po raz trzeci - opatrując je większą liczbą przekleństw, niż nakazywałby zdrowy rozsądek oraz zasady dobrego wychowania - służący zjawił się w mojej komórce.

- Pomóż mi wstać, Wheeler! Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Proszę leżeć spokojnie, łaskawy panie, a ręczę, że już niedługo będzie pan zdrow jak ryba. Jeśli pan chce, mogę podać panu miskę.

Czy może być coś głupszego od zapewnienia kogoś cierpiącego na chorobę morską, że wkrótce poczuje się jak ryba, która, o czym powszechnie wiadomo, żyje właśnie w wodzie? Skłamałem Wheelera na czym świat stoi, po czym okazało się, że jednak potrafi mówić z sensem. Wyjaśnił, że idziemy w silnym wietrze, oraz że jego zdaniem moje palto, na które mogłem założyć obszerną pelerynę, jest stanowczo zbyt eleganckie, aby narażać je na kontakt ze słoną morską wodą. Z tajemniczą miną dodał, iż nie chce, abym wyglądał jak kapelan. Poinformował mnie również, że tak się szczęśliwie składa, iż on, Wheeler, dysponuje zupełnie nowym, żółtym płaszczem nieprzemakalnym, nabytym od pewnego dżentelmena, który z jakichś przyczyn musiał zrezygnować z podróży, i że byłby skłonny odstąpić mi go dokładnie za tę sumę, za jaką go kupił. Gdybym chciał, pod koniec podróży mógłbym odkupić go z powrotem, naturalnie za niższą cenę, jako że płaszcz będzie już wtedy używany. Bez namysłu przyjąłem jego ofertę, ponieważ marzyłem tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się na świeżym powietrzu, on zaś błyskawicznie zakutał mnie w płaszcz, wsadził mi na nogi buty z indyjskiego kauczuku i wetknął na głowę żółty, nieprzemakalny kapelusz. Żałuję, że wasza lordowska mość nie widział mnie, gdyż mimo podłego samopoczucia z pewnością mogłem uchodzić za najprawdziwszego marynarza. Następnie z pomocą Wheelera wydostałem się na zalany wodą korytarz.

Przez cały czas mełł ozorem, udzielając mi dobrych rad, między innymi i takiej, że chodząc po statku trzeba nauczyć się, zaleźnie od potrzeb, stąpać mocniej którąś z nóg, tak jak czynią górskie owce. Odparłem z rozdrażnieniem, że od chwili, kiedy podczas niedawnego pokoju odwiedziłem Francję, jestem w stanie odpowiednio zareagować na przechył statku, gdyż, jako żywo, nie pokonywałem Kanału maszerując po wodzie.

Wyszedszy na śródokręcie oparłem się o parapet na bakburcie, to znaczy na tej, która znajdowała się dużo niżej niż przeciwna. Nad moją głową wiatr świszczął i gwizdał w drabinkach wantowych - dzięki ci, Falconerze! - oraz płataninie bezimiennych, niezliczonych lin. Słońce jeszcze nie zaszło, ale od wysoko podniesionej sterburty co chwila nadlatywały bryzgi wody i piany, a gnane wiatrem chmury zdawały się zawadzać brzuchami o maszty. Nie byliśmy sami: pozostałe statki wchodzące w skład naszego konwoju zapaliły już światła pozycyjne, ale i tak co chwila nikły za zasłoną wodnego pyłu i mgły zmieszanej z deszczem. Z rozkoszą napełniłem płuca wilgotnym, rześkim powietrzem, żywiąc w duchu nadzieję, że ta szalona nawałnica wygna z wnętrza statku przynajmniej część nieznośnego fetoru. Po raz pierwszy od chwili, kiedy podniesiono kotwicę, poczułem zainteresowanie światem oraz chęć intelektualnego zmierzenia się z jego wyzwaniem. Spojrzawszy w górę i do tyłu zobaczyłem dwóch ludzi przy kole sterowym: czarne sylwetki w brezentowych płaszczach, o twarzach oświetlonych blaskiem bijącym od kompasu. Spoglądali nań co chwila, by zaraz potem skierować wzrok na wydęte wiatrem żagle. Było ich niezbyt wiele - sądziłem, że z powodu niesprzyjającej pogody, lecz później dowiedziałem się od Wheelera, tego chodzącego Falconera, iż nie wciągnęliśmy na maszty więcej płótna tylko dlatego, by nie oderwać się od konwoju, w którym byliśmy jednym z najszybszych statków. Nie mam pojęcia, skąd on o tym wie, ani czy sobie wszystkiego nie zmyśla, ale twierdzi, że koło Ushant spotkamy się z eskadrą okrętów wojennych, z których jeden będzie nas konwojował do szerokości Gibraltaru, dalej zaś musimy radzić sobie na własną rękę, licząc na to, że sama wielkość konwoju oraz kilka dział, pozostałych na pokładach statków, uchronią nas przed atakiem nieprzyjaciela. Czy to w porządku? Czy ich lordowskie moście nie zdają sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwa narażają przyszłego sekretarza stanu? Miejmy nadzieję, że mimo wszystko wrócę cały i zdrow do domu. Kości zostały rzucone: nie pozostawiono mi wyboru, więc oparłem się mocno o parapet i szeroko otwartymi ustami łapałem powietrze zmieszane ze słoną morską wodą. Nie ulegało już dla mnie najmniejszej wątpliwości, iż choroba, na którą cierpiałem, w znacznie większej mierze była spowodowana zaduchem panującym pod pokładem, niż kołysaniem statku.

Mrok gęstniał z każdą chwilą, lecz ja trwałem na swoim miejscu. Mój upór został nagrodzony, zobaczyłem bowiem, czego szczęśliwie udało mi się uniknąć. Oto na zalewanym morską wodą i deszczem śródokręciu pojawił się pastor, bez wątpienia ten sam, który próbował odmówić modlitwę przed naszym pierwszym wspólnym posiłkiem, lecz został wysłuchany jedynie przez Wszechmogącego. Miał na sobie sięgające do kolan bryczesy oraz związaną pod szyją tasiemkami długą pelerynę, trzepoczącą na wietrze niczym ptak

uwięziony za szybą. Przyciskając oburącz kapelusz i perukę zataczał się to w lewo, to w prawo jak pijany krab. (Jestem pewien, że wasza lordowska mość widział pijanego kraba). Zamiast zsunąć się ku niżej położonej burcie, począł z wysiłkiem piąć się po stromiznie. Sądząc po wyglądzie jego twarzy, która przypominała kolorem niezbyt dojrzały, a już spleśniały ser, zamierzał lada chwila zwymiotować. Istotnie, uczynił to, zanim zdołałem krzyknąć ostrzegawczo, po czym padł na pokład, by niemal natychmiast dźwignąć się na kolana - jestem jednak pewien, że nie w celu odprawiania modłów! - i wstać na nogi w najmniej odpowiednim momencie, kiedy po silniejszym niż inne podmuchu wiatru pokład przechylił się jeszcze bardziej. Efekt był taki, że pastor z ogromną siłą został rzucony na bakburtę i ani chybi wyleciałby za parapet, gdybym nie chwycił go za kołnierz. Mignęła mi mokra, zielona twarz, a zaraz potem na pokład wybiegł człowiek, który opiekuje się pasażerami mieszkającymi w kabinach na sterburcie, chwycił go pod pachy, wymamrotał coś w rodzaju przeprosin, po czym zniknął z duchownym pod pokładem. Natychmiast zacząłem przeklinać pastora za to, że pobrudził mój zupełnie nowy płaszcz, ale w chwilę potem gwałtowny przechył statku spowodował, iż trafił we mnie silny strumień spienionej, słonej wody, usuwając z płaszcza wszystkie nieczystości. Twarz zapiekła mnie boleśnie, ale nie wiedzieć czemu mój nastrój uległ zdecydowanej poprawie. Cóż znaczą filozofia i religia, kiedy wiatr dmie jak szalony, a fale zalewają pokład? Stojąc przy parapecie i trzymając się jedną ręką szczebla drabinki zacząłem całkiem szczerze rozkoszować się całym tym zamieszaniem, które mogłem podziwiać w dogasającym świetle dnia. Nasz wielki stary statek płynął pod zrefowanymi żaglami, atakując fale niczym osiłek, który przeciska się przez gęsty tłum. Tak jak ów osiłek może czasem natrafić na podobnego sobie, tak i on (nasz statek), wyhamowywał raptownie, albo wznosił się wysoko, albo opadał w dolinę między falami, chwilami zaś można było odnieść wrażenie, iż otrzymał uderzenie w twarz, po którym gwałtowne drżenie przebiegało przez całe jego cielsko: od dziobu, poprzez śródkręcie aż do rufy. Pomału uczyłem się „ujeżdżać statek”, jak powiedziała by Wheeler. Maszty były lekko przechylone, w związku z czym wanty po nawietrznej napięły się wyraźnie, te po zawietrznej zaś zwisały luźno. Gruba lina prowadząca do brasu grota kolebała się po zawietrznej między masztami.

Myślę, że teraz właśnie nadeszła najodpowiedniejsza chwila, bym podzielił się z waszą lordowską mością swoim odkryciem. Otóż zrozumienie zasad funkcjonowania tego nadzwyczaj skomplikowanego mechanizmu, jakim jest żaglowiec, nie przychodzi stopniowo po wielogodzinnym ślęczeniu nad „Słownikiem morskim”, lecz zstępuje na człowieka niczym olśnienie, bez żadnego ostrzeżenia. Oczekując w półmroku na kolejną falę stwierdziłem

nagle, iż pojmuję statek nie tylko jako mechaniczne urządzenie, lecz także jako... Bo ja wiem, co? Chyba jako środek wiodący do wyznaczonego celu. Nie przypuszczałem, że może mi to sprawić tak wielką przyjemność! Natychmiast odzyskałem spokój ducha. Wreszcie odkryłem sens istnienia liny, uwiązanej do zawietrznego rogu żagla i wibrującej dziko kilka jardów nad moją głową. Jakby na potwierdzenie przełomu, jaki nastąpił w mym umyśle, po gwałtownym zderzeniu z falą, po którym pokład zalały bryzgi spienionej wody, wibracja liny uległa wyraźnej zmianie; odniosłem wrażenie, że ktoś chwycił ją w połowie, w wyniku czego jej dwie części zaczęły rysować na tle szarego nieba wąskie elipsy; zupełnie jakby skrzypek grający gamę dotknął strunę w jedynym właściwym miejscu, uzyskując dźwięk o oktawę wyższy od prymy.

Ten statek ma jednak więcej strun niż skrzypce, lutnia czy nawet harfa, i pod kierunkiem wiatru rozbrzmiewa nadzwyczaj dziką muzyką. Przyznam, iż w stanie, w jakim się wówczas znalazłem, chętnie powitałbym czyjeś towarzystwo, ale nie bardzo mogłem na to liczyć, gdyż przedstawiciela Kościoła na mych oczach siłą zawleczono pod pokład. Armia pozostawała w głębokim ukryciu, damy z pewnością nie opuszczały swych koi, co zaś tyczy się Marynarki... cóż, ta całkiem dosłownie znajdowała się w swoim żywiole. Okryci pelerynami marynarze stali tu i tam podobni do skał zalewanych co chwila falami, tylko ich twarze w pogłębiających się ciemnościach wydawały się jaśniejszymi plamami.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno wróciłem po omacku do kajuty i zawołałem Wheelera, który zjawił się prawie natychmiast, pomógł mi zdjąć wierzchnie okrycie i powiesił je na haku; natychmiast przekrzywiło się pod zwariowanym kątem. Kazałem mu przynieść lampę, a on odparł, że to niemożliwe, co, rzecz jasna, wprawiło mnie w zły humor. Otwierałem już usta, aby go obsztorcować, lecz Wheeler pospiesznie udzielił wyjaśnień, których sensowność byłem zmuszony zaakceptować. Lampy są dla statku wielkim zagrożeniem, bo kiedy się przewrócą, nie sposób opanować ognia; mogłem natomiast otrzymać świecę, naturalnie jeśli zechcę za nią zapłacić, ponieważ świeca gaśnie, kiedy spadnie ze stołu, a używając jej każdy i tak jest zmuszony przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności. On, Wheeler, ma spory zapas świec.

Powiedziałem mu na to, iż wydawało mi się, że tego rodzaju przedmioty można w całkiem zwyczajny sposób dostać u płatnika. Po krótkim milczeniu Wheeler przyznał mi rację, wyjaśniając jednocześnie, że ani przez chwilę nie przypuszczał, bym miał ochotę osobiście kontaktować się z tym człowiekiem, mieszkającym w odległej części statku i rzadko pokazującym się komukolwiek na oczy. Pasażerowie, tak mi tłumaczył, nie chcą mieć z nim nic do czynienia, toteż w tej materii zdają się całkowicie na służących, którzy pilnują, aby

transakcja była legalna i uczciwa.

- Sam pan wie, jacy oni są, ci płatnicy!

Odruchowo przyznałem mu rację, ale zaraz potem w mojej duszy zrodziły się podejrzenia dotyczące rzeczywistych powodów jego ojcowskiej troski oraz chęci wyręczenia mnie w tak prostej i mało nużącej czynności - jak wasza lordowska mość widzi, szybko wracałem do siebie - powziąłem więc w duchu postanowienie, żeby zawsze mieć go na oku i uprzedzać każdy jego ruch. Teraz, o jedenastej w nocy - czyli po szóstej szklance, według mojego słownika - ujrzałbyś mnie, ojcie chrzestny, siedzącego przy opuszczonym blacie nad stronicami mego dziennika. Jakimiż głupstwami jednak się zajmuję! Nie udało mi się jeszcze zamieścić opisu żadnego interesującego wydarzenia, ani okraszyć relacji bystrymi obserwacjami lub iskierkami humoru, którymi mam nadzieję w przyszłości zabawiać waszą lordowską mość. Pocieszam się jednak myślą, że nasza morska podróż dopiero się zaczęła.

Trzeci dzień upłynął przy chyba jeszcze gorszej pogodzie od tej, jaka towarzyszyła dwóm poprzednim. Nasz statek, a przynajmniej ta jego część, którą mam okazję oglądać, jest w opłakanym stanie: korytarz bez przerwy zalewa morską wodą, deszcz, a także płyną po nim inne, znacznie bardziej odrażające ciecze, które bez trudu znajdują sobie drogę między pokrywą luku a futryną. Rzecz jasna, nic do siebie nie pasuje - na całe szczęście, bo gdyby było inaczej, to co by się stało z tym nieszczęsnym statkiem przy gwałtownym przechyle na szczycie fali, po którym następuje zapierający dech w piersi spadek w spienioną dolinę? Dziś rano z wielkim trudem dotarłem do salonu, po to tylko, by się przekonać, iż nie ma mowy o tym, aby dostać coś gorącego do picia; kiedy spróbowałem wyjść, nie mogłem, ponieważ drzwi zaklinowały się na dobre. Najpierw kilka razy z irytacją naparłem na nie, potem szarpnąłem z całej siły, w następnej chwili zaś przekonałem się, że wiszę uciepiony klamki, gdyż statek gwałtownie zanurkował. Nie było w tym nic złego, ale to, co nastąpiło zaraz potem, omal nie zakończyło się dla mnie tragicznie: drzwi otworzyły się raptownie, klamka zatoczyła półkole, a ja razem z nią, i niewiele brakowało, bym z ogromną siłą rąbnął czaszką w ścianę. Ocalałem chyba tylko dzięki instynktowi, sprawiającemu, że kot zawsze spada na cztery łapy. Ta raptowna zmiana - od buntowniczego nieposłuszeństwa po zbytnią uległość - jaką zademonstrowały drzwi (jeden z najpospolitszych przedmiotów, z jakimi stykamy się w ciągu naszego życia, a któremu nigdy do tej pory nie poświęcałem większej uwagi), sprawiła, iż nagle byłem gotów dostrzec w tych paru deskach żywą istotę, z jakichś zagadkowych powodów pragnącą zrobić mi na złość. Mógłbym prawie uwierzyć, iż driady i hamadriady zamieszkujące drzewa, które posłużyły ongiś do zbudowania tego pływającego pudła, nie opuściły swych siedzib, i kryjąc się w niezliczonych deskach, belkach i dźwiżnicach wyruszyły z nami w morze! Nic podobnego; to tylko - mój Boże, ładne mi „tylko”! - nasz statek „poddawał się jak stary buciór”.

Drzwi znieruchomiały, zatrzymane metalowym zatrzaskiem przy poprzecznej grodzi rufowej, jak by powiedział Falconer, ja natomiast walczyłem na czworakach o utrzymanie równowagi, kiedy nagle ujrzałem jednego z poruczników, który zupełnie swobodnie szedł nachylony pod takim kątem w stosunku do pokładu stanowiącego dla mnie jedyną płaszczyznę odniesienia, iż całkiem niechcący sprawiał doprawdy przekornicze wrażenie. Wybuchnąłem szaleńczym śmiechem. Pomimo licznych siniaków poczułem, jak wraca mi

dobry humor. Po kilku próbach udało mi się dopełnić do stołu umieszczonego tuż przy wielkim rufowym oknie i zająć przy nim miejsce. Ma się rozumieć, stół oraz krzesła są na stałe przytwierdzone do podłogi. Czy powinienem uraczyć waszą lordowską mość dygresją na temat rodzajów śrub? Nie wydaje mi się to konieczne. Proszę więc, by wasza lordowska mość zechciał wyobrazić sobie, jak siedzę przy stole popijając piwo w towarzystwie wspomnianego wcześniej oficera<sup>3</sup> niejakiego Cumbershuma, który co prawda otrzymał patent oficerski w imieniu króla, a tym samym ma prawo być zaliczany w poczet dżentelmenów, lecz siorbie piwo z pogardą dla dobrych obyczajów godną jakiegoś furmana. Liczy sobie około czterdziestu lat i ma krótko ostrzyżone czarne włosy, które porastają mu czaszkę niemal do brwi. Został kiedyś zraniony w głowę i jest prawdziwym bohaterem, co naturalnie nie ma najmniejszego wpływu na jego maniery. Nie wątpię, że przed końcem podróży opowie nam swoją historię! Okazał się dość cennym źródłem informacji: według niego pogoda jest paskudna, choć mogłaby być gorsza, natomiast pasażerowie, którzy nie ruszają się ze swoich kabin - tu zerknął na mnie z ukosa - i spożywają tam lekkie posiłki, wykazali się wielkim rozsądkiem, ponieważ na pokładzie nie ma lekarza i każda złamana kończyna, jak się wyraził, oznaczałaby dla wszystkich ogromny kłopot. Lekarza nie mamy chyba dlatego, że nawet najgłupszy młody łapiduch jest w stanie znaleźć sobie lepszą posadę na łądzie. Po raz pierwszy przemknęła mi przez głowę myśl, że lekarz jest po trosze najemnikiem, nie zaś tylko zwykłym wykonawcą niezbyt interesującego zawodu, jak zawsze mi się do tej pory wydawało. Zauważyłem, iż w takim razie należy spodziewać się wysokiej śmiertelności wśród załogi i pasażerów, więc całe szczęście, że mamy przynajmniej kapelana, który będzie mógł udzielić wszelkich sakramentów, od pierwszego do ostatniego. Cumbershum zakrztusił się, odstawił kufel, nie wypuszczając go jednak z ręki, i rzekł ze szczerym zdumieniem:

- Kapelan, szanowny panie? Nie ma tu żadnego kapelana!

- Widziałem go na własne oczy, może mi pan wierzyć.

- To niemożliwe

- Jeśli się nie mylę, przepisy wymagają obecności duchownego na pokładzie każdego statku?

- Kapitan Anderson wolał jednak tego uniknąć, a ponieważ o kapelana jest teraz niemal tak samo trudno jak o lekarza, zapomnieć o tym pierwszym było niezmiernie łatwo, natomiast znalezienie drugiego okazało się całkowicie niemożliwe.

- Ależ, panie Cumbershum! Przecież powszechnie wiadomo, że marynarze są nadzwyczaj przesądni. Z pewnością odczuwacie potrzebę, by przynajmniej od czasu do czasu odprawić jakieś niewinne gusła?

- Nie kapitan Anderson, proszę pana. W tym względzie przypomina wielkiego kapitana Cooka, który był zaprzysięgłym ateistą i prędzej przyjąłby na pokład zadżumionego pasażera niż kapelana.

- Dobry Boże!

- Zapewniam pana, że tak właśnie było.

- Wobec tego w jaki sposób udaje wam się utrzymać porządek? Przecież jeśli usunie się zwornik, całe sklepienie natychmiast runie!

Cumbershum chyba nie zrozumiał ani słowa z moich dywagacji. Natychmiast zorientowałem się, że rozmawiając z tym człowiekiem powinienem oszczędniej korzystać z przenośni, więc ująłem rzecz innymi słowami:

- Załoga nie składa się wyłącznie z oficerów! Tam, na dziobie, mieszka gromada prostaków, od których posłuszeństwa zależy życie nas wszystkich oraz powodzenie wyprawy!

- Niczego im nie brakuje.

- Ależ... Jeżeli w przypadku państwa głównym argumentem przemawiającym za potrzebą popierania religii jest to, że w jednej ręce dzierży ona bicz, w drugiej zaś cokolwiek iluzoryczną nagrodę, tak tutaj...

Jednak pan Cumbershum otarł usta ręką i wstał zza stołu.

- Nie znam się na tych sprawach - odparł. - Wiem tylko tyle, że kapitan Anderson nie wzięby na pokład kapelana nawet gdyby ten sam się zgłosił. Człowiek, którego pan widział, jest jednym z pasażerów i wygląda na świeżo upieczonego duchownego.

Przypomniałem sobie, jak nieszczęśnik wspinał się po przechylonym pokładzie tylko po to, by wymiotować pod wiatr.

- Przypuszczalnie ma pan rację. Na pewno zaś jest bardzo świeżo upieczonym marynarzem.

Następnie poinformowałem pana Cumbershuma, iż przy najbliższej nadarzającej się sposobności pragnę zostać przedstawionym kapitanowi. Widząc jego zdziwienie powiedziałem mu kim jestem, wspomniałem o waszej lordowskiej mości, a także o powierzonym mi stanowisku u boku gubernatora - wypowiadając się na ten ostatni temat zachowałem daleko posuniętą ostrożność, gdyż wasza lordowska mość doskonale wie, jakim jeszcze obarczono mnie zadaniem. Nie podzieliłem się z nim też myślą, która nagle przyszła mi do głowy: gubernator także był oficerem marynarki, więc jeśli pan Cumbershum stanowił typowy okaz człowieka należącego do tego środowiska, to z całą pewnością należało liczyć się z tym, że na moich barkach spocznie dodatkowy obowiązek dbania o zachowanie dobrych manier wśród oficerów i dawania wszystkim należytego przykładu w tym względzie.



Pan Cumbershum natychmiast stał się bardziej wylewny i usiadłszy ponownie na swoim miejscu wyznał, iż nigdy do tej pory nie służył na takim statku, nie uczestniczył też w równie długim rejsie. Wszystko jest dla niego nowe, a ma poważne powody, by przypuszczać, że dla pozostałych oficerów także. Płyniemy czymś, co stanowi przedziwne połączenie okrętu wojennego ze statkiem pasażerskim oraz transportowcem, nie będąc jednocześnie do końca żadną z tych rzeczy; mówiąc to dał dowód umysłowej sztywności charakterystycznej, jak się wydaje, dla wszystkich niemłodych i niezbyt wysokich rangą oficerów. Jego zdaniem, kiedy dotrzemy do celu nasz statek zostanie zacumowany przy nabrzeżu na stałe, by strzelać na wiat wtedy, gdy gubernator będzie wypływał lub wpływał do portu.

- I bardzo słusznie, szanowny panie Talbot! - zakończył ponurym tonem. - I bardzo słusznie.

- A to dlaczego, jeśli wolno spytać? Cumbershum umilkł, czekając aż służący ponownie napełni nasze kufle, po czym spojrzał przez otwarte drzwi na pusty, zalany wodą korytarz.

- Gdyż jeden Bóg wie, co by się z nami stało, gdybyśmy oddali choć jedną salwę z naszych największych dział!

- A więc tu leży pies pogrzebany!

- Proszę cię, panie, byś nie powtarzał tego zwykłym pasażerom. Nie wolno nam ich niepokoić. I tak już powiedziałem więcej niż powinienem.

- Przyznam, iż byłem przygotowany na niebezpieczeństwa związane z ewentualnym pojawieniem się nieprzyjaciela, ale nie przyszło mi na myśl, że nasze działania obronne mogą okazać się dla nas jeszcze bardziej zgubne...

- Jest wojna, panie Talbot, a los każdego statku jest niepewny zarówno w czasie wojny, jak i pokoju. Jedyna łajba tego samego typu, to znaczy przebudowany okręt wojenny, która wyruszyła przed nami w taką samą podróż - nazywała się „Strażnik”, jeśli mnie pamięć nie myli - nie dopłynęła do celu. Właśnie teraz przypomniałem sobie jednak, że „Strażnik” rozbił się o górę lodową na Oceanie Południowym, a więc ani jego wiek, ani stan nie miały żadnego znaczenia.

Bez trudu wyczułem, że Cumbershum usiłuje mnie nastraszyć, przypuszczalnie dlatego, iż zasygnalizowałem mu kim jestem, toteż roześmiałem się beztrudnie i machnąłem ręką. Jednocześnie postanowiłem spróbować pochlebstwa, które wasza lordowska mość polecał mi jako uniwersalny klucz otwierający wszystkie drzwi.

- Jestem pewien, że pod opieką tak znakomicie wyszkolonych i doświadczonych oficerów nie musimy lękać się żadnego niebezpieczeństwa.

Cumbershum przyglądał mi się nieufnie, jakby podejrzewając, że moje słowa mają jakieś ukryte znaczenie i dopatrując się w nich sarkazmu. Postanowiłem więc udzielić mu wyjaśnień.

- Widzi pan, jak wygląda moja lewa ręka? Sińce i zadrapania zawdzięczam tym drzwiom, a ponieważ jest to lewa ręka, można by powiedzieć, że mam sińce i zadrapania na bakburcie. Czyż można sobie wyobrazić coś w swojej istocie bliższego żeglarzowi? Mimo to postanowiłem zastosować się do pańskiej pierwszej rady: najpierw przekąszę co nieco, potem napiję się brandy, następnie zaś spocznę na koi, by zachować swoje kończyny w całości. Napije się pan ze mną?

Cumbershum pokręcił głową.

- Zaraz zaczynam wachtę - odparł. - Ma pan całkowitą rację, trzeba uspokoić żołądek. Jeszcze tylko jedna sprawa: proszę uważać na specyfik Wheelera. Jest bardzo mocny, a w miarę trwania podróży jego cena będzie rosła ponad wszelkie rozsądne granice. Steward! Szklaneczka brandy dla pana Talbota.

Pożegnał mnie najgrzeczniejszym skinieniem głowy, jakiego można oczekiwać od człowieka poruszającego się ukośnie względem pokładu. Nie trzeba być pijanym, aby na ten widok zakręciło się w głowie. Cumbershum miał słuszość: mocne trunki, przede wszystkim dzięki swym rozgrzewającym właściwościom, stanowią na morzu znacznie większą pokusę niż na lądzie, dlatego też, popijając przyniesioną przez stewarda brandy postanowiłem, że nie będę sięgał po nie nazbyt często. Odwróciwszy się w stronę rufowego okna spojrzałem na szalejące morze; przyznam, iż jego widok nie przyniósł mi najmniejszej pociechy, ponieważ uświadomiłem sobie, że nawet jeśli dopłyniemy szczęśliwie do celu, to już za kilka lat będę musiał powtórnie zmierzyć się z każdą falą, jaką pokonuję teraz w drodze na południowy kontynent. Czym prędzej utkwilem wzrok w szklance, którą trzymałem w ręku i wpatrywałem się w nią przez dłuższą chwilę; nieco podnieść na duchu mógł mnie jedynie fakt, że wciąż byłem zupełnie sam w salonie, co świadczyło o tym, iż pozostali pasażerowie znoszą pierwsze godziny żeglugi jeszcze gorzej ode mnie. Po jakimś czasie poczułem głód, zjadłem więc trochę niemal świeżego chleba oraz nieco łagodnego sera, a popiwszy to wszystko resztką brandy czekałem w napięciu na reakcję mego żołądka. Zdaje się jednak, iż tak bardzo przestraszyłem go groźbą zmieszania brandy z jeszcze jednym piwem, a następnie ze specyfikiem Wheelera, że biedaczysko siedział cicho niczym mysz pod miotłą. Wróciłem do kajuty, przespałem się czas jakiś, potem wstałem, zjadłem jeszcze jeden lekki posiłek, następnie zaś siedziałem przy świecy, zapełniając karty tego dziennika; nie potrafię wyrazić, jak bardzo żałuję, że, przynajmniej na razie, tak właśnie wygląda moja podróż, dzięki której

wasza lordowska mość miał powtórnie przeżyć swą młodość. Przypuszczam, iż wszystkie istoty znajdujące się na statku, od hodowlanych zwierząt poczynając, na pokornym służąc waszej lordowskiej mości kończąc, w taki lub inny sposób odczuwają niewygodę morskiej podróży - wszystkie, naturalnie z wyjątkiem odzianych w brezentowe peleryny postaci, które widziałem na pokładzie.

A jak dziś miewa się wasza lordowska mość? Mam nadzieję, że tak samo jak ja, to znaczy znakomicie. Mam tyle do opowiedzenia, że doprawdy nie wiem, w jaki sposób i w jakiej kolejności powinienem przelać na papier moje doznania. Krótko mówiąc, wszystko, co dotyczy naszego drewnianego świata, zmieniło się na lepsze. Nie chcę przez to powiedzieć, że z dnia na dzień stałem się wilkiem morskim; prawda wygląda w ten sposób, że chociaż pojmuję już prawa fizyczne rządzące ruchem statku, to jednak nadal gwałtowność przechyłów daje mi się mocno we znaki. Różnica polega jedynie na tym, że zmianie uległa natura owego ruchu. Jeszcze niedawno nic nie wskazywało na to, że taka metamorfoza może nastąpić: obudziwszy się w środku nocy stwierdziłem, iż - jeśli to w ogóle możliwe - jestem jeszcze bardziej niż do tej pory zmęczony, a nawet wyczerpany. Od pewnego czasu przez kadłub statku w nieregularnych odstępach przebiegało dziwne drżenie, zupełnie jakby jakieś wielkie koła, tocząc się po dnie, napotykały na przeszkodę, przez chwilę mocowały się z nią, by zaraz potem znów ruszyć dalej. Ponieważ leżałem na koi zwrócony stopami ku rufie, przy każdym takim zawahaniu moja głowa wbijała się mocniej w poduszkę, co wcale nie sprawiało mi przyjemności, jako że ta została chyba wyciosana z kawałka granitu.

Teraz znam już przyczynę takiego zachowania statku, co w niczym nie zmienia faktu, że było ono szalenie męczące. Kiedy tylko w nieprzeniknionej ciemności otworzyłem oczy, usłyszałem dobiegający z górnego pokładu łomot biegnących stóp oraz wykrzykiwane donośnym głosem rozkazy o tak przedziwnie powydłużanych sylabach, że chwilami przypominały wołania potępionych dusz. Nawet nie przypuszczałem (choć przecież płynąłem już kiedyś przez Kanał), w jaką arię potrafi zamienić się zwykłe polecenie: „Luzu} żagiel”, albo „Wybierać linę!”. Dokładnie nad moją głową jakiś głos - być może Cumbershuma - krzyknął: „Dalej, żwawo!, i ruch wzmógł się jeszcze bardziej. Reje skrzypiały tak przeraźliwie, że gdybym tylko miał dość sił, z pewnością począłbym zgrzytać zębami. Jednak zaraz potem... Ach, aż do tej chwili podczas naszej podróży nie dane mi było zaznać podobnej ulgi! W mgnieniu oka ruch całego statku, a wraz z nim mojej koi i mego ciała, uległ zasadniczej zmianie, zupełnie jakby... Ale nie muszę silić się na żadne porównania. Natychmiast zrozumiałem, co spowodowało tę metamorfozę: po prostu zmieniliśmy kurs na bardziej południowy, czyli w języku Brezentowych Płasczy - którym, muszę wyznać, posługuję się z coraz większą przyjemnością - wzięliśmy wiatr trzy czwarte ze sterburty.

Rzecz jasna, kołysanie nie ustało, lecz zmniejszyło się nieco, a jednocześnie wydawało się delikatne, jakby kobiece. Natychmiast zapadłem w głęboki, krzepiący sen.

Nie mogę powiedzieć, żebym, obudzwszy się po raz drugi, zeskoczył z koi ze śpiewem na ustach, ale wezwałem Wheelera głosem rzeźkim i pogodnym, a więc takim, jakiego nie udało mi się wydobyć od chwili, gdy zaznajomiono mnie ze szczegółami mojej kolonialnej misji...

Ale dość o tym! Przecież nie mogę - a nawet gdybym mógł, to wątpię, ojcze chrzestny, aby spotkało się to z twoją aprobatą - relacjonować minuta po minucie przebiegu podróży. Zaczynam powoli rozumieć, na czym polegają trudności w prowadzeniu takiego dziennika jak ten, który niedawno rozpocząłem. Od tej pory przestaję z nabożną niemal czcią opisywać każdy ruch panny „Pameli”, broniącej się z zimnym wyrachowaniem przed zalotami swego pana. W jednym zdaniu poinformuję, że wstałem z koi, załatwiłem potrzeby fizjologiczne, ogoliłem się i zjadłem śniadanie, w drugim zaś, że założyłem nieprzemakalny płaszcz i wyszedłem na pokład. Nie ja jeden zresztą; choć pogoda nie poprawiła się ani trochę, to wiatr mieliśmy teraz niemal prosto w plecy, dzięki czemu nadbudówki wznoszące się na rufie oraz śródkręciu dawały przed nim bezpieczną i wygodną osłonę. Widok współpasażerów natychmiast nasunął mi skojarzenie z rekonwalescentami w jakimś uzdrowisku, którzy niedawno podnieśli się z łóżek i jeszcze nie nauczyli się w pełni korzystać z odzyskanej umiejętności chodzenia.

Dobry Boże, któraż to godzina! Jeżeli szybko nie posiadę umiejętności dokonywania selekcji wydarzeń, o których chcę pisać, wkrótce może się okazać, iż zasiadając do dziennika będę relacjonował dzień przedwczorajszy zamiast dzisiejszego! Przekonuję się coraz bardziej, że pisanie niczym prawie nie różni się od picia: trzeba umieć je kontrolować.

A więc, do rzeczy. Dość szybko okazało się, że w nieprzemakalnym płaszczu jest mi zdecydowanie za gorąco, więc wróciłem do kajuty, gdzie przebrałem się, bardzo starannie kompletując strój, gdyż zamierzałem złożyć kapitanowi wizytę o charakterze oficjalnym. W końcu zdecydowałem się na eleganckie palto i wysoki kapelusz; ten ostatni zabezpieczyłem uprzednio tasiemką, którą zawiązałem sobie pod brodą. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie kazać Wheelerowi, aby mnie zapowiedział, lecz w końcu doszedłem do wniosku, że w tych okolicznościach byłaby to zbędna formalność. Naciągnąłem rękawiczki, strzepnąłem jakieś pyłki z klap palta, a następnie, zerknąwszy na buty i stwierdziwszy, że prezentują się bez zastrzeżeń, wyszedłem z kajuty i wspiąłem się na górny pokład po drabinach, które w istocie wcale nie są drabinami, lecz wygodnymi, szerokimi schodami. Po drodze spotkałem pana Cumbersuma w towarzystwie jakiegoś podwładnego i życzyłem mu miłego dnia; nie

odpowiedział, co może stanowiłoby dla mnie powód do obrazy, gdyby nie to, że dzięki rozmowie, jaką odbyliśmy minionego dnia, wiedziałem już, iż charakteryzują go nienadzwyczajne maniery oraz zmienny nastrój. Skierowałem się bezpośrednio do kapitana, którego łatwo rozpoznałem po bogato zdobionym, choć cokolwiek sfatygowanym mundurze. Stał na mostku w osłoniętym przed wiatrem miejscu przy sterburcie, z założonymi do tyłu rękami, wpatrując się we mnie z takim wyrazem twarzy, jakby moje pojawienie się tutaj wstrząsnęło nim do głębi.

Muszę teraz podzielić się z waszą lordowską mością bardzo nieprzyjemnym odkryciem. Choć nasza Marynarka bez wątpienia jest potężna i niezwyciężona, jej oficerowie bohaterscy, a marynarze pełni poświęcenia, to jednak na pokładach okrętów panuje odrażający despotyzm. Pierwsze słowa kapitana Andersona, które wywarczał w chwili, gdy dotknąłem brzegu kapelusza i otworzyłem już usta, by się przedstawić, brzmiały następująco:

- A któż to jest, do wszystkich diabłów? Cumbershum, czy oni nie czytali regulaminu pokładowego?

Uwaga ta zdumiała mnie do tego stopnia, że nie usłyszałem odpowiedzi Cumbershuma, jeśli w ogóle jej udzielił. Przez głowę przemknęła mi myśl, że zaszło jakieś absurdalne nieporozumienie i za chwilę Anderson uderzy mnie w twarz. Natychmiast powiedziałem głośno swoje imię i nazwisko, a wówczas na moją głowę posypały się wyzwiska. Całkiem możliwe, iż dałbym się ogarnąć gniewowi, gdyby nie to, że nagle uświadomiłem sobie, jak zabawnie musimy wyglądać. Zarówno ja, jak i kapitan, Cumbershum oraz jego podwładny, mieliśmy jedną nogę usztywnioną w kolanie, drugą zaś uginaliśmy w regularnych odstępach czasu, równoważąc przechyły statku. Parsknąłem śmiechem, co chyba nie było nazbyt eleganckie, ale mój rozmówca - jeśli mogę go tak nazwać - w pełni zasługiwał na takie potraktowanie. Natychmiast umilkł, na jego twarzy zaś wystąpiły krwiste rumieńce, a ja niezwłocznie wykorzystałem okazję, by jednym tchem wymienić nazwiska waszej lordowskiej mości oraz Jego Eksceleencji waszego brata, zupełnie jak podróżny, który pospiesznie wyciąga pistolety, aby osadzić w miejscu zbliżającego się rabusia. Nasz kapitan najpierw zajrzał ukradkiem - przepraszam za tę przenośnię - w lufę waszej lordowskiej mości, stwierdził, że broń jest naładowana, zerknął niepewnie na ambasadora, którego ścisnąłem w drugiej ręce, po czym ściągnął wodze swojej furii, obnażając długie żółte zęby. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem równie zgorzkniałej, nieprzyjaznej twarzy! Tak właśnie wyglądają ludzie nazbyt łatwo ulegający nastrojom. Nagle, zamiast w samym centrum, znalazłem się na granicy jego despotycznej władzy niczym jakiś poseł, który może czuć się względnie bezpiecznie, choć wokół niego trup ściele się gęsto.

Jestem pewien, iż kapitan Anderson z rozkoszą zastrzeliłby mnie, powiesił, przeciągnął pod kilem lub zakuł w dyby, ale głos roztropności w ostatniej chwili powstrzymał go przed wprowadzeniem w życie tych zamiarów. Tak więc, jeśli dziś przed południem, kiedy zegar w pokoju arrasowym wybił dziesiątą, a dzwon na naszym statku zabrzmiał cztery razy, jeżeli, powiadam, o tej właśnie porze wasza lordowska mość niespodziewanie poczuł przypływ miłej satysfakcji i zadowolenia, to nie wykluczam, iż stało się to za sprawą przecucia, które szepnęło waszej lordowskiej mości, jak piorunujący i ze wszech miar pożądanym efektem wywiera jego szlachetne nazwisko na osobach średniego stanu.

Czekałem cierpliwie, aż kapitan Anderson połknie zólc, która podeszła mu do gardła. Kiedy już się opanował, oznajmił, że darzy waszą lordowską mość wielkim szacunkiem i nie chciałby w niczym uwłaczyć... To znaczy, ma nadzieję, że nie uskarżam się na żadne niewygody, gdyż nie miał pojęcia, że... Pasażerowie mogą przychodzić na mostek tylko wówczas, jeśli zostaną zaproszeni, choć, ma się rozumieć, w moim przypadku... Zakończył swoją przerywaną co chwila przemowę stwierdzeniem, iż ma nadzieję widywać mnie tu częściej, po czym posłał mi spojrzenie, które mogłoby przestraszyć nawet wilka. Zapadło milczenie, a my staliśmy, każdy z jedną nogą sztywną, drugą uginającą się jak trzcina na wietrze, podczas gdy cień bezana (dzięki ci, Falconerze!) przesunął się nad naszymi głowami. Kapitan pierwszy ustąpił pola; musnąwszy palcami brzeg kapelusza (udawał, że go poprawia, choć w rzeczywistości gest ten miał być wyrazem szacunku, jaki mimowolnie złożył waszej lordowskiej mości) odwrócił się, podszedł do rufowego relingu i zapatrzył się w odległy horyzont, ściskając i rozprostowując złączone za plecami dłonie. Przez chwilę zrobiło mi się go żal, gdyż zrozumiałem, jak bardzo musiał poczuć się zagrożony w swoim maleńkim, wyimaginowanym królestwie, ale uznałem, iż nie jest to odpowiednia pora, aby go obłaskawiać. Czyż w polityce nie sięga się tylko po te środki, które wystarczą do osiągnięcia wytyczonego celu? Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli dam mu czas na przeanalizowanie naszej rozmowy, i dopiero kiedy jej prawdziwe znaczenie utworzy sobie drogę do jego niechętnego umysłu, wykonam jakiś pojednawczy gest. Czeka nas przecież długa podróż, a ja nie zamierzam uczynić jego życia nieznośnym - nie zrobiłbym tego nawet wtedy, gdybym mógł. Teraz, jak wasza lordowska mość łatwo może się domyślić, mam wyśmienity nastrój. Czas, zamiast wlec się noga za nogą jak ślimak - jeśli kraby mogą być pijane, to ślimaki mogą też mieć nogi! - przemyka obok mnie w oszałamiającym tempie. Nie zdążyłem opisać nawet dziesiątej części tego, co zamierzałem, ale zrobiło się już bardzo późno, więc dokończę jutro.

A więc najpierw opiszę ciąg dalszy wydarzeń dnia czwartego, mimo że mamy już piąty.

Po tym, jak kapitan odwrócił się do mnie plecami, pozostałem jakiś czas na mostku, usiłując nawiązać rozmowę z panem Cumbershumem. Odpowiadał mi półsłówkami, najwidoczniej nie czując się zbyt pewnie w obecności swego dowódcy, ale ja nie miałem zamiaru opuszczać mostku w taki sposób, jakbym z niego uciekał.

- Wiesz pan co, Cumbershum? Przestało już tak bardzo kołysać, więc może oprowadziłbyś mnie pan po statku? - zaproponowałem. - Albo, jeśli nie chcesz odrywać się od obowiązków, daj mi na przewodnika tego młodzieńca.

Wzmiankowany młodzieniec, towarzysz Cumbershuma, był aspirantem, ale nie jednym z tych, co to dawnymi czasy, skazani na wieczne spełnianie posług, nie mieli żadnej nadziei na poprawienie swego losu. Ten krostowaty, czternasto - lub piętnastoletni chłopak obudziłby macierzyńskie uczucia w każdym kobiecym sercu i traktowano go, o czym już wkrótce się mogłem przekonać, niemal jak młodego dżentelmena. Dość długo spoglądał to na mnie, to na pana Cumbershuma, czekając na decyzję tego ostatniego. Wreszcie Cumbershum powiedział, że młodzian - pan Willis - może iść ze mną. W ten sposób osiągnąłem zamierzony cel, gdyż mogłem z godnością opuścić Święte Miejsce, w dodatku zabierając ze sobą jednego z wiernych. Schodząc na niższy pokład usłyszeliśmy za plecami głos Cumbershuma:

- Panie Willis! Proszę zachęcić pana Talbota, aby zechciał zapoznać się z regulaminem obowiązującym na naszym statku. Później powie mi pan, czy pan Talbot pragnąłby ulepszyć go w jakiś sposób.

Roześmiałem się głośno na tę ciętą uwagę, choć Willis chyba nie dostrzegł w niej niczego zabawnego. Jest nie tylko pryszczaty, ale także blady i często chodzi z na wpół otwartymi ustami. Zapytał mnie, co pragnąłbym obejrzeć; odparłem, że nie mam pojęcia. Prawda przedstawiała się w ten sposób, iż wykorzystalem pierwszy pretekst, jaki przyszedł mi do głowy, by zachowując godność oddalić się z mostku. Jednak po krótkim namyśle wskazałem głową przednią część statku.

- Przejdźmy tam i zobaczymy, jak żyje się załodze - zaproponowałem, po czym ruszyłem naprzód pierwszy.



Willis zawahał się wyraźnie, następnie zaś, rad nie rad, podążył za mną wzdłuż wiszących na bomach szalup, przekroczył białą linię namalowaną na pokładzie na wysokości głównego masztu, i wszedł między zagrody, w których trzymane są zwierzęta. Wyrzedziwszy mnie wdrapał się pierwszy po drabinie na pokład dziobowy, czyli forkasztel. Ujrzałem tam obok wielkiego kabestanu kilku leniuchujących wałkoni oraz kobietę skubiącą kurczaka. Podeszedłem do bukszprytu, wychyliłem się i spojrzałem w dół. Chyba dopiero wtedy, gdy w całej okazałości zobaczyłem długi, ostry dziób, ukształtowany zgodnie z modą obowiązującą w ubiegłym stuleciu, zdałem sobie naprawdę sprawę z wieku naszego statku. Nie będę zaprzątał uwagi waszej lordowskiej mości opisem figury dziobowej, którą marynarze, jak to jest w ich zwyczaju, na własną rękę przyozdobili różnymi sprośnościami; kilku z nich, zajętych spełnianiem wstydliwych czynności, posłało mi w górę impertynenckie spojrzenia, więc czym prędzej odwróciłem się, by objąć wzrokiem statek oraz rozciągający się aż po horyzont ciemnoniebieski ocean.

- Cóż, mój panie - zwróciłem się do Willisa. - Wygląda na to, że naprawdę jesteśmy ἐπ' ἐύρέα νοτα θαλάσσης.

Willis poinformował mnie, że nie zna francuskiego.

- Ach tak - zaśmiałem się. - Wobec tego na czym się znasz, przyjacielu?

- Na takielunku, proszę pana, na budowie statku, na kompasie, odczytywaniu wskazań sondy i zdejmowaniu słońca.

- Widzę, że jesteście w dobrych rękach.

- To jeszcze nie wszystko, proszę pana. Wiem też, z czego złożone jest działo, znam skład proszku, który dosypuje się do zęzy, żeby nie cuchnęło, oraz Prawo Wojenne.

- Musimy przestrzegać Prawa Wojennego, nawet jeśli czasem wydaje nam się, że nieco cuchnie - odparłem z udawaną powagą. - Nie możemy okazywać Francuzom więcej pobłażania niż oni nam! Wydaje mi się jednak, że twoja wiedza przypomina wnętrze szafki z przyborami do szycia, gdzie wszystko jest ze sobą dokładnie wymieszane: igły, nici, napastrki, poduszeczki do igieł oraz skrawki materiałów... Zdaje się, że wspomniałeś coś o „zdejmowaniu słońca”; czy nie obawiasz się, że w trakcie tej operacji ulegnie ono uszkodzeniu, pozbawiając nas swego dobroczynnego blasku?

Willis parsknął głośnym śmiechem.

- Nabiera mnie pan! Za pańskim pozwoleniem, nawet szczury lądowe wiedzą, co to znaczy zdejmować słońce.

- Wybaczam ci owo „nawet”, młodzieńcze. Kiedy nadarzy się okazja, bym mógł cię zobaczyć przy tej czynności?

- Przy pomiarach? W południe, ma się rozumieć, czyli już całkiem niedługo. Będzie też obecny pan Smiles, nawigator, i panowie Davies i Taylor, aspiranci, tak samo jak ja. Choć pan Davies jest stary, wciąż jeszcze nie wie, jak to się robi, a pan Taylor, z którym się przyjaźnię - tylko błagam, niech pan nic nie powtarza kapitanowi! - ma sekstans zupełnie zepsuty, bo ten, który dostał od ojca, musiał zastawić w lombardzie. Umówiliśmy się więc, że wykona pomiary zaraz po mnie i poda szerokość różną o dwie minuty.

Złapałem się za głowę.

- Chcesz powiedzieć, że nasze bezpieczeństwo wisi na tak wątej nici?!

- Słucham pana?

- Dobry Boże, równie dobrze moglibyśmy znaleźć się w rękach moich młodszych braci! Naszą pozycję na mapie ustalają wiekowy aspirant oraz uszkodzony sekstans?

- Ależ skąd! Przede wszystkim Tommy Taylor i ja chcemy namówić pana Daviesa, żeby zamienił się z Tommym na sekstansy, bo jemu i tak nie sprawi to żadnej różnicy. Poza tym nawigacją zajmują się też kapitan Anderson, pan Smiles oraz jeszcze kilku oficerów.

- Rozumiem. Wy nie „zdejmujecie słońca”, tylko ciskacie w nie kamieniami! Z pewnością będę przyglądał się temu z wielkim zainteresowaniem, a może sam sięgnę ręką, kiedy zbliżymy się na dogodną odległość, obracając się wokół niego.

- Nie jest tak, jak pan myśli - odparł Willis z nutą pobłażliwości w głosie. - To my czekamy, aż słońce wespnie się na największą wysokość, po czym mierzymy ją i notujemy dokładny czas.

- Młody człowieku, usiłujesz cofnąć nas do średniowiecza - ja mu na to. - Jeszcze chwila, a zaczniesz cytować Ptolemeusza.

- Nie znam tego dżentelmena, proszę pana. Wiem tylko tyle, że musimy poczekać do chwili, kiedy słońce będzie najwyżej.

- To, co widzisz, to tylko jego pozorna wędrówka po firmamencie - tłumaczyłem cierpliwie. - Czyżbyś nie słyszał o Galileuszu i jego słynnym *Eppur si muove*? Ziemia obraca się wokół Słońca, przyjacielu! Ogłosił to już Kopernik, a jego obserwacje potwierdził Kepler.

- Proszę pana, nie mam pojęcia, jak słońce zachowuje się tam, gdzie mieszkają ci dżentelmeni, ale tu, w Marynarce Królewskiej, z całą pewnością codziennie wspina się nad horyzont, by wieczorem skryć się za nim - odparł z godnością chłopak.

Wybuchnąwszy śmiechem poklepałem go po ramieniu.

- Niech i tak będzie! Wolno mu czynić, co mu się spodoba! Prawdę powiedziawszy, panie Willis, tak bardzo się cieszę, widząc jego twarz wyłaniającą się zza chmur, że nie miałbym nic przeciwko temu, nawet gdyby przyszła mu ochota odtańczyć gigę. Ale, ale...

Widzę pańskich towarzyszy. Dalej, biegnij pan do nich i zrób użytek ze swego instrumentu.

Podziękował mi i nie zwlekając pognął co sił w nogach, ja zaś zostałem w tylnej części forkasztelu, by obserwować ceremonię odbywającą się na mostku. Zgromadziło się tam kilku oficerów. Podniósłszy do oczu metalowe przyrządy, śledzili pozorną wędrówkę słońca po nieboskłonie. Wszyscy emigranci, znajdujący się wtedy na pokładzie, a nawet niektórzy członkowie załogi, również zwrócili twarze w tamtą stronę i z uwagą oraz w całkowitym milczeniu przyglądali się temu rytuałowi. Z pewnością zdecydowana większość z nich nie miała pojęcia, czemu służył - to, że ja trochę go rozumiałem, mogłem zawdzięczać wyłącznie memu wykształceniu, wrodzonej ciekawości oraz umiejętności czytania. Nawet pasażerowie - to znaczy ci spośród nich, którzy pojawili się na pokładzie - stali jak zaczarowani. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby panowie zdjęli kapelusze! Taki właśnie szacunek, należny najbardziej podniosłej religijnej ceremonii, dostrzegłem na twarzach prostaczków. Wszak życie owych ludzi - tak samo jak nasze - zależało od dokładności całkowicie niezrozumiałych dla nich pomiarów oraz trafności zastosowania formuł matematycznych równie zagadkowych jak chińskie ideogramy. Można by pomyśleć, że lśniąca w promieniach słońca instrumenty są jakimiś fetyszami. Chyba niewiele się myliłem; co prawda ignorancja pana Daviesa oraz niesprawny sekstans pana Taylora upodabniały aspirantów do bezsilnych glinianych bożków, ale już doświadczeni oficerowie istotnie rozporządzali w tej chwili niemal czarodziejską mocą. Jakże ci ludzie wytrzeszczali na nich oczy! Kobieta przerwała skubanie kurczaka, dwaj mężczyźni, którzy wynieśli na pokład chorą dziewczynę, zamarli w bezruchu, ba, nawet owa dziewczyna odwróciła z wysiłkiem głowę, by spojrzeć w tym samym kierunku. W ich wyteżonej uwadze było coś żalnego, a zarazem szlachetnego; przypominali psy przysłuchujące się pilnie rozmowie, choć i tak nigdy nie zrozumieją ani słowa. Zapewniam waszą lordowską mość, iż nie popieram godnych pożałowania demokratycznych szaleństw, jakich byliśmy świadkami w naszym, a także w minionym stuleciu, ale kiedy ujrzałem prostych ludzi w postawie wyrażającej wielki szacunek, pojęcia takie jak „obowiązek”, „przywileje” i „władza” zobaczyłem w zupełnie innym, nowym świetle - znane mi dotąd z uczonych ksiąg nagle ożyły i dostrzegłem je w zwykłym, codziennym życiu. Zaiste, dopóki nie zauważyłem tych ludzi podobnych do miltonowskich głodnych owiec, nie zastanawiałem się nad naturą własnych ambicji ani nie szukałem dla nich żadnego usprawiedliwienia; to ostatnie zjawilo się przede mną nagle i całkiem niespodziewanie. Mam nadzieję, iż wasza lordowska mość wybaczy mi, że zanudzam go, mówiąc o sprawach dla mnie nowych, a dla niego zupełnie oczywistych.

Jakże piękna otaczała nas sceneria! Statek parł śmiało naprzód pchany dość silnym,

ale nie gwałtownym wiatrem, fale skrzyły się niczym ruchome stosy brylantów, białe obłoki odbijały się w oceanie, et cetera, et cetera. Słońce bez żadnego wysiłku oparło się próbom „zdjęcia go” z firmamentu. Zszedłem po drabinie z przedniego pokładu i udałem się na śródkręcie, dokładnie w tej samej chwili, kiedy nasi nawigatorzy poczęli opuszczać mostek kapitański. Pan Snułość, nawigator, istotnie jest stary, ale z pewnością nie tak stary jak pan Davies, który chyba dorównuje wiekiem naszemu statkowi! Davies nie zatrzymał się zresztą na pokładzie, tylko podążył jeszcze niżej, poruszając się jak schodząca ze sceny marionetka. Pan Willis, mój młody znajomy, otrzymawszy od przełożonych pozwolenie odejścia, z zachowaniem całego ceremoniału przedstawił mi swego przyjaciela pana Tommy’ego Taylora. Ten, choć młodszy od Willisa co najmniej o dwa lata, wyróżnia się energią oraz atletyczną budową ciała, których to cech zdecydowanie brakuje jego przyjacielowi. Pan Taylor pochodzi z marynarskiej rodziny. Na samym wstępie wyjaśnił mi, że pan Willis ma trochę nierówno pod sufitem, więc jeśli chcę dowiedzieć się czegoś o nawigacji, powinienem zgłosić się do niego, Taylora, gdyż biorąc lekcje u Willisa z pewnością wprowadziłbym statek na pierwsze napotkane skały. Nie dalej niż wczoraj pan Willis poinformował pana Deverela, że na sześćdziesiątym stopniu szerokości geograficznej północnej jeden stopień długości równa się dokładnie połowie mili morskiej. Na pytanie pana Deverela - swoją drogą, niezły musi być z niego żartownisi - jak miałyby się sprawy na sześćdziesiątym stopniu szerokości geograficznej południowej, pan Willis oświadczył, iż jeszcze nie doszedł do tego miejsca w podręczniku. Opowiadając mi o tym, pan Taylor zarykiwał się ze śmiechu, co zdawało się nie wywoływać żadnego sprzeciwu ze strony pana Willisa, który ponad wszelką wątpliwość głęboko podziwia swego młodszego przyjaciela, pragnąc - nawet swoim kosztem - przedstawić go w jak najlepszym świetle. Proszę więc sobie wyobrazić, jak w towarzystwie dwóch młodych akolitów przechadzam się w tę i z powrotem między tylnym pokładem a głównym masztem; młodszy, po mojej sterburcie, jest ożywiony, rozgadany, oferujący swoją opinię o wszystkim. Starszy, milczący ale uśmiechnięty, potwierdza skinieniem głowy każde słowo kompana na dowolny temat pod słońcem, samego słońca nie wyłączając!

Właśnie od tych dwóch młodzieńców uzyskałem nieco informacji o współpasażerach - naturalnie o tych, którzy zostali zakwaterowani na rufie. Znajduje się wśród nich czteroosobowa rodzina Pike’ów (jej członkowie świata poza sobą nie widzą), a także niejaki pan Prettiman - tego wszyscy dobrze znamy. W kabinie oddzielającej moją kajutę od salonu mieszka pewien portrecista z żoną i córką. Udzielający mi wyjaśnień młody dżentelmen obdarzył tę ostatnią mianem „byczej dziewuchy”; zdaje się, iż w słowniku pana Taylora jest to najbardziej pochlebne wyrażenie, jakim mężczyzna może określić kobietę, która przypadła

mu do gustu. Wasza lordowska mość już się zapewne domyślił, że wiadomość o obecności na pokładzie jakiejś tajemniczej a pięknej nieznanym podziałała niczym oliwa, dolana do ognia mych zwierzęcych instynktów!

Nie wątpię, iż pan Taylor mógłby bez trudu przedstawić mi całą listę pasażerów, ale kiedy chyba już po raz dwudziesty zawróciliśmy przy głównym maszcie, na pokład wyszedł ten sam duchowny, który podczas sztormu zanieczyścił sobie twarz własnymi wymiocinami. Skierował się od razu ku drabinie wiodącej na mostek, ale ujrawszy mnie w otoczeniu młodych aspirantów pomyślał zapewne, iż jestem tu jakąś ważną osobistością, przystanął więc na chwilę, by okazać mi uszanowanie. Nie mogę powiedzieć, żeby uklonił się albo skinął głową. Pastor w przedziwny sposób pochylił całe ciało, po czym uraczył mnie niezbyt pewnym uśmiechem, zupełnie nie pasującym do śmiertelnie bladej twarzy. Jego zachowanie, nie mające nic wspólnego z dobrymi manierami, raczej spowodowane zwykłym wyrachowaniem, wywołało we mnie tak wielką odrazę, że ograniczyłem się do ledwie dostrzegalnego muśnięcia ręką krawędzi kapelusza, po czym spojrzałem na niego tak, jakby był powietrzem. Pastor odwrócił się i ruszył w górę po drabinie. Na nogach miał grube wełniane pończochy oraz ciężkie buty, stopy zaś stawiał pod dość dziwnym kątem. Stroju dopełniały okrągła peruka oraz kapelusz z szerokim rondem. Summa summarum, pastor sprawiał wrażenie człowieka, którego nie sposób polubić nawet po bliższym poznaniu. Pan Taylor wyraził głośno opinię, że oto nasz „duchowy przewodnik” udaje się na mostek, aby porozmawiać z kapitanem Andersenem, i że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ta wycieczka zakończy się dla niego nad wyraz nieprzyjemnie.

- Z pewnością nie czytał regulaminu pokładowego - powiedziałem tonem człowieka doskonale obeznanego ze zwyczajami panującymi na statkach i okrętach Jego Królewskiej Mości. - Ani chybi przeciągną go pod kilem.

Wizja pastora przeciąganego pod kilem sprawiła panu Taylorowi niesłychaną radość. Kiedy wreszcie mocne klepięcie w plecy, zaaplikowane przez pana Willisa, pomogło mu opanować atak wesołości, oświadczył ze łzami w oczach, iż ponad wszelką wątpliwość byłoby to najbardziej pasjonujące zajęcie, jakie można sobie wyobrazić, po czym znowu wybuchnął śmiechem. Chwilę potem na mostku rozległ się potworny ryk, który podziałał na młodzieńca niczym kubeł zimnej wody. Wydaje mi się... Nie, jestem pewien, że ryk był skierowany wyłącznie do pastora, niemniej jednak obaj aspiranci podskoczyli jak dżgnięci nożem, mimo że dosięgły ich tylko odłamki pocisku wystrzelonego przez dowódcę. Wyglądało na to, iż kapitan Anderson jest panem życia i śmierci wszystkich swoich ludzi, od Cumbershuma poczynając, na tych młodocianych adeptach sztuki marynarskiej kończąc.

Przyznam, że właśnie wtedy doszedłem do wniosku, iż wcale bym się nie zmartwił, gdybym przez pozostałą część podróży widywał kapitana nie częściej niż, powiedzmy, raz dziennie.

- Panowie, to prywatna rozmowa między kapitanem a pastorem - powiedziałem. - Proponuję, byśmy dyskretnie oddalili się w jakieś bezpieczne miejsce.

Dość szybko, choć zachowując pozory, jakby nic się nie stało, zesliśmy pod pokład. W korytarzu miałem już zamiar odprawić obu młodzieńców, kiedy nagle nad naszymi głowami rozległ się łomot pospiesznych kroków, a w chwilę potem, już od strony drabiny łączącej mostek ze śródokręciem, krótki szurgot zakończony donośnym łupnięciem. Mimo całej niechęci, jaką powziąłem do pastora, poczucie międzyludzkiej więzi kazało mi odwrócić się i wyjrzeć na pokład, aby sprawdzić, czy nieszczęśnik aby nie potrzebuje pomocy, ale zanim zdążyłem wprowadzić mój zamiar w czyn, wspomniany osobnik chwiejnym krokiem zszedł po schodkach łączących korytarz z pokładem. W jednym ręku trzymał kapelusz, w drugim perukę, kołnierz z długimi wypustkami był przekrzywiony, najbardziej jednak przykuła moją uwagę jego twarz, a raczej widoczny na niej obraz zniszczeń. Nie wiem, czy zdołałem opisać to, co ujrzałem. Niech wasza lordowska mość spróbuje sobie wyobrazić blade, mizerne oblicze, pozbawione przez Naturę wyrazistości rysów, o niskim czole i głęboko osadzonych, wypełnionych łzami oczach, a i tak będzie to za mało. Chwilę potem pastor zatoczył się, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi swojej kajuty, wpadł do niej, zatrzasnął za sobą drzwi i zaryglował je od środka.

Młody pan Taylor wybuchnął szaleńczym śmiechem, ale ja chwyciłem go za ucho i przekręciłem je tak mocno, że niemal natychmiast śmiech przemienił się we wrzask.

- Pozwól mi pan sobie wyjaśnić - rzekłem cicho i spokojnie, tak jak wymagały tego okoliczności - że nie jest przyjęte, aby jeden dżentelmen naigrawał się publicznie z nieszczęścia drugiego. A teraz obaj możecie odejść. Myślę, że jeszcze kiedyś wybierzemy się na wspólny spacer.

- Bardzo chętnie, proszę pana - odparł Tommy, który chyba uważał, że niemal wrywając mu ucho dałem wyraz nadzwyczaj ciepłym uczuciom, jakie żywiłem do jego osoby. - Kiedy tylko pan sobie zażyczy.

- Tak jest - zawtórował mu Willis, po czym dodał z rozbijającą szczerością: - Tym bardziej, że dzięki panu mogliśmy opuścić lekcję nawigacji.

Zeszli do pomieszczenia, które oficjalnie nosi nazwę zbrojowni, a w rzeczywistości jest zapewne jakąś cuchnącą, ciemną norą. Ostatnie słowa, jakie od nich tego dnia usłyszałem, zostały wypowiedziane z niekłamanym podziwem przez pana Taylora:

- Ależ on nienawidzi tego pastora!

Wróciłem do kabiny, wezwałem Wheelera i kazałem, by zdjął mi buty. Tak chętnie i szybko reaguje na moje polecenia, że przypuszczam, iż pozostali pasażerowie rzadko lub prawie wcale nie korzystają z jego usług. Cóż, mój zysk, a ich strata. Inny służący, niejaki Phillips, opiekuje się podróżnymi mieszkającymi po drugiej stronie korytarza.

- Powiedz no mi, Wheeler - zagadnąłem go, jak tylko wszedł do mej maleńkiej kajuty - dlaczego kapitan Anderson tak nie znosi pastora?

- Mógłby pan podnieść nogę trochę wyżej? Dziękuję panu. A teraz druga noga, jeśli pan pozwoli.

- Wheeler!

- Nie mam pojęcia, proszę pana. A naprawdę go nie znosi? Powiedział to panu?

- Nic mi nie mówił, ale słyszałem, podobnie jak wszyscy, którzy są na tym statku, co się stało na mostku!

- U nas, w Marynarce, rzadko spotyka się pastorów. Jest ich po prostu za mało, a ci, co zostają kapelanami, nie mają wielkiej ochoty wyruszać w morze. Zaraz wyczyszczę panu te buty. Teraz palto, jeśli można prosić.

- Nie tylko słyszałem krzyk kapitana Andersona, ale uzyskałem potwierdzenie od jednego z aspirantów, że wasz dowódca istotnie nie lubi duchownych. Teraz przypominam sobie, iż wcześniej powiedział mi o tym także porucznik Cumbershum.

- Doprawdy? Dziękuję panu.

- Czy to nieprawda?

- Nic nie wiem na ten temat, proszę pana. Może przynieść panu nieco mego specyfiku? Zdaje się, że ostatnio bardzo dobrze na pana podziałał.

- Nie, dziękuję. Jak widzisz, udało mi się oprzeć pokusie.

- Istotnie jest dość mocny, tak jak twierdzi pan Cumbershum, a co do tego, że w miarę upływu czasu staje się coraz droższy... to chyba naturalne, że cena rośnie, jeśli zmniejszają się zapasy? Wydaje mi się, że ktoś napisał nawet jakąś książkę na ten temat.

Kazałem mu odejść, po czym wyciągnąłem się na koi. Jakoś nie mogłem sobie uprzytomnić., który to już dzień podróży, więc zajrzałem do dziennika, by przekonać się, że chyba szósty - wynika z tego, że mimowolnie wprowadziłem w błąd zarówno waszą lordowską mość, jak i siebie. Nie nadążam za wydarzeniami, lecz nawet nie będę próbował tego zmieniać. Według moich ostrożnych ocen napisałem już co najmniej dziesięć tysięcy słów, więc muszę zacząć się streszczać, jeśli chcę, aby cała relacja z podróży zmieściła się między pięknie zdobionymi okładkami kajetu, jaki otrzymałem w prezencie od waszej lordowskiej mości. Czy to możliwe, abym wymknął się demonowi opium tylko po to, by paść

ofiara *furor scribendil* Gdyby jednak wasza lordowska mość zechciał...

Pukanie do drzwi. To Bates, który usługuje w salonie.

- Pan Summers przesyła ukłony panu Talbotowi i pyta, czy pan Talbot zechce wypić z nim kieliszek wina w salonie?

- Kto to jest pan Summers?

- Nasz pierwszy oficer, proszę pana.

- A więc jakby zastępca kapitana, prawda? Przekaż panu Summersowi, że najdalej za dziesięć minut z przyjemnością skorzystam z jego zaproszenia.

Co prawda to nie kapitan, ale prawie. Uwaga! Zaczynamy bywać w towarzystwie.



## X

Wydaje mi się, że to siódmy dzień żeglugi, choć równie dobrze może być piątym albo ósmym, więc niech ten „x” spełni swą algebraiczną powinność i oznacza w tym miejscu niewiadomą. Czas wykazuje niezwykłą właściwość wstrzymywania swego biegu, tak że kiedy wieczorem lub nocą sen nie chce nadejść i zapisuję karty tego dziennika, świeca skraca się równie wolno, jak pomału rosną stalaktyty i stalagmity w podziemnej grocie. Potem, całkiem niespodziewanie, okazuje się, że czas jednak umykał po kryjomu i nie wiadomo jakim sposobem minęło kilka godzin.

Ale na czym ja skończyłem? Ach, tak...

Wszedłszy do salonu przekonałem się, iż pierwszy oficer skierował swoje zaproszenie do wszystkich pasażerów zakwaterowanych w rufowej części statku oraz że spotkanie to miało stanowić coś w rodzaju wstępu do obiadu. Później dowiedziałem się, iż takie zebrania są organizowane na wszystkich statkach pasażerskich, nasi oficerowie zaś postanowili chyba zastosować się do tego zwyczaju między innymi po to, by nieco zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie mogła wywrzeć lektura przygotowanego przez kapitana „Regulaminu dla dam i dżentelmenów, którym umożliwiono odbycie morskiej podróży”. Nie „którzy przedsięwzięli morską podróż”, tylko „którym umożliwiono jej odbycie”!

Zapowiedziany tak, jak tego wymagają dobre obyczaje, wkroczyłem do salonu, gdzie moim oczom ukazała się scena podobna do tych, jakie można ujrzeć w sali jadalnej każdego przydrożnego zajazdu. Jedyna różnica polegała na tym, iż przez duże okno zamiast sielskiego krajobrazu wiejskiego widać było lekko falujący, błękitny horyzont. Moje przybycie sprawiło, że rozmowy ucichły na chwilę, ja zaś zobaczyłem przed sobą wiele bladych, nieznanomych twarzy. Zaraz potem wystąpił naprzód młody człowiek w mundurze, starszy ode mnie najwyżej o dwa lub trzy lata, przedstawił się jako Summers, po czym zapoznał mnie z porucznikiem Deverelem. Jest to chyba najlepiej wychowany oficer na tym statku. Szczuplejszy od Summersa, ma kasztanowe włosy i bokobrody oraz gładko ogoloną twarz, jak zresztą wszyscy jego koledzy. Wydaje mi się, iż obaj przypadliśmy sobie do gustu, ale nie dane nam było zamienić choćby kilku słów, gdyż Summers oświadczył, że teraz muszę poznać damy, po czym zaprowadził mnie do jedynej kobiety, jaką tu dostrzegłem. Siedziała przy sterburcie na czymś w rodzaju ławki, a choć otoczona mężczyznami, nie sprawiała wrażenia niewiasty, która wzbudziłaby ich zainteresowanie. Nie podjąłbym się określenia jej

wieku, mogę natomiast z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że nadzwyczaj rozłożysty kapelusz owej pani miał stanowić nie tyle dyskretną osłonę dla twarzy, pobudzającą ciekawość patrzącego, co raczej coś w rodzaju przyłbicy połączonej z parasolem. W ciemnoszarej sukni wyglądała na kwakierkę. Złączyła dłonie na podołku i lekko uniówszy głowę rozmawiała ze stojącym obok niej wysokim, młodym oficerem wojsk lądowych

- ...zawsze uczono je podstaw tych gier. Dla każdego młodego dżentelmena są niewinną rozrywką, a znajomość ich zasad może stanowić cenne uzupełnienie wykształcenia młodej damy, dzięki czemu nawet ta, która nie potrafi grać na instrumencie ani śpiewać, też będzie potrafiła zabawiać swego partnera.

Wysoki oficer skłonił się lekko, po czym wbił brodę w kołnierzyk.

- Miło mi to słyszeć z pani ust, ale zapewniam panią, że widziałem już ludzi grających w karty w mocno podejrzanych miejscach.

- O tym, rzecz jasna, nic mi nie wiadomo. Czy jednak uważa pan, że sama gra ulega jakimś zmianom zależnie od miejsca, w którym się odbywa? Naturalnie opieram swoją opinię na obserwacjach czynionych wyłącznie w porządnym domu, niemniej jednak wydaje mi się, iż każda dobrze urodzona panienka powinna umieć grać w wista... - Tutaj wyraz twarzy ukrytej w cieniu kapelusza chyba się zmienił, gdyż w głosie kobiety pojawiła się łatwo uchwytna nuta sarkazmu. - Naturalnie pod warunkiem, że ma dość rozumu, by nauczyć się z wdziękiem przegrywać.

Oficer zarechotał uprzejmie - szczerze mówiąc, w moich uszach zabrzmiało to jak pianie koguta połączone z krakaniem wrony - a wówczas pan Summers skorzystał ze sposobności, by przedstawić mnie pannie Granham. Wyznałem jej, że niechcący podsłuchałem fragment rozmowy, czuję się więc nieco upośledzony, gdyż nie znam żadnej z gier, o których byli uprzejmi wspomnieć. Panna Granham zwróciła ku mnie twarz i choć od razu stało się dla mnie jasne, że nie jest to „bycza dziewczucha” pana Taylora, to jednak widok jej uprzejmie uśmiechniętej buzi nie sprawiał przykrości patrzącemu. Wygłosiłem gorącą pochwałę niewinnych godzin spędzonych przy karcianym stoliku oraz dodałem, iż liczę na to że podczas naszej długiej podróży panna Granham znajdzie czas i ochotę, aby udzielić mi lekcji.

Trafiłem jak kulą w płot. Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy, gdyż słowo „lekcja”, dla mnie całkiem niewinne, dla panny Granham miało bardzo konkretne znaczenie.

- Oczywiście, panie Talbot - odparła, a na jej policzkach wykwitły intensywne rumieńce. - Jak pan odgadł, jestem guwernantką.

Czy to moja wina? Czy zachowałem się nie tak, jak należy? Najwidoczniej

nieszczęsna istota oczekiwała od życia bardzo wiele, otrzymała zaś mało, dlatego nawet na całkowicie przypadkowe, niewinne aluzje reagowała niczym nabity pistolet. Oświadczam waszej lordowskiej mości, że z takimi ludźmi nie sposób dojść do ładu, gdyż bez względu na to, co się zrobi lub powie, zawsze mają o coś pretensję; w ich obecności najlepiej zachować życzliwe milczenie. Tacy już po prostu są i tylko szkoda, że nie da się zawczasu wykryć, że znajdują się w towarzystwie. Człowiek jakby nigdy nic idzie naprzód, a tu nagle trach!, zatrząskują się sidła albo zaciskają wnyki. Tym, którzy zajmują w społeczeństwie najwyższe pozycje, jest znacznie łatwiej, ponieważ nie muszą przejmować się takimi drobiazgami, lecz my, zwykli ludzie, którzy większą część naszych dni spędzamy na wyszukiwaniu właściwej drogi wśród zagmatwanych meandrów życia towarzyskiego, mamy takie same kłopoty z demaskowaniem tych ludzi jak papiści - a raczej księża - z zachowaniem celibatu.

Wracając jednak do rzeczy, gdy tylko usłyszałem słowa: „Jak pan odgadł, jestem guwernantką”, a nawet zanim panna Granham wypowiedziała je do końca, pojąłem iż całkiem nieświadomie uraziłem damę.

- Ależ, szanowna pani! - powiedziałem tak kojącym tonem, jakby z moich ust zamiast słów płynął specyfik Wheelera. - To bez wątplenia najbardziej użyteczne i szlachetne ze wszystkich zajęć, jakie przystoją damie. Nie potrafię i nigdy nie będę umiał wyrazić, jak wspaniałym przyjacielem stała się dla mnie i dla moich młodszych braci panna Dobson, a raczej stara Dobbie - tak ją zdrobniale nazywamy. Jestem pewien, iż pani wychowankowie żywią dla pani co najmniej tyle samo szacunku i przyjaźni, co my dla naszej wieloletniej guwernantki.

I co, źle to wymyśliłem? Ująłem kieliszek, który wetknięto mi do ręki, tak jakbym wznosił toast za pomyślność wszystkich guwernantek świata, choć w rzeczywistości napiłem się tylko po to, by uniknąć zakażenia po nabiciu się na ostre pręty sterczące z dna pułapki.

Jak się okazało, moja przezorność była całkowicie uzasadniona.

- Szacunek i przyjaźń moich wychowanków jest chyba jedyną rzeczą, jaką mogę cieszyć się w życiu - odparła wyniośle panna Granham. - Niemniej osierocona córka kanonika z Exeter, którą życiowe okoliczności zmuszają do wyjazdu na antypody, nie musi tak wysoko cenić sobie uczuć młodych ludzi, jak pan to sugeruje.

Nie dość, że schwytano mnie w pułapkę, to potem jeszcze rozstrzelano z rusznicy - całkowicie niewinnie, jak uważam, bo przecież uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by udobruchać rozdrażnioną niewiastę. Nie pozostało mi nic innego jak skłonić się w milczeniu na znak, że od tej pory może uważać mnie za swego sługę; młody oficer, Oldmeadow, ponownie wbił brodę w kołnierzyk, a Bates przyniósł nam sherry. Pospiesznie przełknąłem to,

co miałem w kieliszku, po czym złapałem następny, ale na szczęście Summers wybawił mnie z niezręcznej sytuacji mówiąc, że chciałby przedstawić mnie jeszcze kilku osobom. Zgodnie z prawdą odparłem, iż nie miałem pojęcia, że na statku podróżuje tak liczna grupa pasażerów. Dorodny, korpulentny dżentelmen oznajmił głosem świadczącym o zamiłowaniu do trunków, że można by teraz zrobić zbiorowy portret, gdyż z wyjątkiem jego małżonki i córki w salonie zebrali się wszyscy podróżni zakwaterowani w kajutach. Młody człowiek o ziemistej cerze, niejaki pan Weekes, który, jak mi się zdaje, po dotarciu na miejsce ma założyć szkołę, dodał, iż jego zdaniem najlepsze tło dla takiego obrazu stanowiliby ubodzy emigranci.

- Nie zgadzam się z panem - odparł korpulentny dżentelmen. - Wolałbym, aby uwieczniono mnie w otoczeniu ludzi wykształconych i dobrze urodzonych.

- Emigranci? - podchwyciłem, by wykorzystać okazję do zmiany tematu. - Nawet nie ma mowy! Podobnie nigdy bym się nie zgodził, aby ktoś sportretował mnie w towarzystwie któregoś ze zwykłych marynarzy.

Summers wybuchnął donośnym śmiechem.

- Wobec tego dla mnie także nie znalazłoby się miejsca na tym portrecie - oświadczył.  
- Kiedyś byłem właśnie „zwykłym marynarzem”, jak pan łaskawie zechciał to określić.

- Pan? Nie wierzę!

- Ale to prawda.

- Wobec tego, w jaki sposób...

Summers potoczył dokoła pogodnym spojrzeniem.

- Udało mi się dokonać tego, co w marynarskim języku określa się jako „przejście na rufę przez łuzę kotwiczną”. Innymi słowy, otrzymałem promocję jako jeden, jak był pan uprzejmy powiedzieć, ze zwykłych marynarzy.

Wasza lordowska mość nawet sobie nie wyobraża jak zaskoczyły mnie jego słowa, ani jak zirytowała świadomość, że wszyscy zebrani oczekują na moją odpowiedź. Ufam jednak, iż stanąłem na wysokości zadania, choć może powinienem był okazać nieco mniej pewności siebie.

- Cóż, Summers - rzekłem. - Przyjmij moje gratulacje, że udało ci się tak dobrze naśladować maniery oraz sposób mówienia ludzi należących do sfer wyższych niż te, do których należałeś od urodzenia.

Podziękował mi z cokolwiek przesadną wylewnością, po czym zwrócił się do całego towarzystwa:

- Panie i panowie, proponuję, byśmy zrezygnowali ze zbędnego ceremoniału i usiedli tam, gdzie komu wygodnie. Nie wątpię, iż podczas naszej długiej podróży zdarzy się jeszcze

niejedna okazja do urządzenia bardziej formalnego przyjęcia. Bates, powiedz im, że mogą zaczynać.

Zaraz potem z korytarza dobiegły fałszywe dźwięki skrzypiec oraz innych instrumentów. Podjąłem ostatnią próbę oczyszczenia atmosfery.

- Wiesz co, Summers? Skoro jednak nikt nie zrobi nam wspólnego portretu, to uprzyjemnijmy sobie życie sadzając między nami pannę Granham. Pozwoli pani ze mną?

Rzykowałem, że spotka mnie kolejna reprimenda, ale nic takiego się nie stało, ponieważ zaprowadziłem pannę Granham na jej miejsce przy oknie z taką atencją, jakby była co najmniej żoną jakiegoś para. Już w trakcie posiłku pochwaliłem znakomitą jakość mięsa, a wówczas porucznik Deverel, który zasiadł po mojej lewej stronie, wyjaśnił, iż jedna z krów złamała nogę podczas niedawnego sztormu, więc należało ją zabić i przerobić na befsztyki, mimo iż oznaczało to, że już do końca podróży będzie nam doskwierał niedostatek mleka. Panna Granham nawiązała ożywioną rozmowę z panem Summersem, toteż porucznik Deverel i ja dyskutowaliśmy przez pewien czas o uczuciach, jakie marynarze żywią wobec krowy ze złamaną nogą, o ich szczerości i prostolijności, zamiłowaniu do trunków, o nieśmiertelnych duszach, a także o ich odwadze i czci, jaką otaczają figurę dziobową statku. Doszliśmy również do wspólnego wniosku, że niewiele jest problemów, których nie udałoby się rozwiązać stanowczemu, ale wrażliwemu rządowi.

- Dokładnie tak samo mają się rzeczy na statku - poinformował mnie pan Deverel.

- Widziałem już dowody stanowczości - odparłem - wrażliwość natomiast, przynajmniej na razie, jakoś umknęła mojej uwagi.

Podczas naszej pogawędki gwar w jadalni przybrał na sile i całkowicie zagłuszył muzykę rozbrzmiewającą w korytarzu. Przeskakując z tematu na temat bardzo szybko osiągnęliśmy porozumienie, Deverel zaś zapałał do mnie taką sympatią, że nie zawahał się odsłonić swej duszy. Marzył o tym, by służyć na prawdziwym okręcie wojennym, nie zaś na wiekowej łajbie o nielicznej i dość przypadkowej załodze. Wyszło na jaw jak bardzo się myliłem, uważając że mamy na statku „zgrany zespół oficerów”. Okazało się bowiem, iż jest to zbieranina ludzi, którzy zobaczyli się po raz pierwszy zaledwie tydzień lub dwa tygodnie temu. Pan Deverel był z tego powodu bardzo rozgoryczony i nie krył żalu do swego ojca, który z pewnością mógłby wystarać mu się o lepszy przydział. Jest wysoce wątpliwe, by służba na tej jednostce stanowiła przełomowy moment jego kariery, tym bardziej, że wszystko wskazuje na to, iż wojna zbliża się już ku końcowi i zapewne niebawem działania zbrojne zupełnie ustaną, tak jak zatrzymuje się nie nakręcony w porę zegar. Deverel zachowuje się i wysławia w nadzwyczaj elegancki sposób, ponad wszelką wątpliwość

przynosząc zaszczyt swemu mundurowi.

W jadalni zrobiło się już tak głośno, jak w każdym publicznym miejscu pełnym ludzi. Wśród wybuchów śmiechu dawały się od czasu do czasu słyszeć soczyste przekleństwa, które wprowadzały pewien dysonans w beztroski nastrój pogodnej towarzyskiej rozmowy. Niepozorni państwo Pikę wraz ze swymi córeczkami wymknęli się cichcem na korytarz, a po jakimś szczególnie pikantnym wyrażeniu także panna Granham zerwała się na nogi, co wywołało natychmiastową reakcję moją i Summersa. Zaczęliśmy namawiać pannę Granham<sup>5</sup> by jednak została z nami, Summers poprosił ją, by nie zwracała uwagi na sposób wysławiania się oficerów, gdyż żaden z nich nie miał zamiaru nikogo obrazić, pewna zaś obcesowość ich mowy wiąże się z tym, że większą część życia spędzili na morzu, w surowych warunkach, otoczeni ludźmi niskiego stanu. Moim zdaniem prawie wszystkie nieprzystojne słowa padały nie z ust oficerów, lecz pasażerów statku. Mój Boże, pomyślałem, skoro tutaj, na rufie, tak się mają sprawy, to co dzieje się w innych częściach statku? Zanim jednak panna Granham zdołała wyjść zza stołu, drzwi otworzyły się i stanęła w nich dama bardzo różniąca się od niej wyglądem, młoda, bogato odziana i zalotna. Wkroczyła do jadalni z takim rozmachem, że aż kapelusik zsunął się jej z głowy, odsłaniając gęste, złociste loki. Wstaliśmy, by ją powitać - w każdym razie uczyniła to większość z nas - lecz ona dała gestem znak, byśmy się nie trudzili, podeszła do korpulentnego dżentelmena, nachyliła się do jego ucha i powiedziała mocno przesłodzonym głosem:

- Och, tatusiu, wreszcie udało mi się ją namówić, żeby przełknęła trochę rosołu!

Pan Brocklebank pokraśniał, a następnie oznajmił donośnym głosem:

- Szanowni państwo, oto moja ukochana, maleńka Zenobia!

Pannie Zenobii natychmiast zaproponowano co najmniej dziesięć miejsc przy stole, ale wszystkich przebiła panna Granham, która oświadczyła, że właśnie wychodzi, więc jej miejsce jest wolne, tyle że przydałaby się tam jeszcze jedna poduszka. Młoda dama - tak chyba wypada mi ją nazywać - odparła, dąsając się figlarnie, iż liczyła na to, że panna Granham będzie broniła jej czci przed zakusami groźnych dżentelmenów.

- Nonsens, moja pani - powiedziała panna Granham chyba jeszcze bardziej surowym tonem niż wówczas, gdy zwracała się do pokornego sługi waszej lordowskiej mości. - Całkowity nonsens. Pani cześć jest tutaj bezpieczna, podobnie jak wszędzie na pokładzie tego statku.

- Droga panno Granham! - wykrzyknęła młoda dama omdlewającym głosem. - Nie wątpię, iż pani czci nic nie zagraża nie tylko na pokładzie naszego statku, ale i nigdzie indziej na świecie!

Obrzydliwe, prawda? Jednak muszę z przykrością stwierdzić, że tu i ówdzie rozległy się wybuchy śmiechu, gdyż znajdowaliśmy się już w tej fazie posiłku, kiedy damy powinny trzymać się z daleka od panów. Deverel, ja i Summers zerwaliśmy się z miejsc, ale zaszczytu odprowadzenia panny Granham do drzwi dostąpił młody Oldmeadow.

- Usiądź przy mnie, moje dziecko - zadudnił korpulentny dżentelmen.

Panna Zenobia zatrzepotała powiekami i zasłoniła ręką oczy przed promieniami słońca wpadającymi przez szerokie rufowe okno.

- Tatusiu, kiedy tutaj słońce mnie razi!

- Szanowna pani - odezwał się Deverel - czy zechciałaby pani spocząć tutaj, w cieniu, dając nam jednocześnie możliwość rozkoszowania się jej widokiem?

- Bardzo chętnie - odparła. - Uważam, że miejsce panny Granham będzie dla mnie najlepsze.

Pobiegła wokół stołu niczym trzepoczący skrzydłami motyl. Nie wątpię, iż Deverel liczył na to, że panna Zenobia usadowi się obok niego, ona jednak siadła między mną a Summersem. Podtrzymywany przez wstążkę kapelusik wciąż jeszcze był zsunięty mocno do tyłu, dzięki czemu część złocistych loków mogła wymknąć się na wolność, ja jednak niemal natychmiast nabrałem podejrzeń, że smolista czerń brwi i rzęs oraz koralowa czerwień ust świadczą nie tyle o szczodrości Natury, co raczej o zamiłowaniu do korzystania z zawartości toaletki, co się zaś tyczy perfum...

Czy ja jednak aby nie nudzę? Biorąc pod uwagę, jak wiele pięknych kobiet, usiłujących - przypuszczalnie bez powodzenia - zwrócić uwagę na swe wdzięki widywałem w pobliżu waszej lordowskiej mości... Ech, jakimż komplementem mogę obdarzyć swego ojca chrzestnego, kiedy prawda przerasta wszystko, co mógłbym kiedykolwiek wymyślić?

Wracajmy jednak do rzeczy. Może się wydawać, że w mej relacji poświęcam zbyt wiele uwagi w gruncie rzeczy mało istotnemu wydarzeniu, jakim jest pojawienie się młodej damy - starałem się niczego nie zmyślać i nic nie ubarwiać, należy jednak wziąć pod uwagę, że przecież jestem młodym mężczyzną! Prawdziwej przyczyny mego rozgadania trzeba chyba upatrywać w fakcie, że panna Zenobia jest w tym towarzystwie jedyną naprawdę atrakcyjną przedstawicielką płci pięknej! No, wreszcie wydusiłem to z siebie. Mimo wszystko jestem dumny, że udało mi się zachować rozsądek i nie poddać poetycznemu uniesieniu, dzięki czemu byłem w stanie dostrzec, że panna Zenobia zbliża się już do wieku średniego i stara się ze wszystkich sił wykorzystać swoje wdzięki, zanim znikną na zawsze, jako główne narzędzie stosując ciągłe ożywienie, przypuszczalnie równie męczące dla niej, jak dla otoczenia. Nie sposób przyjrzeć się dokładnie twarzy, która ani przez chwilę nie pozostaje nieruchoma.

Czyżby rodzice zabrali ją ze sobą na antypody w ostatnim odruchu rozpacz, licząc na to, że może uda im się wreszcie wydać ją za męża? Chyba ani aborygeni, ani więźniowie, ubodzy emigranci, emerytowani żołnierze lub skromni urzędnicy niższego szczebla nie są na tyle wybredni, żeby... Trochę się zagalopowałem. Panna Zenobia wcale nie wygląda aż tak źle i jestem pewien, że mniej wymagający mężczyźni bynajmniej nie uznaliby jej za maszkarę.

Zostawmy ją jednak na chwilę w spokoju i zajmijmy się jej ojcem oraz dżentelmenem siedzącym naprzeciwko niego, na którego zwróciłem uwagę w chwili, gdy wszyscy zerwali się na równe nogi witając pannę Zenobię. Bez trudu usłyszałem jego głos, mimo tego, że po krótkiej przerwie salon ponownie wypełnił się gwarem rozmów.

- Panie Brocklebank, chciałbym, aby pan wiedział, że jestem nieprzejednanym wrogiem wszelkich przesądów!

Rzecz jasna, był to pan Prettiman. Marne wejście, prawda? Wszystko przez pannę Zenobię. Pan Prettiman jest niskim, krępy, wiecznie poirytowanym dżentelmenem. Zresztą, wasza lordowska mość doskonale go zna. Wiem - nieważne skąd - że wiezie na antypody prasę drukarską, i choć jest to bardzo mała maszyna, to przecież Gutenberg drukując Biblię miał do dyspozycji niewiele większe urządzenie.

Pan Brocklebank zadudnił w odpowiedzi, że to przecież drobnostka, nie chciał nikogo urazić, to tylko niewinny zwyczaj.

- Wyraźnie widziałem, co pan zrobił! Rzucił pan szczyptę soli przez ramię!

- Istotnie tak uczyniłem. Mam nadzieję, że po raz drugi nie rozsypię soli na obrusie.

Wypowiedź ta stanowiła niezbity dowód, że pan Brocklebank nie ma pojęcia, o co właściwie chodzi panu Prettimanowi. Skonfundowany filozof z otwartymi ustami opadł na krzesło, niknąc mi w ten sposób z oczu, natomiast panna Zenobia zwróciła ku mnie zaniepokojoną twarz choć, naturalnie, nie zapomniała o tym, by rzucić mi spojrzenie zza zasłony długich czarnych rzęs... Dosyć tego. Nie wierzę, żeby Natura sama z siebie...

- Panie Talbot, ja się boję! Pan Prettiman, kiedy się rozgniewa, robi się niezwykle groźny.

Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej groźnego od postrzelonego filozofa. Natychmiast rozpoznałem pierwsze kroki doskonale mi znanego, odwiecznego tańca: od tej pory ona zacznie odgrywać rolę bezsilnej niewiasty, otoczonej potworami takimi jak pan Prettiman oraz chrześniak waszej lordowskiej mości, ja natomiast będę groźnie błyskał zębami i wymyślał coraz bardziej rubaszne żarciki, aż wreszcie biedaczce nie pozostanie nic innego, jak zdać się na mą łaskę, odwołując się do moich szlachetnych uczuć i błagając o litość. Rozbudzone tym tańcem zwierzęce namiętności, zwane przez doktora Johnsona



„popędem miłosnym”, stanowią główną życiodajną siłę, której istoty takie jak ona zawdzięczają swą egzystencję.

To oczywiste, że ta refleksja skłoniła mnie do zachowania większego dystansu, ale jednocześnie zwróciła moją uwagę na inny aspekt wydarzenia: siedząca obok mnie kobieta była co najmniej stałym gościem w teatrze, a kto wie, czy nawet nie odtwórczynią jednej z ról! Opisując swoje przeżycia podczas niedawnego sztormu rozmawiała wprawdzie ze mną, ale mówiła tak głośno, aby słyszeli ją także Summers Oldmeadow, niejaki pan Bowles siedzący po drugiej stronie stołu i w ogóle każdy, kto akurat znajdował się w pobliżu. Nasze zadanie polegało na tym, by włączyć się do gry, ale zanim pierwszy akt rozpoczął się na dobre - muszę przyznać, że w gruncie rzeczy nie miałem nic przeciwko temu, by uczestniczyć w przedstawieniu, gdyż w ten sposób uniknąłbym nudy która wiąże się nierozzerwalnie z tak długą podróżą - jeszcze donośniejsze okrzyki, pomruki i dudnienia dobiegające od strony panów Prettimana i Brocklebanka sprawiły, że moja sąsiadka zбочyła w kierunku poważniejszych tematów. Przyznała, że ona sama często puka w nie malowane drewno, na co odparłem, iż na widok czarnego kota przebiegającego mi drogę nie wzdragam się, lecz doznaję przyjemności. Dowiedziawszy się, że szczęśliwą liczbą panny Zenobii jest dwadzieścia pięć zapewniłem ją, że w takim razie na swoje dwudzieste piąte urodziny może spodziewać się wielu wspaniałych prezentów; niestety, nie zwróciła uwagi na to szyte grubymi nićmi pochlebstwo, ponieważ właśnie wtedy pan Bowles (który chyba ma coś wspólnego z prawem i jest wręcz niewyobrażalnym nudziarzem) wyjaśniał, iż zwyczaj pukania w nie malowane drewno jest dalekim echem zachowań papistów, którzy wielbią krzyż i często go całują. Nie dałem się jednak zbić z tropu i opowiedziałem o mojej piastunce. Twierdziła ona, jakoby skrzyżowane noże oznaczały bliską kłótnię, natomiast bochen chleba położony spodem do góry - morską katastrofę. Panna Zenobia wrzasnęła przeraźliwie i zażądała od Summersa, aby wziął ją pod opiekę, na co on zapewnił, że nie ma powodu obawiać się Francuzów, gdyż ci dostali ostatnio niezłego łupnia, ale sama wzmianka o wrogach wystarczyła, by nasza towarzyszka dostała niemal spazmów ze strachu i uraczyła nas kolejną opowieścią o tym, jak to spędzała długie godziny, dygocząc z lęku w pogrążonej w ciemności kabinie. Przecież jesteśmy zupełnie osamotnieni! Jesteśmy, wyszeptała drżącym głosem...

...sami, całkiem sami,

zupełnie sami

na szerokim, rozkołysanym morzu!

Doprawdy, trudno sobie wyobrazić bardziej zatłoczone miejsce od wnętrza tego statku

- pod tym względem mogą się z nim równać chyba tylko jednostki więzienniczej transportujące na antypody zbrodniarzy skazanych za najcięższe przewinienia. Ach, spotkała tutaj pana Coleridge'a! Pan Brocklebank - to znaczy tatuś - namalował jego portret i nawet zrodził się pomysł wydania całego ilustrowanego albumu, ale w końcu stanęło na niczym.

W tej samej chwili pan Brocklebank, do którego uszu dotarły zapewne recytatorskie popisy córki, począł dudnić rytmicznie, deklamując pozostałą część wiersza. Zapewne musiał znać go na pamięć, jeśli zamierzał namalować portret autora. Zaraz potem między nim a filozofem rozgorzał kolejny spór; rozmowy umilkły, a wszyscy z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwali się prowadzonej bardzo głośno wymianie zdań.

- Nie zrobiłbym tego, szanowny panie! - zagrzmiął malarz. - W żadnych okolicznościach!

- Wobec tego powinien powstrzymać się pan od jedzenia kurczaków i w ogóle jakiegokolwiek drobiu!

- Wcale nie!

- Dlaczego więc przynajmniej nie zrezygnuje pan z tego kawałka krowy, który leży przed panem na talerzu? W Indiach żyje dziesięć milionów braminów, którzy poderznąliby panu gardło za to, że bezcześci pan ich świętość.

- Na szczęście na tym statku nie ma żadnego z nich.

- Chodzi o spójność."

- Powtarzam panu jeszcze raz, że na pewno nie zastrzeliłbym albatrosa. Jestem człowiekiem o pokojowym usposobieniu i dlatego gdyby pan uczynił coś takiego, z rozkoszą wypaliłbym panu w głowę!

- A ma pan strzelbę? Bo ja zamierzam właśnie zastrzelić albatrosa, a wówczas wszyscy będą mieli okazję przekonać się3 jaki...

- Owszem, mam strzelbę, choć jeszcze nigdy nie zrobiłem z niej użytku. A pan może jest specjalistą w tej dziedzinie?

- W życiu nie pociągnąłem za spust.

- Wobec tego bardzo proszę, może pan skorzystać z mojej broni!

- Z pańskiej, szanowny panie?

- Z mojej, szanowny panie!

Pan Prettiman ponownie zerwał się z miejsca. Jego oczy miotały lodowate błyskawice.

- Z największą chęcią! Wkrótce pan się przekona, a wraz z panem cała załoga tego statku!

Przedostał się na drugą stronę ławki, na której do tej pory siedział, po czym dosłownie

wybiegł z salonu. Kilka osób parsknęło śmiechem, ale choć natychmiast wznowiono konwersację, to jednak prowadzono ją znacznie ciszej niż przed owym incydentem.

- Tatuś postanowił uczynić wszystko, aby zapewnić nam bezpieczeństwo na antypodach - oznajmiła mi panna Zenobia.

- Chyba nie zamierza przebywać wśród tubylców?

- Wpadł na pomysł, by nauczyć ich sztuki portretowania. Uważa, że dzięki temu osiągną spokój ducha, który stanowi pierwszy krok na drodze ku cywilizacji. Martwi go jedynie to, że malując ciemne twarze napotyka się na wiele technicznych trudności.

- Wydaje mi się, że może to być bardzo niebezpieczne i, szczerze mówiąc, mocno wątpię, aby gubernator wyraził zgodę.

- Pan Brocklebank, to znaczy tatuś, ma nadzieję przekonać gubernatora, by zlecił mu to zadanie.

- Dobry Boże! Ma się rozumieć, nie jestem gubernatorem, ale niech pani pomyśli o tych wszystkich zagrożeniach!

- Jeżeli nie są straszne duchownym...

- Właśnie, a co się dzieje z pastorem?

- Został w kabinie - poinformował mnie Deverel. - Wątpię, żeby zechciał ją prędko opuścić, i dzięki Bogu, oraz kapitanowi, ma się rozumieć. Nie tęsknię za nim, zresztą podobnie jak pan, jeśli się nie mylę.

Dopiero teraz przypomniałem sobie o obecności oficera i spróbowałem zachęcić go do udziału w rozmowie, ale on wstał z miejsca i odparł, w dość szczególny sposób akcentując słowa:

- Muszę iść na wachtę, ale nie wątpię, iż pan i panna Brocklebank będziecie doskonale bawić się w swoim towarzystwie.

Odszedł, ukłoniwszy się nisko mojej sąsiadce. Odwróciłem się do niej, by stwierdzić, że jest głęboko pogrążona w myślach. Nie, z całą pewnością nie spoważniała, ale za sztucznym ożywieniem malującym się na jej twarzy dostrzegłem coś, czego do tej pory tam nie było. Czy wasza lordowska mość pamięta, jak zalecał mi, bym starał się zawsze czytać w twarzach swoich rozmówców? Otóż całkiem niespodziewanie nabrałem pewności, iż za zasłoną kobiecej beztroski podszytej sprytem i figlarnością kryje się zupełnie inna, czujna osoba. Czy pojawiła się za sprawą niewinnej uwagi Deverela? O czym myślała... O czym myśli teraz? Może o małej przygodzie, jak z pewnością by powiedziała, *przedsięwziętej pour passer le temps?*

Jak wasza lordowska mość widzi, nie przykładałem się zbyt do prowadzenia tego dziennika, a przyczyna mojej opieszałości nie miała nic wspólnego z tym, czego mógłbym sobie życzyć. Znowu wpadliśmy w paskudną pogodę, nieznośne kołysanie zaś wywołało u mnie bolesną kolkę. Teraz jednak morze jest znacznie spokojniejsze, a wraz z poprawą pogody polepszyło się również moje samopoczucie, dzięki czemu mogę znowu pisać, choć bardzo powoli - położyłem zeszyt na tacy, a tę na kolanach. Pocieszam się tylko myślą, że podczas mojej długotrwałej niedyspozycji statek uparcie podążał naprzód. Jesteśmy już poniżej śródziemnomorskich szerokości, według Wheelera zaś (tego chodzącego Falconera), płynęlibyśmy jeszcze szybciej, gdyby nie opłakany stan naszej jednostki. Podczas sztormu marynarze kilkakrotnie byli wzywani do pomp; przypuszczałem, że pompy skrzypią i bez trudu usłyszę ich melancholijną skargę, lecz okazało się inaczej. Podczas największej nawałnicy zapytałem z niepokojem mego gościa, porucznika Summersa, dlaczego nie zaczęli jeszcze wypompowywać wody, na co uzyskałem zapewnienie, że ludzie przez cały czas pracują przy pompach.

Istotnie, z powodu swojej choroby mogłem być trochę przewrażliwiony i tylko wydawało mi się, że statek jest zanurzony głębiej niż zwykle. Według zapewnień Summersa ludzie morza nie widzą niczego wstydliwego w stanie, w jakim się znajdowałem, i poparł swoje twierdzenie, opowiadając o lordzie Nelsonie. Wydaje mi się jednak, że nieco straciłem w oczach oficera. Świadomość, iż pan Brocklebank oraz jego córka mają się jeszcze gorzej ode mnie, to znaczy czują się tak, jak od początku podróży nieszczęsna pani Brocklebank, nie jest dla mnie najmniejszą pociechą. Wolę nie myśleć, jak muszą teraz wyglądać dwie sąsiadujące ze sobą kajuty, w których zamieszkała ta rodzina!

Koniecznie trzeba wspomnieć o czymś jeszcze. Tuż przed tym, jak zwała mnie z nóg paskudna przypadłość - teraz czuję się już prawie zdrowy, choć jestem jeszcze osłabiony - naszą małą społecznością wstrząsnęło wydarzenie natury politycznej. Otóż kapitan za pośrednictwem pana Summersa odmówił prośbie pastora, pragnącego odprawić mszę na pokładzie statku, zabronił mu także wstępu na mostek, co miało być karą za naruszenie regulaminu pokładowego. Cóż to za tyran! Doniósł nam o tym pan Prettiman, który większość czasu spędza paradując po rufie z fuzją na ramieniu. Ów nieszczęśnik znalazł się w pułapce przeciwstawnych idei: z jednej strony sama koncepcja wiary budzi w nim niekłamaną

odrazę, z drugiej natomiast jest gorącym zwolennikiem nieograniczonej wolności. Doprawdy, aż żal było patrzeć, jak męczy się, miotany sprzecznymi uczuciami. Jak wasza lordowska mość przypuszcza, kto pospieszył mu z pomocą, niosąc upragnione ukojenie? Panna Granham! Usłyszawszy tę nadzwyczajną, przezabawną wieść, zwlokłem się z koi, po czym ogoliłem się i ubrałem. Powodowało mną poczucie obowiązku wzmocnione głębokim wewnętrznym przekonaniem. Do czego to podobne, aby jakiś ponury kapitan w ten sposób narzucał mi swoją wolę! Dobrze sobie! Nie potrzebuję pytać go o zdanie, jeśli akurat przyjdzie mi ochota wziąć udział w jakichś religijnych obrzędach. Pomyślałem, że najlepszym miejscem dla wprowadzenia mego planu w życie będzie salon; nikt, komu władza nie uderzyła do głowy na tyle, by zamienić się w chorobliwą manię, nie zdoła nas stamtąd usunąć! Pastor mógłby odprawić tam krótkie wieczorne nabożeństwo. Starając się iść w miarę prosto skierowałem się do drzwi po drugiej stronie korytarza i zastukałem w nie.

Powitał mnie tym samym, falistym ruchem całego ciała, a ja natychmiast poczułem, że ponownie ogarnia mnie odraza do tego człowieka.

- Szanowny panie... eee...

- James Colley, panie Talbot. Wielebny Robert James Colley do pańskich usług.

- Chodzi mi raczej o pańskie posługi.

Ależ go skrzywiło! Zupełnie jakby uznał to słowo za wyraz hołdu złożonego równocześnie jemu i Opatrzności.

- Panie Colley, kiedy przypada najbliższy Dzień Pański?

- Dokładnie dzisiaj, proszę pana. Wpatrywał się we mnie oczami pełnymi zapału, pokory i całkowitego oddania, jakby spodziewał się, że lada chwila wyciągnę z kieszeni dokument nadający mu jakieś tłuste beneficjum. Zirykował mnie tym tak bardzo, że niewiele brakowało, a zrezygnowałbym ze swoich planów.

- Już dawno zwróciłbym się do pana z tą propozycją, gdyby nie to, że byłem trochę niedysponowany - rzekłem. - Otóż są wśród nas damy i dżentelmeni, którzy pragną, aby z wybiciem siódmej szklanki podczas popołudniowej wachty albo, jeśli woli pan pozostać przy lądowej terminologii, o wpół do czwartej po południu, odprawił pan w salonie krótkie nabożeństwo.

Natychmiast stał się jakby większy, a jego oczy wypełniły się łzami.

- Panie Talbot, to... to... Doprawdy, właśnie tego się po panu spodziewałem!

Moja irytacja narastała z każdą chwilą. Chciałem już go zapytać skąd, do wszystkich diabłów, wiedział, czego się po mnie spodziewać, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język, skinąłem głową i wyszedłem z jego kajuty, nie dość szybko jednak, by nie usłyszeć

wymamrotanej pod nosem uwagi o „obowiązku niesienia pociechy chorym”. Dobry Boże, pomyślałem, jeśli tego spróbuje, spotka go ostra odprawa! Moje wzburzenie miało też jednak zbawienny skutek - gdyż pozwoliło mi zapomnieć o uginających się kolanach i dotrzeć do salonu, gdzie zastałem Summersa. Poinformowałem go o krokach jakie poczyniłem, porucznik zaś nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy zasugerowałem, by zaprosił kapitana na nabożeństwo, uśmiechnął się kwaśno i odparł, że i tak musiałby go o tym powiadomić, ponadto, jeśli wolno, proponowałby późniejszą godzinę. Odparłem, że godzina jest mi całkowicie obojętna, a następnie wróciłem do kajuty, gdzie opadłem na płócienne krzesło, okrutnie zmęczony, lecz już z pewnością nie chory. Nieco później zjawił się Summers. Zmienił poczynione przeze mnie ustalenia, ale wyraził nadzieję, iż nie wezmę mu tego za złe. Niech wasza lordowska mość sobie wyobrazi: przedstawił całą sprawę tak, jakby nabożeństwa domagali się wszyscy pasażerowie! Pospieszył też z zapewnieniem, iż dzięki temu moje żądanie zaczęło nieco lepiej przystawać do tradycji i obyczajów obowiązujących podczas morskich podróży. Niech i tak mu będzie;; taki jak ja, gorący wielbiciel trudno zrozumiałego, ale nadzwyczaj wyrazistego języka marynarzy (mam nadzieję już niedługo przedstawić waszej lordowskiej mości kilka nowych, smakowitych przykładów), z pewnością nie może mieć nic przeciwko przestrzeganiu „tradycji i obyczajów obowiązujących podczas morskich podróży”. Gdy tylko dowiedziałem się, iż pastor otrzyma także prawo wygłoszenia kazania, natychmiast zacząłem żałować mej impulsywności oraz pojąłem, jak wiele zadowolenia dało mi tych kilka tygodni, podczas których nie miałem żadnego kontaktu z Kościołem anglikańskim! Naturalnie było już jednak za późno, żeby się wycofać, więc wziąłem udział w nabożeństwie. Odprawił je nasz mały duchowny. Doprawdy, trudno wyobrazić sobie coś bardziej żałosnego. Tuż przed rozpoczęciem modłów ujrzałem pannę Brocklebank. Jej twarz była pokryta grubą warstwą bieli i różu. Przypuszczalnie tak właśnie wyglądała Magdalena, czekająca na klientów przy zewnętrznym murze świątyni. Należało wątpić, czy Colley odważy się zwrócić naszej damie uwagę, że w przybytku Pana obowiązuje bardziej stosowny wygląd. Wkrótce jednak okazało się, iż nie doceniłem ani jej przebiegłości, ani doświadczenia, bo kiedy w salonie zapłonęły świece, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ich blask zamienił sztuczne kolory w oznaki młodości i urody! Panna Zenobia posłała mi przeciągłe spojrzenie. Ledwo zdołałem ochłonąć po doznanym wstrząsie, kiedy przekonałem się, iż Summers wniósł jeszcze jedną poprawkę do mojej propozycji. Otóż, nie konsultując tego ze mną, zaprosił do udziału w nabożeństwie kilku zacniejszych emigrantów: kowala Granta, Filtona i Whitlocka, którzy są chyba kancelistami, a także pana Graingera, pisarza sądowego, wraz z jego starą żoną. Rzecz jasna, w każdym wiejskim kościółku w

niedzielę można spotkać ludzi różnych stanów, ale wprost trudno sobie wyobrazić coś bardziej tandetnego i nienaturalnego niż nasze zgromadzenie w salonie na rufie statku! Nie zdążyłem jeszcze na dobre odzyskać równowagi ducha, gdy do pomieszczenia - oczywiście wszyscy wstali z miejsc dla okazania należnego szacunku - wkroczyło niewiele ponad pięć stóp pastora w komży, okrągłej peruce zwieńczonej biretem, długiej sutannie oraz podkutych butach, roztaczając wokół siebie aurę nieśmiałości, pobożności, szczęścia i samozadowolenia. Wasza lordowska mość być może zaprotestuje, twierdząc, jakoby niektóre z tych atrybutów nie mogą występować w tym samym czasie i miejscu, a ja odpowiem, że istotnie, w normalnej twarzy trudno dopatrzeć się ich wszystkich jednocześnie, i że zazwyczaj jeden dominuje nad pozostałymi. Czyż śmiejąc się nie czynimy tego ustami, policzkami i oczami, całą twarzą, od podbródka poczynając, na czole kończąc? Jednak w przypadku Colleya sprawa ma się zupełnie inaczej. Natura ulokowała... Nie, ten czasownik sugeruje aktywność, o jakiej z pewnością nie mogło być mowy. Powiedzmy raczej tak: w jakimś odosobnionym zakątku plaży Czasu, albo na bagnistym brzegu którejś z jego najmniejszych rzeczulek, nie wiedzieć czemu nagromadziło się mnóstwo rozmaitych cech odrzuconych przez Naturę<sup>3</sup> która uznała, że żadnej z nich nie będzie mogła wykorzystać w pracy nad swoimi tworem. Pewnego dnia ów przedziwny zlepek ożywiła zagubiona iskra, jedna z tych, co tlą się w umysłach owiec albo innych, podobnych im stworzeń, rezultatem tego zaś stał się świeżo upieczony sługa Kościoła.

W tym, co właśnie napisałem, wasza lordowska mość bez trudu dopatrzy się chęci literackiego ujęcia mych doznań i przemyśleń; pochlebiam sobie, iż próba ta nie zakończyła się fiaskiem. Obserwując rozgrywającą się scenę doszedłem do wniosku, że Colley stanowi żywy dowód słuszności sentencji Arystotelesa. Mimo wszystko istnieje pewien porządek rzeczy, do którego należy także człowiek, chociaż za sprawą kapryśnego zbiegu okoliczności zyskał szansę bytowania także poza nim. Porządek ten znajduje swoje odbicie choćby w prymitywnych średniowiecznych rękopisach zdobionych ilustracjami pozbawionymi perspektywy oraz barwnych odcieni. Na obrazkach przedstawiających jesień widzimy zbierających plony wieśniaków. Ich twarze są skryte pod kapturami, nie na tyle jednak, by nie dostrzec, iż mają one dokładnie ten sam wyraz, co oblicze wielebnego Colleya. Opuszczone oczy stanowiły dowód nieśmiałości, uniesione kąciki ust zaś - zadowolenia, a może nawet triumfu! Reszta fizjonomii świadczyła o tym, że jej właściciel uczęszczał do szkoły na polu, zbierając kamienie i płosząc ptaki, studia uniwersyteckie odbył natomiast przy pługu. Tylko w takich okolicznościach te, jakże przypadkowe rysy, mogły pod wpływem gorących promieni słońca stopić się w całość, ożywioną wyrazem skromności i pokory.

I znowu wróciliśmy do literatury, nieprawdaż? Nic jednak na to nie poradzę, gdyż wciąż jeszcze czuję w sobie płomień niepokoju i oburzenia. Pastor doskonale zdawał sobie sprawę, że jestem w tym towarzystwie najważniejszą osobą. Chwilami trudno było stwierdzić, czy zanosi modły do Opatrzności, czy raczej do Edmunda Talbota, zachowywał się zaś równie sztucznie jak panna Brocklebank. Miałem ochotę wybuchnąć niepohamowanym śmiechem, ale powstrzymywał mnie przed tym jedynie szacunek dla stanu duchownego - rezultat starannego wychowania, jakie otrzymałem.

Wśród zacnych emigrantów uczestniczących w nabożeństwie znajdowała się również pewna nieszczęsna, blada jak papier dziewczyna, którą wniesiono ostrożnie do salonu i posadzono za naszymi plecami. Dowiedziałem się, że biedactwo poroniło podczas pierwszego sztormu. Niesamowita bladość oblicza młodej kobiety ostro kontrastowała ze sztuczną ponętnością panny Zenobii, nadzwyczaj godne zaś i pełne szacunku zachowanie jej towarzyszy znalazło karykaturalne odbicie w postępowaniu ludzi znacznie lepiej urodzonych: ten od farb pozował na dewota, ten od ksiązek natomiast udawał świętoszka, początek nabożeństwa oznaczał także inaugurację najbardziej żalostnego spektaklu, jakiego byłem świadkiem tego wieczoru. Bynajmniej nie mam na myśli rozlegających się nad naszymi głowami kroków pana Prettimana, który głośno tupiąc przechadzał się po pokładzie rufowym, demonstrując w ten sposób swój antyklerykalizm, ani także głośniejszej niż zazwyczaj wrzawy towarzyszącej zmianie wachty. Bez wątpienia działo się tak za cichym pozwoleniem, a może nawet na bezpośredni rozkaz kapitana. Mówię jedynie o łagodnie kołyszącym się salonie, bladej dziewczynie oraz farsie, jaka rozgrywała się na jej oczach. Otóż kiedy tylko pan Colley spojrział po raz pierwszy na pannę Brocklebank, przywarł do niej wzrokiem i nie mógł oderwać go ani na chwilę; ona z kolei dała popis dewocji, jaki można obejrzeć jedynie w jarmarcznych teatrzykach. Przez cały czas albo wisiła spojrzeniem na ustach pastora, albo kierowała oczy ku niebu; wargi albo miała rozchylone w pozbawionej tchu ekstazie, albo poruszała nimi szybko, wypowiadając przepelnione pasją „Amen!” W pewnej chwili przez kongregację przebiegł stłumiony chichot, kiedy jedno ze świętoszkowatych odezwań pana Colleya, po którym jak zwykle rozległo się „Amen!” panny Brocklebank, zostało podkreślone (kraby jednak bywają pijane, a ślimak miewa nogi!) donośnym pierdnięciem pana Brocklebanka.

Mimo iż starałem się zachować dystans - wobec całego tego spektaklu, zdarzenie owo napelniła mnie głębokim wstydem, toteż zacząłem czynić sobie wyrzuty z powodu moich uczuć. Teraz jednak, kiedy odkryłem już prawdziwą przyczynę mego niepokoju, wydaje mi się, iż uczucia te były w pełni uzasadnione. Jak już wspominałem, znalazło się wśród nas



kilkoro ludzi z gminu. Nie można wykluczyć, że przyszedli na rufową część statku z takim samym nastawieniem jak ci, co twierdzą, jakoby pragnęli obejrzeć płótna Canaletta wiszące w komnatach waszej lordowskiej mości, choć w gruncie rzeczy zależy im wyłącznie na tym, by przekonać się na własne oczy, jak naprawdę żyją ludzie szlacheckiego stanu. Ja jednak mimo wszystko sądzę, iż powodowała nimi wyłącznie pobożność. Czegóż innego mogła szukać ta biedna, śmiertelnie blada dziewczyna, jak nie religijnej pociechy? I kto odważyłby się jej odmówić, bez względu na to, jak iluzoryczna taka pociecha mogła dać efekty? Zaiste, żalosne przedstawienie odgrywane przez klechę i jego wypacykowaną Magdalенę nie było w stanie przeszkodzić dziewczynie w nawiązaniu kontaktu z wyimaginowanym obiektem modłów, ale co z tymi zacnymi osiłkami, którzy sprawowali nad nią opiekę? Nie zdziwiłbym się, gdyby ich poczucie lojalności oraz posłuszeństwa zostało poważnie zachwiane.

Nie ulega wątpliwości, że kapitan Anderson ma kościół w głębokiej pogardzie, co w znaczący sposób udzieliło się jego ludziom. Nie wydawał w tej sprawie żadnych rozkazów, ale z pewnością miał przygotowany plan działania wobec oficerów, którzy nie podzielali jego obsesji, ponieważ zjawili się tylko pan Summers oraz pan Oldmeadow, który na dodatek nie jest oficerem Marynarki, tylko wojsk lądowych. Wasza lordowska mość doskonale wie, dlaczego ja tam przyszedłem: po prostu nie cierpię tyranii!

Kiedy wreszcie udało mi się przeanalizować sytuację i postawić diagnozę, kazanie miało się już ku końcowi. Ujrzawszy po raz pierwszy, jak wymalowana twarz aktoreczki przykuwa uwagę wielebnego dżentelmena, pomyślałem sobie, iż poczuł on coś w rodzaju odrazy połączonej z mimowolną fascynacją nieśmiałym głosem uczucia - nie, zwykłego pożądania - jakie widok rozpustnicy musi wywołać w ciele, bo nie umyśle, mężczyzny. Zaraz potem jednak doszedłem do wniosku że się mylę. Pan Colley z pewnością nigdy nie był ani w teatrze, ani w *maison d'occasion*, którego zresztą mógłby po prostu nie znaleźć w swojej zapadłej diecezji! Jego święta księga mówiła o tym, że kobiety o wymalowanych twarzach prędzej czy później trafią do piekła, ale nie zawierała wskazówek, w jaki sposób rozpoznać jedną z nich w migotliwym blasku świec. On po prostu nie wiedział, że to przedstawienie! Tych dwoje połączył tandetny łańcuch z tombaku. Kiedy w swoim kazaniu wspomniał o „wszystkich dżentelmenach”, przerwy nagle, spojrzał w jej stronę i dodał z figlarnym uśmiechem: „Oraz szanowne damy, ma się rozumieć także te najpiękniejsze”. Spod kapelusza panny Granham dobiegło głośne syknięcie, a Summers nerwowo założył nogę na nogę.

Ten niesmaczny spektakl wreszcie jednak dobiegł końca, a ja wróciłem do kajuty, by zdać relację z minionych wydarzeń. Z przykrością muszę stwierdzić, iż czuję się coraz gorzej, choć kołysanie prawie zupełnie ustało. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje; w mojej

pisaninie było mnóstwo żółci, więc może te przykre dolegliwości są spowodowane jej nadmiarem?

Chyba już siedemnasty dzień, ale jakie to ma znaczenie? Znowu kolka. Och, Nelsonie! W jaki sposób udało ci się przeżyć tyle lat i umrzeć nie w bolesnych konwulsjach, lecz zginąć z ręki nieprzyjaciela?

?

Co prawda blady i osłabiony, ale jednak zdołałem podnieść się z łoża boleści. Wygląda na to, że mimo wszystko chyba dotrwam do końca podróży!

Zanotowałem to wczoraj. Moje zapiski stają się krótkie jak niektóre rozdziały pana Sterne'a! Koniecznie muszę poinformować waszą lordowską mość o nadzwyczaj zabawnym wydarzeniu. Otóż kiedy moja choroba osiągnęła najwyższe natężenie, chwilę przed tym, nim wreszcie zdecydowałem się przyjąć sporą dawkę specyfiku Wheelera, rozległo się delikatne pukanie do drzwi mojej kajuty.

- Kto tam? - zapytałem.

- To ja, panie Talbot. Colley, pamięta pan, wielbny Colley, do pańskich usług!

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przyszła mi do głowy jedyna odpowiedź, która mogła uchronić mnie przed jego wizytą.

- Proszę mi wybaczyć, panie Colley... - Umilkłem na chwilę, gdyż moje wnętrze skręciła gwałtowna konwulsja. - Wybacz mi pan, ale właśnie jestem pogrążony w modlitwie!

Nie wiem, czy z szacunku dla mojej prywatności, czy na widok Wheelera niosącego porcję kojącego specyfiku, odszedł, pozostawiając mnie w spokoju. Dawka „lekarstwa” była tak duża, że niemal pozbawiła mnie przytomności, ale wydaje mi się, że jakiś czas potem otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą przedziwne, jakby posklejane z mnóstwa nie pasujących do siebie kawałków, oblicze Colleya. Jeden Bóg wie, kiedy to się stało i czy w ogóle miało miejsce. Teraz jednak, kiedy jako tako doszedłem do siebie, mały pastor z pewnością nie będzie miał śmiałości narzucać się ze swym towarzystwem.

Majaki, które mnie nawiedziły, z pewnością zostały wywołane przez opium, które jest głównym składnikiem specyfiku. Widziałem przed sobą wiele zawieszonych w powietrzu twarzy, możliwe więc, że twarz Colleya stanowiła jedynie część snu. Prześladowało mnie wspomnienie bladej dziewczyny; mam nadzieję, że szybko powróci do zdrowia. Widok czarnej, prostokątnej dziury ziejącej w jej policzku sprawił mi ogromny ból. Nie jestem w stanie opisać, jak bardzo byłem wstrząśnięty, i jak bardzo niepokoiłem się widząc, że dziewczyna prawie wcale się nie porusza. Kiedy wróciłem myślą do niedawnego nabożeństwa, ogarnęła mnie wściekłość na jej męża, który naraził ją na udział w tej żalostnej farsie, ale dzisiaj, kiedy poczułem się znacznie lepiej, ponure, nieprzyjemne myśli zniknęły jak ręką odjął. Statek gna naprzód, a ja równie szybko powracam do zdrowia. Choć robi się

coraz bardziej wilgotno i gorąco, odgłos kroków pana Prettimana prawie zupełnie przestał mi przeszkadzać. Dżentelmen ów uparcie przechadza się po pokładzie rufowym z fuzją tego opoja Brocklebanka, oczekując pojawienia się albatrosa, którego postanowił za wszelką cenę zestrzelić, na przekór panu Brocklebankowi, Coleridge'owi oraz wszelkim przesądom, jakie ci dwaj mogliby wezwać na pomoc. Pan Prettiman stanowi żywy dowód na to, jak bardzo irracjonalnie potrafi zachowywać się filozof-racjonalista!

To chyba dwudziesty trzeci dzień żeglugi. Summers obiecał zaznajomić mnie z nazwami najważniejszych części takielunku, ja zaś postanowiłem zaskoczyć go swoją wiedzą szczura lądowego, w większości zaczerpniętą z książek, o których nie słyszał nigdy w życiu. Zamierzam także zabawić waszą lordowską mość podając kilka najbardziej smakowitych terminów, z czym nie powinienem mieć większych problemów, ponieważ - co prawda pomалу i niezbyt pewnie - zaczynam posługiwać się marynarskim językiem. Jaka szkoda, że ten niesłychanie ekspresyjny środek wyrazu jest tak rzadko wykorzystywany w literaturze!

Czy w takim upale i wilgotności powietrza można zachować rachubę czasu?

Naturalnie to była Zenobia. Czy wasza lordowska mość zwrócił uwagę... Na pewno tak! Dlaczego w ogóle o to pytam? Przecież już wielokrotnie udowodniono, że istnieje oczywisty, ścisły związek między ilością wypitego trunku a percepcją niewieścich wdzięków. Po trzech szklaneczkach zobaczyłem, jak dwadzieścia lat znika z jej twarzy niczym śnieżna czapa roztapiająca się w gorących promieniach słońca. Fakt, że znajdujemy się na pokładzie statku, płynąc powoli przez tropiki, jeszcze wzmocnił ten efekt, oddziałując na mą męskość w sposób, który powinien zostać odnotowany w tajemnych księgach uczących medycznej profesji. Być może gdzieś u Marcjalisa - niestety, nie wziąłem go ze sobą - albo u Teokryta... Pamiętasz, ojcie chrzestny? Skwar letniego południa του Πάνα δεδοίκαιμς. Zaiste, mamy wszelkie podstawy, aby obawiać się odwiedzin Pana lub jego morskiego odpowiednika, ktokolwiek nim jest! Z drugiej jednak strony bogowie mórz oraz wszelkiego rodzaju nimfy wodne z pewnością nie są gorącokrwistymi istotami... Muszę przyznać, że pomimo całych pokładów makijażu, ta kobieta jest nieprawdopodobnie atrakcyjna. Nie skończyło się na jednym razie i nic w tym dziwnego. To szaleństwo, tropikalne szaleństwo, istne delirium, jeśli nie wręcz opętanie. Mimo wszystko, stojąc w nocy przy burcie i spoglądając na kołyszące się łagodnie gwiazdy, schwyte w pułapkę wypełnionych wiatrem żagli, wymawiam wzruszonym głosem jej imię, choć przez cały czas zdaję sobie sprawę z mego szaleństwa, ona natomiast, z prawie odśnieżoną, falującą piersią”. Wariactwo, kompletne wariactwo, ale jak inaczej mam o tym opowiedzieć?

Czcigodny ojcie chrzestny, z pokorą przyjmę reprimendę, jeśli uznasz za stosowne mi jej udzielić. Jestem pewien, że na lądzie od razu odzyskam zmysły i znowu stanę się tym samym rozsądnym, wyrachowanym doradcą i administratorem, któremu pomogłeś uczynić pierwszy krok na drodze do znakomitej kariery, ale czyż nie nakazałeś mi osobiście, bym niczego nie ukrywał? Powiedziałeś przecież: „Dzięki tobie chcę znowu cieszyć się życiem!”

A ja przecież jestem jeszcze bardzo młody.

Do diabła, największy problem stanowiło znalezienie odpowiedniego miejsca. Spotkać pannę Zenobię było bardzo łatwo, podobnie jak każdego spośród pozostałych pasażerów. Pan Prettiman wciąż przechadza się po pokładzie rufowym, rodzina Pike'ów pojawia się to na rufie, to na śródokręciu, zaglądając we wszystkie zakamarki, Colley

przebywa wyłącznie na śródkręciu (już nie tylko nieśmiało okazuje mi wyrazy szacunku, ale również obdarza pełnym zrozumienia, świętoszkowatym uśmiechem, tak że na jego widok natychmiast chwytą mnie choroby morskie). Cóż więc mogłem uczynić? Przecież trudno sobie wyobrazić, bym ciągnął za sobą damę do bocianiego gniazda! Wasza lordowska mość zapyta pewnie, co takiego nie spodobało mi się w jej lub mojej kajucie. Odpowiem na to krótko: wszystko!

Wystarczy, że pan Colley chrząknie na swojej koi, a już budzi pannę Granham śpiącą w sąsiednim pomieszczeniu. Wystarczy, żeby pan Brocklebank wypuścił wiatry - co czyni każdego ranka - a ściany drżą nie tylko w mojej komórce, ale także w kabinie pana Prettimana, Musiałem zdrowo się wysilić, by znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy bezpiecznie oddać się amorom. Przemknęła mi nawet przez głowę myśl, by wejść w układ z płatnikiem, ale ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, iż wszyscy oficerowie unikają jak ognia rozmowy na jego temat, zupełnie jakby był święty - albo zadżumiony. Nie wiem, jak jest naprawdę, ponieważ od początku podróży ani razu nie pojawił się na pokładzie. Zamierzam rozwikłać tę zagadkę, naturalnie dopiero wówczas, gdy odzyskam jasność myśli i uwolnię się z pęt szaleństwa.



Całkiem już zdesperowany poleciłem panu Tommy'emu Taylorowi, by zaprowadził mnie do dawnej zbrojowni, która jest na tyle obszerna, że oprócz trzech aspirantów korzystających z niej również oficerowie z patentem, ponieważ ich mesę - doprawdy, nie jestem w stanie się w tym wszystkim zorientować - przeznaczono dla zamożniejszych emigrantów. Działomistrz, cieśla i nawigator siedzieli rzędem za stołem, obserwując mnie w ciszy, od której bardziej wymowne mogło być jedynie milczenie groźnej panny Granham. Jednak w pierwszej chwili nie zwróciłem na nich uwagi, a to za sprawą zdumiewającej rzeczy, którą odsłonił pan Willis, przemieszczając się w kierunku drabiny. Proszę sobie wyobrazić, stała tam donica z jakąś pnącą rośliną o długiej na kilka stóp łodydze przywiązanej sznurkiem do grodzi. Nieszczęsne pnącze było całkowicie pozbawione liści, wszystkie zaś boczne pędy zwisały bezwładnie w dół niczym kawałki wodorostów, które w tym otoczeniu byłyby chyba bardziej na miejscu. Wyraziłem głośno swoje zdumienie, na co pan Taylor jak zwykle wybuchnął śmiechem, po czym wskazał pana Willisa jako nieszczególnie dumnego właściciela. Pan Willis tymczasem zniknął w prostokątnej czeluści wjazdu, nie pozostało mi więc nic innego jak zażądać wyjaśnień od pana Taylora.

- Na co mu to, u diabła?

- Podobnież po tym poznaje się dżentelmena - wyjaśnił działomistrz.

- Pan Deverel to wymyślił - dodał cieśla. - Niezgarszy z niego żartowniś.

Nawigator posłał mi współczujący uśmiech.

- Pan Deverel powiedział mi, że każdy, kto chce zostać dżentelmenem, musi hodować jakąś roślinę.

Tommy Taylor płakał ze śmiechu - naprawdę płakał, tak że łzy spływały mu po policzkach. W pewnej chwili zakrztusił się, więc skorzystałem z okazji, by palnąć go w kark nieco mocniej, niż mógłby sobie tego życzyć. Chyba zorientował się, że trochę przesadził z pokazem dobrego humoru, ponieważ natychmiast spoważniał.

- Na początku ja też myślałem, że umrę ze śmiechu - odezwał się ponownie cieśla. - Ciekawe, co jeszcze pan Deverel wyciągnie ze swojej borsuczej torby? \* [\*Borsucza torba (badger-bag lub Badger Bag) - Neptun wraz ze swoją świtą, a także ceremonia chrztu morskiego, jaką przechodzą marynarze i pasażerowie po raz pierwszy w życiu przekraczający równik (przyp. tłum.)]

- Z czego, jeśli łaska?

Działomistrz sięgnął pod stół i wydobył stamtąd butelkę.

- Świat najlepiej wygląda wtedy, jeśli przyjrzeć mu się przez szkło, panie Talbot.

- Ale w tym upale...

W butelce był słodki, mocny rum. Już po pierwszym łyku odniosłem wrażenie, że wzrasta nie tylko temperatura mojej krwi, ale i otaczającego nas powietrza. Zazdrościłem swoim rozmówcom, ubranym znacznie lżej niż ja.

- Zastanawiam się, panowie, jak możecie wytrzymać w tej duchocie.

- To ciężkie życie, panie Talbot - odparł działomistrz. - Nigdy nie wiadomo, co będzie jutro.

- A jakże - potwierdził cieśla. - Pamiętacie, jak było z tym młodym Hawthorne'em? Pierwszego dnia, kiedy tylko zjawił się na pokładzie, bosman ustawił go z innymi przy linie i kazał nie puszczać, choćby nie wiadomo co się działo. Przyszło mocniejsze uderzenie wiatru, więc tamci puścili linę, żeby poluzować żagiel, ale ten Hawthorne - zdaje się, że pochodził ze wsi, więc nie odróżniał bloku od swojej dupy - został przy linie.

Działomistrz skinął głową i pociągnął łyk rumu.

- Rozkaz to rozkaz.

Wyglądało na to, że opowieść dobiegła końca.

- I co się stało?

- Lina śmignęła przez blok o, tak! - Cieśla pstryknął palcami. - A na jej końcu był ten Hawthorne. Przypuszczam, że przeleciał co najmniej milę.

- Nigdy go już nie zobaczyliśmy.

- Dobry Boże!

- Przecież mówię: nigdy nie wiadomo, co będzie jutro.

- Jeżeli o to chodzi, to mógłbym opowiedzieć niejedną historię o działach - odezwał się artylerzysta. - Paskudne bydlęta, te działa. Uwielbiają płatać psikusy, i to na dziesięć tysięcy sposobów. Może mi pan wierzyć, panie Taibot: jeśli chce się być artylerzystą, trzeba mieć głowę na karku.

Pan Gibbs, cieśla, trącił łokciem nawigatora.

- Nawet jego zastępca musi mieć łeb na karku, co nie? - Spojrzał na mnie. - Słyszał pan historię o drugim działomistrzu, który stracił głowę? Zdaje się, że stało się to koło Alicante...

- A to dobre!

- No więc, ten artylerzysta przechadzał się z pistoletem w ręce za swoją baterią, kiedy

nagle przez jeden z otworów strzelniczych wpadła rozżarzona do czerwoności kula i urwała mu głowę tak elegancko, jakby trafił pod jedną z tych gilotyn, co to ich używają żabojady. Ponieważ jednak kula była gorąca, żyły i tętnice natychmiast się zasklepiły, a on jakby nigdy nic dalej chodził sobie w tę i z powrotem aż do chwili, kiedy trzeba było wydać nowe rozkazy, a tu cisza! Z górnego pokładu przybiegł porucznik, żeby zapytać, dlaczego bateria przestała strzelać, ale działomistrz nie mógł mu odpowiedzieć, bo nie miał czym.

- A to dobre!

- Jeszcze szklaneczkę, panie Talbot.

- Kiedy tak tu gorąco...

Cieśla skinął głową i zastukał w drewnianą ścianę.

- Nigdy nie wiadomo, czy to powietrze się poci, czy deski.

Pierś artylerzysty wezbrała tłumionym śmiechem raz, a potem drugi, zupełnie jakby zalewała go fala.

- Powinniśmy otworzyć okno - powiedział. - Pamiętasz pan dziewczynki, panie Gibbs? „Czy nie można tu otworzyć okna? Jeszcze chwila, a zemdleję!”

Pan Gibbs zarechotał donośnie.

- „Powiadasz, że zemdlejesz? Siadaj tu przy mnie, moja droga. Zaraz złapiesz trochę świeżego powietrza”.

- „Ach, co to było, panie Gibbs? Czy to szczur? Ja nie cierpię szczurów! Tak, jestem pewna, że to szczur...”

- „To nie żaden szczur, tylko mój pieseczek. No, dalej, pogłaszcz pieseczka, maleńka...”

Przełknąłem kolejną porcję ognistej cieczy.

- Więc nawet na tak małym statku można zaznać cielesnych uciech? Nikt was nie widział?

Nawigator po raz drugi obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

- Ja ich widziałem. Artylerzysta dał mu sójkę w bok.

- Co ty gadasz, człowieku! Przecież wtedy jeszcze się nawet nie zamustrowałeś, bo pozostawaliśmy w rezerwie.

- Ach, cóż to było za życie! - rozmarzył się pan Gibbs. - Nic nie kołysze, człowiek ma na wszystko czas, może sobie mieszkać nawet w kajucie admirałkiej, w kuchni pracują kobiety, więc i jedzenie jest w porządku... Powiadam panu, panie Talbot, trudno wymarzyć sobie coś lepszego. Nasza łajba siedem lat stała sobie spokojnie przy nabrzeżu, zanim panowie z Admiralicji przypomnieli sobie o niej i wciągnęli do służby, ale nikt nie zadał

sobie nawet trudu, żeby wydostać ją na brzeg i oskrobać kadłub z wodorostów. Przeciągnęliśmy tylko parę razy linę pod kadłubem, ale niewiele to dało i właśnie dlatego ruszamy się jak mucha w smole. Mam nadzieję, że w tej Zatoce Sydney, czy jak ją tam zwać, mają port przy ujściu jakiejś rzeki.

- Gdyby chcieli oskrobać dno z wodorostów, mogliby wydrapać w nim dziurę - zauważył działomistrz.

Zaczęliśmy oddalać się od interesującego mnie tematu, więc postanowiłem skorzystać z ostatniej szansy.

- Czy płatnik dzieli z panami to obszerne pomieszczenie?

Zapadło dziwne, niezręczne milczenie, dopiero po dłuższej chwili przerwane przez pana Gibbsa.

- Nie, on mieszka na pomoście nad beczkami z wodą, wśród bagaży i ładunku.

- A co składa się na ów ładunek?

- Bele i skrzynie - poinformował mnie artylerzysta. - Pociski armatnie, proch, lonty, zapalniki, kartacze oraz trzydzieści dwudziestoczerofuntówek, zaczopowanych, nasmarowanych i ułożonych jedna na drugiej.

- Beczki - dodał cieśla. - Topory i siekiery, młotki i dłuta, piły i młoty kowalskie, młoty drewniane, gwoździe, kołki, blacha miedziana, czopy, uprząże, kajdany, balustrada z kutego żelaza na balkon gubernatora., flaszki, baryłki, kadzie, beczułki mniejsze, beczułki większe, butelki, kosze, nasiona, pasza, nafta do lamp, papier, płótno...

- Oraz tysiąc innych rzeczy - wtrącił się nawigator. - A raczej dziesięć tysięcy pomnożone przez dziesięć tysięcy.

- Pokaż to panu3 panie Taylor - powiedział cieśla. - Weź latarnię i wyobraź sobie, że jesteś kapitanem prowadzącym gościa po swoim statku.

Pan Taylor posłusznie wykonał polecenie i ruszył, bardziej pełznąć niż idąc, w kierunku dziobu statku.

- Kto wie, może nawet uda wam się spotkać płatnika! - rozległ się za naszymi plecami czyjś głos.

Była to niezwykła, mało przyjemna wędrówka, podczas której kilka razy istotnie dostrzegłem umykające szczury. Pan Taylor, czemu nie należy się dziwić, radził sobie znacznie lepiej niż ja, tak że co jakiś czas musiałem wołać, by zaczekał, gdyż oddalał się na sporą odległość, pozostawiając mnie w niemal całkowitej, groźnej ciemności. Za każdym razem wracał, a wówczas w blasku latarni widziałem piętrzące się po bokach i nad nami tajemnicze kształty, sprawiające wrażenie, jakby ktoś zgromadził te rzeczy w ogromnym

nieładzie i bez żadnej dostrzegalnej przyczyny. W pewnej chwili potknąłem się i upadłem, a wówczas moje ręce zagłębiły się w mieszaninie piasku i żwiru stanowiącej balast naszego statku, o której pierwszego dnia podróży wspomniał Wheeler. Właśnie wtedy, gramoląc się niezdarnie na nogi, przez mgnienie oka widziałem naszego płatnika - w każdym razie wydaje mi się, że to był on. Ujrzałem go przez coś w rodzaju judasza wywierconego w drewnianym przepierzeniu, a ponieważ kto jak kto, ale on chyba jako jedyny z całej załogi nie musiał oszczędzać światła, niewielki otwór jarzył się niczym okular lunety skierowanej prosto w słońce. Zobaczyłem potężną głowę pochyloną nad jakąś księgą, małe binokle... i nic więcej. I to miał być człowiek, o którym wystarczyło wspomnieć, by zmusić do milczenia ludzi codziennie stojących w szranki ze śmiercią!

Wygramoliłem się na chwiejny pomost z desek i ruszyłem za panem Taylorem, natychmiast tracąc z oczu mieszkańca tych ponurych czeluści. Wkrótce dotarliśmy do dziobowej części statku, a pan Taylor poprowadził mnie w górę po niezliczonych drabinach, pokrzykując swoim ciekim głosem: „Schodnia! Schodnia!” Niech jednak wasza lordowska mość nie wyobraża sobie, że młodzian ów nakazywał w ten sposób, by dla mojej wygody opuszczono jakiś mechanizm. W marynarskim języku „schodnia” znaczy niewiele więcej niż wspomniana już przeze mnie drabina, aspirant zaś stał się kimś w rodzaju przewodnika, ostrzegającego o kolejnych przeszkodach, a także strażnika, który miał mi zapewnić ochronę przed natarczywością osób niższego stanu. Tak więc wynurzaliśmy się z głębin, mijając pokłady pełne najróżniejszych ludzi, woni i odgłosów, by wreszcie dotrzeć na zatłoczony forkasztel, gdzie z trudną do opisanego ulgą począłem głęboko wdychać świeże, chłodne powietrze. Podziękowawszy panu Taylorowi za opiekę udałem się do kajuty, gdzie kazałem Wheelerowi ściągnąć mi buty, po czym rozebrałem się i umyłem w pół kwarcie wody<sup>3</sup> co sprawiło, że poczułem się mniej więcej czysty. Nie ulegało wątpliwości, że te mroczne otchłanie, w których oficerowie zażywali do woli rozkoszy z młodymi kobietami, nie mogły się na nic przydać pokornemu słudze waszej lordowskiej mości. Niewiele brakowało abym, pogrążony w czarnej rozpacz, wyznał wszystko Wheelerowi, ale na szczęście zachowałem jeszcze tyle zdrowego rozsądku, by tego nie uczynić.

Ciekaw jestem, co znaczy wyrażenie „borsucza torba”. Falconer milczy na ten temat.

## Y

Doznałem olśnienia! Zdarza się, że długo rozmyślamy nad jakimś problemem, nie mogąc znaleźć rozwiązania, a potem nagle, nie wiadomo skąd, zjawia się ono przed nami w całej okazałości. Jeśli nie sposób zmienić miejsca, trzeba odpowiednio wykorzystać czas! Kiedy Summers oznajmił, że załoga pragnie dostarczyć nam nieco rozrywki, początkowo w niczym nie zmieniło to mego ponurego nastroju, ale wkrótce potem zrozumiałem, że co prawda na statku nie znajdę właściwego miejsca, ale oto nadarza się niepowtarzalna okazja! Z dumą informuję waszą lordowską mość - bynajmniej nie staram się być frywolny; jeśli już, to raczej zależy mi na zachowaniu zwykłej godności - iż udało mi się powtórzyć na morzu jedno ze zwycięstw lorda Nelsona! Czy jakikolwiek cywil, obywatel naszego kraju, mógłby osiągnąć coś więcej? Oznajmiłem, że takie trywialne rozrywki zupełnie mnie nie interesują, a w dodatku boli mnie głowa, więc spędzę ten czas w swojej kajucie. Naturalnie uczyniłem wszystko, aby moje oświadczenie dotarło także do uszu panny Zenobii. Wkrótce potem stałem przy drzwiach, spoglądając przez judasza na rozbawiony, rozgadany tłumek spieszący na rufę i śródkręcie. Niebawem korytarz opustoszał, a ciszę, jaka zapadła, zakłócały tylko odgłosy licznych kroków nad moją głową; zaledwie po kilku minutach panna Zenobia zbiegła po schodach, przypuszczalnie po to, by zabrać szal, jakże potrzebny w upalny, tropikalny wieczór! Gwałtownie otworzyłem drzwi, wyskoczyłem na korytarz, chwyciłem ją w pól i wciągnąłem do kajuty, a wszystko to uczyniłem tak szybko, że nawet nie zdążyła wydobyć z siebie zdumionego piśnięcia - dla zachowania pozorów, ma się rozumieć. Gwar dobiegający z pokładu był wystarczająco głośny, a że dołączył do niego szum krwi tętniącej mi w głowie, nie zważając na nic z zapalem przystąpiłem do dzieła. Przez chwilę zmagaliśmy się przy koi - ona stawiając akurat tyle oporu, aby utrudnić mi zadanie, nie czyniąc go jednak niemożliwym, ja zaś z narastającą pasją. Dobywszy miecza wtargnąłem na jej pokład! W popłochu wycofała się w drugi koniec kajuty, gdzie czekała płócienna miska na żelaznym trójnogu, a gdy ponowiłem atak, trójnóg załamał się pod naszym ciężarem, półka z książkami zaś przechyliła się gwałtownie: „Moll Flanders”, trzepocząc rozpaczliwie kartkami, spadła na podłogę, chwilę potem wylądował na niej „Gil Bras”, na oba te dzieła spadł natomiast pożegnalny dar mojej ciotki, „Rozmyślania wśród grobów” Herveya, wydane w dwóch tomach w Londynie. Odrzuciłem je kopnięciem na bok i jednym szarpnięciem zdarłem z Zenobii wierzchnią warstwę odzienia. Wezwałem ją, by się poddała, lecz ona trwała w

dzielnym, choć bezsensownym uporze, co jeszcze bardziej rozpałiło moje namiętności. Ruszyłem do ostatecznego szturmu: przetoczyliśmy się po szczątkach trójnoga, stratowaliśmy zawartość mej podręcznej biblioteki, nie wiadomo w jaki sposób wspięliśmy się na koję... i tam wreszcie Zenobia wywiesiła białą flagę, uznając przewagę mych zdecydowanych na wszystko ramion i oddając mi słodkie wojenne zdobycze.

Nie wiem, czy wasza lordowska mość zgodzi się ze mną, ale wydaje mi się, że o ile przywilejem nas, mężczyzn, jest *debellare superbos* - albo *superbas*, za pozwoleniem waszej lordowskiej mości - to naszym obowiązkiem jest *parcere subjectis!* Krótko mówiąc, uzyskawszy względy Wenus nie miałem najmniejszego zamiaru przysparzać w przyszłości pracy Lucinii\* [\*Lucinia - jedno z wcieleń Junony, ułatwiająca rozwiązanie i wspomagająca położnice (przyp. tłum.)], ale panna Zenobia była tak uległa i tak namiętna, że nie zważając na nic...

Niestety, tuż przed krytycznym momentem na pokładzie nad naszymi głowami rozległ się potężny huk eksplozji. Zenobia kurczowo chwyciła mnie za szyję.

- Panie Talbot! - jęknęła. - Edmundzie! To Francuzi! Ratuj mnie!

Doprawdy, wprost trudno sobie wyobrazić bardziej niefortunny zbieg okoliczności. Jak większość atrakcyjnych, namiętnych kobiet, Zenobia jest kompletną idiotką, eksplozja zaś (bez trudu rozpoznałem co to), ściągnęła na nią to samo niebezpieczeństwo, przed którym, kierując się jak najbardziej szlachetnymi pobudkami, pragnąłem ją uchronić. Jako w pełni dorosła osoba powinna wiedzieć, iż oprócz czerpania przyjemności ze swych czynów musi także ponosić ich niezbyt miłe konsekwencje. Przypuszczam jednak, że tak doświadczona kobieta musiała doskonale zdawać sobie sprawę z tego, co zrobiła.

- Uspokój się, najdroższa - wysapałem bez tchu, kiedy mymi lędźwiami przestał wstrząsać przedwczesny paroksyzm rozkoszy - niech diabli porwą tę kobietę! - To tylko pan Prettiman wreszcie dostrzegł albatrosa i wypalił z fuzji twego ojca. Zostaniesz zgwałcona nie przez Francuzów, lecz przez naszych marynarzy, kiedy tylko dowiedzą się, czego chciał dokonać ten szaleniec.

(Później okazało się, że pan Coleridge jednak nie miał racji. Marynarze istotnie są bardzo przesądni, lecz niewiele sobie robią z czyjegokolwiek życia, do ptaków zaś nie strzelają wyłącznie dlatego, że nie mają broni, a poza tym mięso morskiego ptactwa wcale nie jest smaczne).

Sądząc z odgłosów dobiegających z góry, na pokładzie wybuchło spore zamieszanie, z czego należało wnioskować, iż zamiar dostarczenia pasażerom rozrywki w pełni się powiódł, aczkolwiek cel osiągnięto dzięki dość zaskakującym środkom.

- A teraz, moja droga - powiedziałem - musisz wrócić do towarzystwa. Nie byłoby dobrze, gdybyśmy zjawili się tam razem.

- Edmundzie!

Donośnemu westchnieniu towarzyszył mocny rumieniec. Przyjrząwszy się Zenobii stwierdziłem, iż jest w paskudnym stanie.

- O co chodzi?

- Chyba nie pragniesz mnie porzucić? Zastanowiłem się przez chwilę.

- Czyżbyś przypuszczała, że przejdę na pokład własnego statku i odpłynę w siną dal?

- Ty okrutniku!

Jak wasza lordowska mość z pewnością zauważył, odgrywaliśmy już trzeci akt podrzędnego dramatu. Ona była teraz bezradną ofiarą, ja natomiast bezlitosnym dzikusiem.

- Nonsens, moja droga! Proszę cię, nie chcesz mi chyba wmówić, że po raz pierwszy w życiu znalazłaś się w takich okolicznościach!

- Co powinnam uczynić?

- Dajże mi spokój, kobieto! Niebezpieczeństwo jest tak nikłe, że prawie żadne, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę. Chyba że czekasz na...

W porę ugryzłem się w język. Nie było potrzeby obrażać jej sugestią, iż całe to zdarzenie jest nie tyle przygodą, co raczej handlową transakcją. Szczerze mówiąc chodziło mi tylko o to, by znikła jak bańka mydlana albo coś równie ulotnego, nie psując miłego poczucia spełnienia oraz satysfakcji z odniesionego zwycięstwa.

- Na co, Edmundzie?

- Na stosowny moment, by przebiec do swojej komórki, to znaczy kajuty, i poprawić toaletę.

- Ależ, Edmundzie!

- Mamy niewiele czasu, panno Brocklebank!

- Co jednak będzie, jeśli nastąpią... eee... jakieś niemiłe konsekwencje?

- Cóż, moja droga, trzeba śmiało pokonywać wszystkie przeszkody, jakie piętrzy przed nami życie. A teraz idź już, proszę. Sprawdź czy nikogo nie ma na korytarzu... W porządku, droga wolna!

Pożegnałem ją lekkim ukłonem, po czym na powrót skryłem się w kajucie, gdzie najpierw poustawiałem książki na półkach, zrobiłem co mogłem, by przywrócić poprzedni kształt żelaznemu trójnogowi, a wreszcie padłem jak długi na koję i pogrążyłem się nie tyle w arystotelesowym smutku, co raczej w nieznośnej irytacji. Boże, cóż za idiotka! Francuzi, dobre sobie! Tym razem zamiłowanie do teatralnych efektów sprawiło jej srogi zawód, tyle że



- niestety! - ja stałem się główną ofiarą. Zabawa na pokładzie dobiegała już chyba końca, lecz postanowiłem wyłonić się z ukrycia w chwili, kiedy półmrok panujący w korytarzu jeszcze bardziej zgęstnieje. Udam się wówczas do salonu i wypiję szklaneczkę z jakimś dżentelmenem, któremu także przyjdzie ochota na wieczorną porcję brandy. Czekałem więc, nie zapalając świecy... czekałem... i czekałem na próżno! Wciąż nikt nie schodził z górnego pokładu! Wreszcie, znecierpliwiony, przekradłem się do salonu i zmieszałem się bardzo, gdy ujrzałem tam Deverela siedzącego za stołem przy wielkim rufowym oknie, ze szklanką w jednej ręce i z karnawałową maską w drugiej. Śmiał się z czegoś do rozpuku, ale natychmiast mnie zauważył i wykrzyknął głośno:

- Talbot, drogi przyjacielu! Steward, szklaneczka dla pana Talbota! Ach, cóż to był za widok!

Oficer tryskał szampańskim humorem, mówił niezbyt wyraźnie i zachowywał się z pewną nonszalancją. Przepił do mnie z nieco przesadną uprzejmością, po czym znowu się roześmiał.

- Niestychana sprawa!

Przez chwilę wydawało mi się, że ma na myśli zaszłość między mną a panną Zenobią, ale natychmiast doszedłem do wniosku, iż wówczas zachowywałby się nieco inaczej.

- Skoro pan tak twierdzi - odparłem ostrożnie. Jakiś czas milczał, a potem wybuchnął:

- Jakże on nienawidzi tego pastora! Poczułem, że stąпам po pewniejszym gruncie.

- Zapewne ma pan na myśli naszego znakomitego kapitana?

- Tak jest, tego starego burczymuchę!

- Przyznam, panie Deverel, iż ja sam także nie darzę duchowieństwa nadmierną estymą, ale zachowanie kapitana przekracza wszelkie dopuszczalne normy. Podobno zabronił panu Colleyowi pojawiać się na mostku tylko dlatego, że ten popełnił jakieś drobne przeoczenie!

Deverel ponownie wybuchnął śmiechem.

- Właśnie, na mostku, ale nieszczęsny Colley uważa, iż zakaz dotyczy całej rufy i nie wystawia nosa poza śródkręcie.

- Doprawdy, trudno wyobrazić sobie powód tak głębokiej niechęci. Ja również mam Colleya za... No, nieważne. Nie przyszłoby mi jednak do głowy karać go za to, kim jest. Co najwyżej starałbym się go ignorować.

Deverel poturlał po stole pustą szklanekę.

- Bates! Jeszcze jedna brandy dla pana Deverela! Chodząca z ciebie dobroć, Talbot, ale powiadam ci...

Przerwał, by po raz kolejny dać upust swej wesołości.

- Co mi pan powiada?

Dopiero teraz przekonałem się, jak bardzo jest pijany. Zwiodły mnie jego wrodzona elegancja oraz uprzejmość.

- Nasz kapitan... - wymamrotał. - Nasz cholerny kapitan...

Głowa opadła mu na stół, a szklanka sturlała się i rozbiła na podłodze. Spróbowałem podnieść Deverela, ale bez rezultatu, więc wezwałem stewarda, który w takich sytuacjach z pewnością potrafił sobie radzić lepiej ode mnie. Sądząc po odgłosie dobiegającym od strony schodów, dopiero teraz publiczność zaczęła wracać z górnego pokładu. Wyszedszy z salonu znalazłem się w sporym tłoku; obok mnie przycisnęła się panna Granham z panem Prettimanem uczepionym jej rękawa, wygłaszającym jakąś orację, Stockowie energicznie potakiwali Pike'om twierdzącym, że sprawy zaszły za daleko, panna Zenobia natomiast, pozostając w centrum uwagi grupki oficerów, zachowywała się tak, jakby ani na chwilę nie opuszczała towarzystwa.

- Czyż to nie było zabawne, panie Talbot? - zagadnęła mnie wesoło. Ukłoniłem się i również obdarzyłem ją uśmiechem.

- Nigdy w życiu nie bawiłem się równie dobrze, panno Brocklebank.

Wróciłem do kajuty, gdzie wciąż, jak mi się zdawało, czuć było zapach perfum. Prawdę mówiąc, choć pisząc te słowa wciąż jeszcze jestem poirytowany, to jednak złość zaczęła powoli ustępować miejsca głębokiemu smutkowi. Dobry Boże! Czyżby Arystoteles miał słuszość w swoich poglądach na temat płci, tak samo jak miał rację pisząc na temat porządku społecznego? Koniecznie muszę czym prędzej otrząsnąć się z ponurych myśli o przyczynach, które powodują, że zjawiamy się na tym świecie.

## Zeta

Jest ten sam wieczór, ale mnie udało się już uwolnić od przygnębiających myśli. Znacznie bardziej niż rozważania na tematy moralne interesuje mnie teraz problem, co też Wheeler odkryje w mojej kajucie i co przekaze swoim kamratom, gdyż nie jestem w stanie naprawić żelaznego trójnoga, a w dodatku wciąż wydaje mi się, że w powietrzu czuć wyraźny zapach perfum. Niech diabli porwą tę kobietę! Wracając myślą do niedawnych wydarzeń odnoszę wrażenie, iż w mojej pamięci pozostanie na zawsze nie tyle pospieszna i cokolwiek krótkotrwała rozkosz, co raczej ustawiczne uciekanie się mej partnerki do zachowań przeniesionych żywcem ze sceny] czyniła to zawsze, kiedy jej uczucia płonęły żywszym niż zazwyczaj płomieniem, albo kiedy dawały się zdefiniować. Czy aktorka potrafi przekazać nie zdefiniowane uczucia? Czy nie powitałaby z radością sytuacji pozwalającej na ich bezpośrednio, jednoznaczne określenie? I czy nie na tym właśnie polega sceniczne zachowanie? W czasach studenckich zdarzało mi się uczestniczyć w przedstawieniach naszego amatorskiego teatru uniwersyteckiego i po dziś dzień pamiętam uwagi, jakich nasi profesjonalni doradcy nie szczędzili nam na temat technicznych aspektów sztuki, albo, jeśli ktoś woli, rzemiosła aktorskiego. Dlatego też w reakcji kobiety na moje słowa: „Cóż, moja droga, trzeba śmiało pokonywać wszystkie przeszkody, jakie piętrzy przed nami życie”, bez najmniejszego trudu rozpoznałem grę aktorską. Otóż Zenobia odpowiedziała całym ciałem: częściowo zwrócona ku mnie, zaczęła się oddalać, a gdyby na przeszkodzie nie stanęła jej ściana kajuty, z pewnością zesłaby ze sceny! Parsknąłem śmiechem na to wspomnienie i od razu poczułem się bardziej sobą. Dobry Boże, nawet jeden kapelan na pokładzie to o jednego za dużo, jakby powiedział nasz nieoceniony kapitan, teatralna scena zaś stanowi całkiem znośny zamiennik dla moralizmu. Czyż podczas jedyne nabożeństwa, przez jakie musieliśmy do tej pory przebrnąć, nie byliśmy świadkami przedstawienia z wielebnym dżentelmenem oraz panną Brocklebank w rolach głównych? Właśnie w tej chwili przyszedł mi do głowy iście szekspirowski pomysł: przecież on okazał nią zainteresowanie, ona zaś, jak to zwykle czynią kobiety, aż paliła się do tego, by paść na kolana przed kapłanem. Czyż więc nie powinniśmy pójść im na rękę? A raczej, jak szepnął ukryty w mojej duszy chochlik, czy nie powinniśmy pójść nam trojgu na rękę, podsycając płomień namiętności rozpalony w sercach tej niezwyklej Beatrycze i jeszcze bardziej niezwyklego Benedykta? „Uczynię wszystko, co w mej mocy, aby moja kuzynka znalazła dobrego męża”. Napisawszy te słowa

wybuchnąłem śmiechem, ale mam nadzieję, że pozostali pasażerowie, leżący na swoich kojach po wybiciu trzeciej szklanki środkowej wachty, pomyśleli sobie, iż, podobnie jak Beatrycze, roześmiałem się przez sen. Od tej pory będę otaczał pana Colleya nadzwyczajnymi względami - przynajmniej do chwili, kiedy okaże się ponad wszelką wątpliwość, że pannie Brocklebank nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony okrutnych Francuzów!

## Z

Zet, ponieważ nie wiem, który mamy dzień podróży, ale jakież dzisiaj było zamieszanie! Co za afera!

Obudziłem się o zwykłej porze z lekkim bólem głowy, spowodowanym zapewne wczorajszym nadużyciem - w towarzystwie pana Deverela - dość podłej brandy. Ubrałem się i wyszedłem na pokład w nadziei, że świeże powietrze uwolni mnie od przykrej dolegliwości, i kogóż ujrzałem? Z czeluści włazu wyłonił się wielebny dżentelmen, któremu pragnąłem zgotować - niewłaściwe słowo! - tak wspaniały los. Pamiętając o swoim postanowieniu uchyliłem kapelusza, życząc mu miłego dnia, on zaś ukłonił się, uśmiechnął i także zdjął na chwilę trójgraniaste nakrycie głowy, czyniąc to wszystko z godnością, jakiej, muszę szczerze przyznać, nie spodziewałem się po nim. Czyżby na Wyspie van Diemena\* [\*Wyspa van Diemena - dawna nazwa Tasmanii (przyp. tłum.)] potrzebowano biskupa? - przemknęło mi przez głowę. Z niejakim zdziwieniem przyglądałem się, jak wędruje na pokład rufowy, po czym ruszyłem za nim, by znaleźć się obok pana Prettimana, ściskającego w rękach karykaturalnych rozmiarów fuzję. Jemu także ukłoniłem się uprzejmiej o ile wobec pana Colleya mam teraz pewne plany, to pan Prettiman wzbudzał i nadal wzbudza moje nadzwyczajne zainteresowanie.

- Trafił pan może tego albatrosa? Aż pokraśniał z oburzenia.

- Niestety nie, szanowny panie! To zdarzenie... Proszę sobie wyobrazić, że wyrwano mi broń z ręki! Całe to zdarzenie było groteskowe i ze wszech miar godne pożałowania. Cóż za pokaz ignorancji, jakaż przerażająca demonstracja niewyobrażalnej ignorancji!

- A jakże, a jakże - powiedziałem uspokajającym tonem. - Z całą pewnością we Francji coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

Ruszyłem ku mostkowi, wspiąłem się po drabinie i ku swemu zdumieniu zastałem tam pana Colleya! W okrągłej peruce, trójgraniastym kapeluszu i czarnej sutannie stał przed kapitanem Andersonem, wdarł się tu do świętego dominium tyrana! W chwili, gdy pokonałem ostatni szczebel drabiny, kapitan odwrócił się gwałtownie i splunął za burtę. Jego nabiegła krwią twarz była ponura jak oblicze chimery. Pan Colley z powagą uchylił kapelusza, po czym skierował się ku drabinie, ale dostrzegłszy pana Summersa, w ostatniej chwili zmienił zamiar i podszedł do niego. Dżentelmeni wymienili sztywne ukłony.

- Panie Summers, podobno to pan wystrzelił z broni pana Prettimana?

- Owszem.
- Mam nadzieję, że nikomu nie stała się żadna krzywda?
- Wypaliłem w powietrze.
- Czuję się w obowiązku podziękować panu.
- Doprawdy nie ma potrzeby. Panie Colley...
- Słucham?
- Bardzo proszę, by zechciał pan wysłuchać mojej rady.
- W jakiej sprawie?

- Proszę się nieco wstrzymać. Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze poznać załogi, a po wczorajszym dniu... Naturalnie zdaję sobie sprawę, że nie jest pan zwolennikiem żadnych mocniejszych trunków, ale kiedy marynarze otrzymają swoją porcję rumu, staną się może nieco spokojniejsi i przyjaźniej nastawieni, choć z pewnością nie będą bardziej podatni na rozsądne argumenty.

- Niczego się nie obawiam, łaskawy panie.
- Proszę mi wierzyć, ja wiem, o czym mówię! Kiedyś byłem jednym z nich, więc...
- Chroni mnie zbroja mego Pana.
- Panie Colley, błagam! Sam pan powiedział, że ma wobec mnie dług wdzięczności, wobec tego proszę, by zechciał pan poczekać przynajmniej godzinę!

Zapadła cisza. Pan Colley dopiero teraz dostrzegł mnie i uklonił mi się z powagą, po czym odwrócił się ponownie do pana Summersa.

- Niech i tak będzie. Zastosuję się do pańskiej rady.

Dżentelmeni znowu wymienili ukłony, a następnie pan Colley ruszył w kierunku drabiny, mijając mnie zaś uklonił się po raz trzeci. Doprawdy, nawet w Wersalu nie dałoby się zaobserwować lepszych manier! Zaraz potem pastor opuścił mostek. Mnie zaś zżerała ciekawość walcząca o lepsze z szekspirowskim planem, w którym on sam odgrywał jedną z głównych ról. Dobry Boże, oto nowy arcybiskup całej południowej półkuli! Popędziłem za nim i dopadłem go w chwili, kiedy zamierzał zniknąć w naszym korytarzu.

- Panie Colley!
- Słucham?

- Od dłuższego czasu pragnąłem zawrzeć z panem bliższą znajomość, ale ze względu na moją pożałowania godną niedyspozycję nie mogłem wykorzystać żadnej z nadarzających się sposobności, więc...

Na gębie wykwitł mu promienny uśmiech, pospiesznie ściągnął kapelusz, przycisnął go do żołądka i skłonił się, a raczej owinął z czcią wokół niego. W mgnieniu oka arcybiskup

przeistoczył się w wiejskiego wikarego, albo nawet niedouczzonego klechę. Znowu poczułem przyływ pogardy, która momentalnie przygasiła moją ciekawość, ale w porę przypomniałem sobie, że panna Zenobia może potrzebować usług tego człowieka, oraz że ja powinienem trzymać go w odwodzie, czy też w rezerwie, jak powiedziałby ktoś z Marynarki.

- Panie Colley, czy zechciałby pan przespacerować się ze mną po pokładzie?

Niesamowite! Jego spalona tropikalnym słońcem twarz poczerwieniała jeszcze bardziej, by potem równie raptownie zblednąć. Przysięgam, że w oczach pastora pojawiły się łzy! Przez dłuższą chwilę jego jabłko Adama wyczyniało szalone harce nad kołnierzykiem.

- Panie Talbot, żadne słowa nie zdołają... Od dawna żywiłem nadzieję... Ale w takiej chwili... To nadzwyczaj szlachetnie z pańskiej strony... Chrześcijańskie miłosierdzie w najczystszej postaci... Niech Bóg pana błogosławi, panie Talbot!

Znowu złożył mi kolejny pokraczny ukłon, cofnął się o dwa kroki, ukłonił się raz jeszcze, po czym zniknął w korytarzu.

Usłyszawszy nad głową pogardliwe prychnięcie spojrzałem w górę i ujrzałem pana Prettimana, stojącego przy barierce w przedniej części pokładu rufowego. Szybko cofnął się, nikiąc mi z oczu, ale ja chwilowo nie zaprzętałem sobie nim głowy, gdyż rozmyślałem o nadzwyczajnym wrażeniu, jakie moje słowa wywarły na Colleyu. To prawda, że wyglądam na dżentelmena i ubieram się stosownie do mojej pozycji społecznej. Jestem też dość słusznego wzrostu i być może - ale tylko być może - świadomość, jak ważną funkcję mam pełnić w przyszłości, dodaje mi powagi, przez co zapewne zachowuję się nieco dostojniej niż większość szlachetnie urodzonych ludzi w moim wieku. Jeśli tak właśnie jest, to tylko za sprawą waszej lordowskiej mości. Wracając do rzeczy: w mej postawie nie było nic, co wyjaśniałoby, dlaczego ten idiota potraktował mnie niemal jak członka rodziny królewskiej! Przez pół godziny wędrowałem między pokładem rufowym a głównym masztem, by pozbyć się bólu głowy, i rozmyślałem o ostatnich wydarzeniach. Musiało się stać coś, o czym nie miałem pojęcia - przypuszczalnie wtedy, kiedy na pokładzie trwała zabawa, a ja zmagalem się w mojej kajucie z Rozkosznym Nieprzyjacielem. Nie wiedziałem, co się zdarzyło, ani też dlaczego pan Colley o mało nie rozplynał się z zachwytem, gdy usłyszał, że pragnę się z nim bliżej zaznajomić. Pomyśleć, że porucznik Summers wystrzelił z fuzji pana Prettimana nie czyniąc nikomu krzywdy! Marnie się spisał, jak na morskiego zabijakę. Wszystko to wydawało się nadzwyczaj pogmatwane, najbardziej zaś irytował mnie fakt, że nie mogę wprost zażądać wyjaśnień od któregoś z dżentelmenów lub oficerów, ponieważ musiałbym wówczas przyznać się do ignorancji, ta zaś była wynikiem nader intymnego spotkania z pewną damą. Doprawdy nie miałem pojęcia, jak powinienem się zachować. Postanowiłem

wreszcie udać się do salonu i w trakcie niezobowiązującej pogawędki z kimkolwiek, kogo tam zastanę, podjąć próbę rozwikłania tajemnicy, ale właśnie wtedy panna Brocklebank wybiegła ze swojej kabiny i chwyciła mnie mocno za ramię.

- Panie Talbot!... Edmundzie!

- Czym mogę pani służyć?

- List! - szepnęła gardłowym, niskim głosem. - Mój Boże, cóż ja teraz pocznę?

- Zenobio! Natychmiast wyznaj mi wszystko! Czy wasza lordowska mość dostrzega teatralną

sztuczność mojej odpowiedzi? Działiałem w pełni świadomie. Natychmiast uniosła nas wezbrana fala melodramatu.

- Ten list... Nigdzie nie mogę go znaleźć! Postanowiłem czym prędzej opuścić scenę.

- Ależ, moja droga - odparłem. - Nie przypominam sobie, bym do ciebie pisał.

Jej pełne piersi zafalowały gwałtownie, a oczy, z których wyzierała głupota, rozszerzyły się.

- Otrzymałam go od innego!

- Cóż, nie mogę ponosić odpowiedzialności za każdego dżentelmena podróżującego tym statkiem. Powinnaś udać się do autora, nie do mnie. Pozwolisz więc, że...

Odwrociłem się, by odejść, ale ona jeszcze mocniej ścisnęła moje ramię.

- Liścik jest całkiem niewinny, ale ktoś łatwo mógłby na jego podstawie wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Zapewne wypadł mi... Och, Edmundzie, ty dobrze wiesz gdzie!

- Zapewniam cię, iż odnalazłbym go robiąc porządek w mojej kajucie.

- Błagam cię!

Wpatrywała się we mnie z wyrazem bezgranicznej ufności połączonej z udręką, który dodaje jeszcze uroku, nawet najpiękniejszym oczom. (Kimże jestem, by pouczać w tej kwestii waszą lordowska mość, którego otaczają adoratorki, i tak właśnie patrzą? Niczego jednak nie zyskują w ten sposób. A tak przy okazji: czy to pochlebstwo przypadło waszej lordowskiej mości do gustu? Jeśli pamiętasz, ojciec chrzestny, sam powtarzałeś mi wielokrotnie, iż pochlebstwo wówczas odnosi największy skutek, kiedy jest obficie przyprawione prawdą).

Zenobia przysunęła się do mnie i szepnęła:

- Musi być w twojej kajucie! Jeżeli dostanie się w ręce Wheelera, jestem zgubiona!

Do diabła, pomyślałem. Jeśli list trafi w ręce Wheelera, ja też jestem zgubiony, albo prawie zgubiony. Czyżby próbowała mnie w to wmieszać?

- Proszę nic więcej nie mówić, panno Brocklebank. Natychmiast zajmę się tą sprawą.

Zniknąłem w prawej kulisie - a może w lewej? Siedząc w teatrze nigdy nie byłem



pewien, która jest która. Dla ułatwienia powiedzmy więc, że otworzyłem drzwi mojego przestronnego apartamentu mieszczącego się przy bakburcie statku, wszedłem do środka, zaniknąłem je za sobą i natychmiast rozpocząłem poszukiwania. Chyba nic nie działa mi bardziej na nerwy niż szukanie czegoś w mocno ograniczonej przestrzeni. W pewnej chwili, buszując na czworakach po podłodze, dostrzegłem tuż przed sobą dwie męskie łydki.

- Odejdź, Wheeler! Natychmiast odejdź! Odszedł. Naturalnie znalazłem list, ale dopiero wtedy, kiedy zaprzestałem poszukiwań. Zrezygnowany, miałem zamiar nalać wody do płóciennej miski, i cóż w niej widzę? Złożoną we czworo kartkę. Chwyliłem ją i już skierowałem się do drzwi, by zwrócić list pannie Zenobii, lecz nagle stanąłem jak wryty. Powstrzymała mnie pewna myśl: przecież z samego rana korzystałem z miski, po czym wyszedłem z kajuty. Teraz, kiedy do niej wróciłem, łóżko było zasłane, a moje przybory toaletowe uporządkowane.

Wheeler!

Natychmiast rozłożyłem kartkę i od razu odetchnąłem z ulgą; tych zdań z całą pewnością nie mogła skreślić ręka wykształconego człowieka.

*Najdroższa i piękna kobieto nie mogę się doczekać! Nareszcie znalazłem dobre miejsce i teraz tam nie ma, nikogo! Serce bije mi tak mocno jak nigdy nawet podczas najgorszego sztormu! Daj mi tylko znak a ja zaprowadzę de do naszego nieba!*

*Twój dzielny żeglarz*

Dobry Boże, oto lord Nelson we własnej osobie, podniesiony do n-tej potęgi absurdu! Zenobia padła ofiarą ataku romantycznych uczuć, zarażając Nieznanego Żeglarza najostrejszą postacią tej choroby! Wszystko zaczęło mi się mieszać w głowie: pan Colley ze swoją nagle odzyskaną godnością, list, Summers z fuzją Prettimana, która w rzeczywistości stanowi własność Brocklebanka... Wybuchnąłem śmiechem, po czym wezwałem Wheelera.

- Widzę, że posprzątałeś w mojej kabinie. Doprawdy nie wiem, co bym począł bez ciebie.

Ukłonił się, zachowując milczenie.

- Jestem z ciebie bardzo zadowolony. Masz, oto pół gwinei. Założę się jednak, że od czasu do czasu zdarza ci się o czymś zapomnieć?

Nawet nie zerknął w kierunku płóciennej miski.

- Dziękuję panu, panie Talbot. Może pan na mnie polegać w każdym względzie.

Wyszedł, a ja ponownie przyjrzałem się listowi. Z pewnością nie napisał go Deverel, gdyż żaden dżentelmen nie popełniłby tylu rażących błędów. Zastanawiałem się, co począć z tym fantem i nagle, zupełnie niespodziewanie (kto wie, może w jakiejś wolnej chwili spróbuję

napisać szkic uciesznej farsy, w której mógłbym wykorzystać tę historię?), wpadł mi do głowy jakby przeniesiony żywcem z teatru pomysł, dzięki któremu mógłbym za jednym zamachem uwolnić się zarówno od Zenobii, jak i od pastora. Cóż prostszego, niż podrzucić kartkę do jego kajuty, a potem udać, że ją znalazłem? „Czy to list do panny Brocklebank? Coś takiego! Pan, osoba duchowna!... Natychmiast wyznaj wszystko, podstępny psie, i pozwól pogratulować sobie sukcesu!”

Zaraz jednak przywołałem się do porządku. Do czego to podobne, żebym ja, uważający się za człowieka odpowiedzialnego i godnego szacunku, chciał popełnić czyn nie tylko przestępczy, ale także w najwyższym stopniu odrażający? Jak do tego doszło? Wasza lordowska mość widzi, że niczego przed nim nie ukrywam. Siedząc na koi analizowałem ciąg wydarzeń, który doprowadził do tak opłakanego finału, by w końcu uznać, że prawdziwej przyczyny należy doszukiwać się w sztucznym, wywodzącym się wprost z farsy i melodramatu, zachowaniu Zenobii - a więc ostatecznie w teatrze! Niniejszym ogłaszam wszem i wobec:

**PLATON MIAŁ RACJĘ!**

Wstałem z koi, wyszedłem na korytarz i zastukałem do drzwi kajuty panny Brocklebank. Otworzyła, a ja wręczyłem jej list, po czym wróciłem do siebie.

## Omega

Omega, omega, omega. Bez wątpienia ostatnia scena. Nic więcej nie może się zdarzyć, oprócz pożaru, katastrofy, ataku nieprzyjaciela lub cudu, a nawet wówczas jestem pewien, że Opatrzność zjawiłaby się jako teatralny *deus ex machina*}. Choć nie chcę mieć nic wspólnego z tym spektaklem, wygląda na to, że nie jestem w stanie zrobić niczego, by zapobiec uczestniczeniu w nim wszystkich pasażerów i załogi. Ja sam zjawię się chyba przed tobą, ojcie chrzestny, odziany w płaszcz posłańca z jednej ze sztuk twojego Racine'a - wybacz, że piszę „twojego”, ale zawsze tak go będę nazywał.

A może powinienem jednak trzymać się Greków? Nie ma wątpliwości, że to teatralna sztuka, ale jaka: farsa czy tragedia? Czyż wielkość tragedii nie zależy od wielkości protagonisty? Musi być największy z wielkich, aby jego upadek wywarł odpowiednio duże wrażenie. A więc chyba jednak farsa, gdyż człowiek ów przypomina klauna, jego upadek natomiast jest upadkiem społecznym. Śmierć nie ma tu nic do rzeczy. Biedak nie wyłupi sobie oczu ani nie będzie prześladowany przez furie, nie popełnił też żadnej zbrodni ani nie złamał prawa - chyba że nasz okrutny tyran trzyma jeszcze coś w zanadrzu.

Pozbywszy się listu wyszedłem na rufę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, potem zaś wspiąłem się na mostek, ale zamiast kapitana Andersona zastałem tam Deverela stojącego na wachcie w towarzystwie wiekowego aspiranta, pana Daviesa. W blasku dnia wygląda on na jeszcze starszego, niż jest w istocie. Pozdrowiłem Deverela, po czym wróciłem na rufę, by zamienić kilka słów z panem Prettimanem, który z szaleńczym uporem przechadza się tam z fuzją na ramieniu. (Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że człowiek ten nie stanowi żadnego zagrożenia dla racji stanu, gdyż jest całkowicie niemożliwe, aby ktokolwiek traktował go poważnie. Mimo to uważam za swój obowiązek mieć go przez cały czas na oku). On jednak nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, spoglądając w kierunku śródkręcia. Zaintrygowany, skierowałem wzrok w tę samą stronę.

Jakież było moje zdumienie, kiedy ujrzałem pana Colleya zmierzającego w kierunku dziobowej części statku, zajmowanej przez pospólstwo! Bardziej chyba niż fakt, że pastor bez wahania przekroczył białą linię wyznaczającą granicę między dwoma światami, zaskoczył mnie jego strój, stanowiący istne delirium kościelnej elegancji! Komża, sutanna, peruka oraz biret wyglądały wręcz idiotycznie w padających niemal pionowo promieniach słońca. Pan Colley kroczył powoli i dostojnie, jakby był w katedrze. Na jego widok ludzie wylegujący się

na pokładzie zrywali się na równe nogi. Niebawem zniknął pod forkasztem. A więc tego dotyczyła rozmowa z Summersem! Najwidoczniej załoga otrzymała przydział rumu - istotnie, nie tak dawno do moich uszu dotarły dźwięki kobzy oraz wesołe pokrzykiwania. Statek sunął przed siebie po gładkim morzu, powietrze było gorące, marynarze zaś oddawali się błogiemu lenistwu albo, jak powiada Summers: „wykonywali drobne naprawy”. Dość długo stałem nieruchomo przy barierce na skraju pokładu rufowego, nie zwracając najmniejszej uwagi na tyradę pana Prettimana dotyczącą „ohydnych przepychu barbarzyńskich ornamentów”, gdyż niecierpliwie czekałem na ponowne pojawienie się pastora. Przecież niemożliwe, żeby zamierzał odprawić całe nabożeństwo! Muszę jednak przyznać, że pan Colley kroczący niczym w procesji wyglądał tak dostojnie, iż wypadało tylko żałować, że nie towarzyszą mu śpiew chóru, salwy armatnie, albo przynajmniej jakiś wiejski dziekan! - nie tylko mnie rozbawił, ale także nieco mi zaimponował. Bez trudu pojąłem, na czym polegał jego błąd: starając się nadrobić brak wrodzonego autorytetu nieco przeszarżował, podkreślając godność swego powołania. Obecnie, jako uosobienie Kościoła Tryumfującego (a może raczej Wojującego?) ruszył do ataku na niższe warstwy społeczeństwa. Nagle uświadomiłem sobie, iż oto widzę sprowadzony do najmniejszych rozmiarów, alegoryczny obraz przedstawiający dwie siły. Pozwoliły one angielskiemu - a może nawet brytyjskiemu - społeczeństwu osiągnąć stan doskonałości: przede mną był Kościół, za mną natomiast zamknięty w swojej kabynie kapitan Anderson, wyobrażający Państwo. Który bicz okaże się bardziej skuteczny? Czy ten materialny, z kilkoma rzemieniami obciążonymi ołowianymi kulkami, który pozostawał w dyspozycji kapitana - choć nie zauważyłem, żeby kiedykolwiek kazał go użyć - czy też ten spekulatywny, będący jedynie platońską ideą bicza, to znaczy lęk przed ogniem piekielnym? Sądząc po niedawnym zachowaniu pana Colleya nie miałem najmniejszej wątpliwości, że ze strony załogi spotkała go jakaś obraza, wszystko jedno, autentyczna czy wymaginowana. Nie powinno więc mnie dziwić, gdyby teraz z forkasztelu dobiegły żalosne zawodzenia lub przeraźliwe wrzaski. Przez jakiś czas - doprawdy nie wiem już, jak długo - czekałem na rozwój sytuacji, by wreszcie dojść do wniosku, że nic zgoła się nie wydarzy! Wróciłem więc do kajuty, gdzie zająłem się zapełnianiem kart tej księgi, ufam, iż dostarczyły one waszej lordowskiej mości nieco rozrywki. Przerwałem pisanie, gdy do mych uszu dotarł niezwykle hałas.

Czy wasza lordowska mość domyśla się, co to były za odgłosy? Obawiam się, że zadanie takie przekracza nawet twoje zdolności, ojcze chrzestny. (Ufam, iż dzięki częstym ćwiczeniom uda mi się już niebawem wznieść moje pochlebstwa na wyższy poziom).

Otóż z forkasztelu dobiegła ni mniej ni więcej, tylko głośna owacja! Nie przypominała

w niczym historycznego ryku, jaki czasem zrywa się po arii, uniemożliwiając na kilka minut kontynuowanie przedstawienia. Publiczność z pewnością nie odchodziła od zmysłów, nie rzucała też róż ani monet, jak widziałem kiedyś w londyńskiej Operze. Moje wyrobione ucho podpowiedziało mi, że widzowie po prostu w powszechnie przyjęty, kulturalny sposób dają wyraz swojej aprobacie, tak samo jak i ja wielokrotnie czyniłem w towarzystwie innych studentów, kiedy jakiś godny szacunku cudzoziemiec otrzymywał honorowy tytuł od rektora naszego uniwersytetu. Czym prędzej wybiegłem na pokład, lecz entuzjazm zdążył już osłabnąć, ja zaś odniosłem wrażenie, że słyszę przemawiającego pastora. Zaświtała mi myśl, by zakraść się na scenę zagadkowych wydarzeń, ukryć w jakimś zakamarku i przysłuchiwać się z bliska, ale natychmiast zrezygnowałem z tego zamiaru, przypomniawszy sobie, ilu kazań musiałem już wysłuchać w życiu oraz ile jeszcze mnie czeka. Ta podróż, choć pod wieloma względami bardzo uciążliwa, miała przynajmniej jedną ogromną zaletę: uwolniła mnie od obowiązku uczestniczenia w religijnych obrzędach. Zdecydowałem więc, że zaczekam, aż tryumfujący Colley przekona kapitana, iż wszyscy podróżujący na pokładzie naszego wiekowego statku powinni wysłuchać nauki sługi bożego - kto wie, może nawet więcej niż jednej. Wyobraziłem sobie także opasły tom zatytułowany „Kazania Colleya”, albo nawet: „Życiowa podróż wielbnego Colleya”, i powziąłem solenne postanowienie, że nie będę jednym z jego nabywców.

Miałem już zamiar wyjść z łagodnie falującego cienia jakiegoś żagla, kiedy ze zdumieniem usłyszałem kolejny wybuch entuzjazmu, tym razem znacznie głośniejszy i bardziej spontaniczny. Chyba nie muszę podkreślać, jak rzadko ludzie okazują jakiemuś pastrowi tak wyraźne dowody sympatii; zazwyczaj, jeśli wysili się na tyle, by w swoim kazaniu zawrzeć choćby odrobinę żywszych uczuć, może liczyć najwyżej na kilka westchnień, parę łez oraz jedno lub dwa chlipnięcia mające świadczyć o skrusze słuchacza. Jeżeli ograniczy się do sumiennego nudzenia, nagrodą będzie mu ponura cisza i mnóstwo tłumionych ziewnięć. Odgłosy dobiegające z forkasztelu bardziej pasowały do jakiegoś przedstawienia niż nabożeństwa! Co prawda Colley nie był ani akrobatą, ani żonglerem, ale druga owacja zabrzmiała tak, jakby (uzyskawszy pierwszą za żonglowanie sześcioma talerzami naraz) umieścił sobie dodatkowo na czole kij bilardowy z wirującym na jego końcu nocnikiem!

Moja ciekawość osiągnęła tak wielkie natężenie, że chyba mimo wszystko ruszylbym na dziób statku, gdyby nie to, że akurat wtedy Deverel zszedł z mostku po skończonej wachcie i rozpoczął dyskusję o panie Brocklebank - nie wierzę, aby przypadkowo wybrał ten temat! Miałem mieszane uczucia: z jednej strony byłem dumny ze swego wyczynu, tak

jak na moim miejscu byłby dumny każdy młody mężczyzna, z drugiej natomiast niepokoiłem się ewentualnymi konsekwencjami, jakie mogły wyniknąć z ujawnienia naszej przygody. Ponieważ dostrzegłem także pannę Zenobię, stojącą na pokładzie rufowym i przysłuchującą się wykładowi pana Prettimana, wciągnąłem Deverela do korytarza, gdzie przez pewien czas zabawialiśmy się szermierką na słowa. W trakcie dość swobodnej rozmowy zaświtała mi myśl, że podczas mojej niedyspozycji Deverel mógł uzyskać od Zenobii więcej, niż gotów był otwarcie przyznać, czyniąc jednocześnie całkiem czytelne aluzje. Kto wie, czy nie jechaliśmy na tym samym wózku! A to dopiero! Jednak, mimo że jest oficerem Marynarki, ponad wszelką wątpliwość zasługuje na miano dżentelmena i bez względu na to, jak dalej potoczą się sprawy, z całą pewnością żaden z nas nie zdradzi drugiego. Wypiliśmy w salonie po małej szklaneczce brandy, po czym Deverel wrócił do swoich zajęć, ja zaś ruszyłem w stronę kajuty, kiedy nagle stanąłem jak wryty za sprawą najmniej oczekiwanego odgłosu, jaki dobiegł od strony forkasztelu; była to ni mniej ni więcej, tylko eksplozja śmiechu! Zupełnie nie potrafiłem sobie wyobrazić pana Colleya w charakterze wodzireja zabawiającego tłum uciechowymi krotoczwilami, uznałem więc natychmiast, że widocznie opuścił już publiczność, ta zaś natychmiast zaczęła zachowywać się jak niesforni uczniowie, którzy przedrzeźniają nauczyciela, gdy tylko ten wyjdzie z sali po skończonej lekcji. Wyszedłem na rufę, aby mieć lepszy przegląd sytuacji, potem zaś wspiąłem się na mostek, ale na pokładzie dziobowym w dalszym ciągu widziałem jedynie samotnego obserwatora. Wszyscy nadal byli w środku! Przypuszczalnie Colley powiedział coś na odchodnym, a teraz jest już w swojej kabine, zdejmując z siebie „barbarzyńskie ornamenty”. Wiadomość o tym, że dzieje się coś niezwykłego, obiegła statek lotem błyskawicy. Pokład rufowy wypełniał się damami, dżentelmenami i oficerami; najodważniejsi pasażerowie wspinali się na mostek, zajmując miejsca tam gdzie ja, to znaczy tuż przy przedniej barierce. Teatralne skojarzenia, które opanowały mój umysł, nadając dodatkowy koloryt dotychczasowym wydarzeniom, ogarnęły chyba wszystkich na pokładzie. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy oficerowie nie spodziewają się buntu, ale przecież Deverel wiedziałby o tym i z pewnością nie omieszkiałby mnie ostrzec. Spojrzenia kierowały się ku przedniej, nieznannej części statku, której mieszkańcy najwyraźniej oddawali się jakiejś zagadkowej rozrywce. Staliśmy się widzami, przed nami zaś, częściowo zasłonięta szalupami oraz bomem i potężnym cylindrem przedniego masztu, znajdowała się scena. Ściana forkasztelu wyglądała niczym ściana domu, do której przyczepiono dwie drabiny, po obu stronach zaś widoczne były wejścia prowokująco przypominające wejścia na scenę - prowokująco, ponieważ nikt nie potrafił nam zagwarantować, czy przedstawienie na pewno się odbędzie, a nasze przedziwne oczekiwania

łatwo mogły pozostać nie zaspokojone. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie uświadomiłem sobie, jak wielka przepaść dzieli chaos panujący w prawdziwym życiu, z jego różnorodnymi, częstokroć nie doprowadzanymi do końca działaniami, od scenicznej symulacji, którą jeszcze nie tak dawno uważałem za dość wierne odbicie rzeczywistości! Nie chciałem pytać, co się dzieje, ale nie znałem żadnego innego sposobu, aby się tego dowiedzieć, nie okazując jednocześnie nieprzystojnej zgoła ciekawości. W tym miejscu ulubiony dramatopisarz waszej lordowskiej mości kazałby wystąpić naprzód głównej bohaterce oraz jej powiernicy, mój natomiast napisałby w didaskaliach: Wchodzą dwaj marynarze, ja jednak słyszałem jedynie rozbawioną wrzawę dobiegającą z forkasztelu oraz całkiem podobne w tonie komentarze niektórych pasażerów, o oficerach nie wspominając. Czekałem, aż coś się wydarzy - i niespodziewanie stało się! Dwaj chłopcy okrętowi (bynajmniej nie młodzi dżentelmeni) wyskoczyli z umieszczonego na bakburcie wejścia do forkasztelu, przemknęli za głównym masztem, po czym, równie niespodziewanie, zniknęli w drugim wejściu! Pogrążyłem się w rozważaniach o przedziwnej naturze kazania, które mogło stać się przyczyną tak długotrwałej, ogólnej wesołości. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę z obecności kapitana Andersona. Stał niedaleko ode mnie przy balustradzie i z nieodgadzionym wyrazem twarzy wpatrywał się w dziobową część statku. Zaraz potem na mostek wspiął się z pośpiechem pan Summers, by wyprężyć się na baczność przed dowódcą.

- O co chodzi, panie Summers?

- Panie kapitanie, proszę, by zezwolił mi pan zająć się tą sprawą!

- Nie wolno nam ingerować w poczynania Kościoła.

- Ale... Ludzie, panie kapitanie!

- Co z nimi?

- Są pijani!

- Wobec tego proszę dopilnować, aby zostali przykładnie ukarani.

Kapitan Anderson odwrócił się od Summersa i chyba dopiero wtedy mnie zauważył, gdyż zawołał:

- Dzień dobry, panie Talbot! Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z podróży?

Odparłem coś w tym sensie, że owszem, nawet bardzo, choć nie pamiętam już, jakich dokładnie użyłem słów, ponieważ moją uwagę bez reszty zaprzętnęła niezwykle zmiana, jaka zaszła na obliczu kapitana. Zazwyczaj było równie przyjazne jak otwarte wrota więzienia, a w dodatku jego właściciel bez przerwy cofał dolną szczękę i marszczył brwi, co w sumie dawało dość przerażający efekt, dziś jednak zarówno w jego twarzy, jak i w głosie pojawiły się przebłyśki prawdziwej wesołości!

Porucznik Summers nie dawał za wygraną.

- W takim razie proszę przynajmniej pozwolić... Niech pan patrzy, kapitanie!

Ja także podążyłem wzrokiem za jego wyciągniętą ręką.

Czy wasza lordowska mość kiedykolwiek zastanawiał się nad niezwykłością tradycji, która każe najbardziej wykształconym spośród nas zawieszać na szyi średniowieczne łańcuchy, głowy zaś przyozdabiać nakryciami przypominającymi narzędzia pracy tynkarzy? (A czy przed kanclerzem nie nosi się połączanego szaflika? Ale odbiegam od tematu). W drzwiach na bakburtce pojawiły się dwie postaci, po czym, powoli i dostojnie, zupełnie jak podczas procesji, ruszyły ku tym na sterburtce. Albo dźwięk okrętowego dzwonu, albo czyjś sarkastyczny okrzyk: „Wszystko w porządku!” nappełnił mnie przekonaniem, iż są to figury z jakiegoś gigantycznego zegara. Ta na przedzie miała czarny, obrębiony futrem kaptur, głęboko zsunięty na oczy, przytrzymała go sobie jedną ręką pod brodą tak jak czasem czynią kobiety, i wyglądała niczym postać z ilustrowanego manuskryptu z epoki Chaucera. Osoba ta poruszała się krokiem mającym chyba w przesadny sposób naśladować chód damy, oparła przy tym drugą ręką na biodrze, tak że łokieć sterczał daleko w bok. Drugie indywiduum miało na sobie luźny płócienny strój, stanowiący ubiór większości prostych ludzi, na głowie natomiast mocno sfatygowaną uniwersytecką czapkę, i podążało za pierwszą postacią tak, jakby usiłowało ją dogonić. Kiedy „aktorzy” zniknęli w drugim otworze, w forkasztelu rozległ się kolejny wybuch śmiechu, a potem głośnie owacja.

Czy wolno mi w tym miejscu wtrącić coś, co wasza lordowska mość z właściwą sobie przenikliwością bez trudu zdemaskuje jako refleksję uczynioną z pozycji obserwatora analizującego poniewczasie wydarzenie, w którym uczestniczył? Otóż jestem całkowicie pewien, iż spektakl ten był przeznaczony nie tyle dla ludzi zgromadzonych w forkasztelu, co raczej dla nas, zebranych na rufie! Bez wątpienia wasza lordowska mość wielokrotnie widział aktora adresującego monolog do ściśle określonej części widowni otóż te dwie postaci, które przedefilowały przed naszymi oczami, parodiując ludzką słabość i uleganie namiętnościom, kierowały swoje popisy ku nam, o ileż lepiej od nich urodzonym! Nawet gdyby wasza lordowska mość miał pojęcie, jak szybko rozchodzą się po statku wszelkie plotki i sensacje, i tak byłby pełen podziwu dla tempa, z jakim przez nasze szeregi przebiegła wiadomość o tym, co dzieje się w forkasztelu. Cokolwiek to było, emigranci znaleźli wspólny język z załogą! Zaczął się jakiś ferment! W jednej chwili zjednoczyła nas świadomość zagrożenia, jakie lada moment mogło z tego powodu wyniknąć dla ustalonego porządku społecznego. Pospólstwo dało pokaz buty i zuchwalstwa, winni temu zaś byli pan Colley oraz kapitan Anderson - pierwszy, ponieważ swoją osobą dostarczył pretekstu do kpin, drugi, bo na kpiny pozwolił.



Przez okres równy długości życia jednego pokolenia cały cywilizowany świat cierpiał okrutne katusze wywołane szalonymi pomysłami Francuzów; mam nadzieję, że po lekcji, jakiej im udzieliliśmy, fanaberie te na dłuższy czas wywietrzeją z wszystkich głów. Przepelniony odrazą zszedłem z mostku, ledwo dostrzegając ukłony zebranych. Pan Prettiman stał obok panny Granham na pokładzie rufowym. Nieszczęśnik może oto przekonać się na własne oczy, do czego prowadzą rozbuchane swobody, których jest tak gorącym orędownikiem, pomyślałem z goryczą. Kapitan Anderson także zniknął z mostku, pozostawiając tam Summersa, który wciąż spoglądał ku dziobowi z napięciem na twarzy, jakby lada chwila spodziewał się ujrzeć nieprzyjaciela lub Lewiatana wyłaniającego się z głębin. Miałem zamiar zejść na śródokręcie, kiedy z korytarza wyłonił się pan Cumbershum; zawahałem się, nie wiedząc, czy powinienem go zagadnąć, ale zanim zdołałem podjąć jakąkolwiek decyzję, młody Tommy Taylor dosłownie wyprysnął z forkaasztelu i pognął w naszą stronę. Cumbershum chwycił go za kark żelazną ręką.

- Więcej powagi na pokładzie, młodzieńcze!

- Panie Cumbershum, ja muszę rozmawiać z pierwszym oficerem! To bardzo ważne, jak mi Bóg miły!

- Do tego jeszcze przeklinamy, gagatku?

- To pastor, proszę pana! Mówiłem, że to on!

- Dla ciebie pan Colley, smarkaczu! Zaraz złożę ci skórę za twoją bezczelność!

- Kiedy to prawda, proszę pana! Pan Colley jest tam, w forkaasztelu, pijany jak zając na wiosnę!

- Pod pokład, gamoni, bo każę cię przywiązać do masztu!

Pan Taylor zniknął. Wiadomość, że pastor był obecny w forkaasztelu przez cały czas, kiedy dobiegały stamtąd przedziwne odgłosy, a także podczas przeznaczonego głównie dla naszych oczu pokazu zegarowych figur, wprawiła mnie w tak wielkie zdumienie, że zrezygnowałem z zamiaru powrotu do kajuty. Zaintrygowani widzowie tłoczyli się już nie tylko na mostku i rufie; najbardziej wygimnastykowani wspięli się na niższe wanty bezanmasztu i nawet śródokręcie - czyli parter, żeby trzymać się teatralnej terminologii - także zapełniło się publicznością. Najdziwniejsze wydawało mi się to, iż damy okazywały taką samą, wywołaną szokiem wesołość, jak towarzyszący im dżentelmeni. Wiele wskazywało na to, że z radością przyjąłoby zapewnienie, iż to wszystko nieprawda, byłoby im niezmiernie przykro, gdyby zaistniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że to jednak prawda, a jeśli prawdopodobieństwo to zamieniłoby się w pewność, wówczas, ma się rozumieć, w obliczu niepodważalnych faktów... Tylko panna Granham z nieprzeniknionym

wyrazem twarzy zesła z pokładu rufowego i skryła się we wnętrzu statku. Pan Prettiman, wciąż ściskając w rękach ogromną fuzję, przez chwilę przestępował niezdecydowanie z nogi na nogę, po czym pospieszył za nią. Cała reszta towarzystwa została jednak na pokładzie, wzburzonym szeptem wymieniając między sobą uwagi i zawzięcie kiwając głowami, co postronnemu obserwatorowi mogło nasunąć skojarzenia raczej z salą sądową niż pokładem okrętu Jego Królewskiej Mości. Poniżej mnie pan Brocklebank wsparł się ciężko na lasce, podczas gdy kapelusze dwóch towarzyszących mu kobiet poruszały się energicznie w górę, dół i na boki. Milczący Cumbershum także stał w pobliżu. Po pewnym czasie podekscytowane głosy zaczęły cichnąć, aż wreszcie zapadło milczenie tak głębokie, że dało się słyszeć tylko odgłosy towarzyszące każdej morskiej podróży: pluskanie fal obmywających kadłub i delikatny oddech wiatru igrającego z linami. Chwilę później do moich - do naszych - uszu dotarł jeszcze jeden dźwięk: przytłumiony, ale wyraźny męski głos, wyśpiewujący coś wniebogłosy. Natychmiast domyśliliśmy się, że to pan Colley. Śpiewał tak samo jak wyglądał, to znaczy nędznie, a słowa i melodia pieśni były powszechnie znane. Można ją często usłyszeć zarówno w karczmie, jak i salonie, ale nie mam pojęcia, gdzie on się jej nauczył:

- „Gdzie byłeś dzień cały, Billy, chłopczyku mój...”

Przerwał, by niemal natychmiast rozpocząć inną pieśń, której nigdy do tej pory nie słyszałem. Słowa były proste i niewyszukane, toteż zawtórował im pełen aprobaty śmiech. Miałem wrażenie, że ich autorem jest jakiś wieśniak, spędzający całe dni na zbieraniu kamieni w polu i płoszeniu ptaków.

Odtwarzając teraz w pamięci tę scenę nie znajduję odpowiednich wyrazów, by oddać napięcie, z jakim oczekiwaliśmy na finał nieprzystojnych poczynań Colleya, przekonani, iż dopiero kiedy to nastąpi, będziemy mogli w pełni ogarnąć znaczenie rozgrywających się przed nami wydarzeń. Dużo wcześniej stwierdziłem z goryczą, że rozmiary sceny, jaką stanowił forkaasztel statku, są zupełnie nieadekwatne do wagi dramatu, ale teraz i ja czekałem z zapartym tchem na epilog. Wasza lordowska mość może zapytać, czy nigdy przedtem nie słyszałem o pijanym pastorze; owszem, słyszałem, ale żadnego nie widziałem, a poza tym wiele zależy przecież od miejsca i czasu.

Śpiew ustał, rozległ się kolejny wybuch śmiechu, po czym zerwała się burza wrzasków i braw. Przez chwilę wydawało się, że nic nie zobaczymy, z czym trudno było się pogodzić, zważywszy jak wysoką cenę zapłaciliśmy za nasze miejsca; płaciliśmy nudą, narażaniem się na niebezpieczeństwo i choroby. Jednak właśnie w tym krytycznym momencie kapitan Anderson wyłonił się ze swojej kabiny na rufie, zajął miejsce na mostku i

ogarnął spojrzeniem teatr oraz publiczność. Twarz miał równie poważną jak niedawno panna Granham. Oskarżycielskim tonem poinformował pana Deverela, który właśnie się zjawił, że „pastor nadal tam jest”, kilkakrotnie przemierzył mostek, ponownie zatrzymał się przy balustradzie i powtórnie przemówił do pierwszego oficera, tym razem znacznie życzliwiej niż poprzednio:

- Panie Deverel, niechże pan będzie tak dobry i każe powiedzieć pastorowi, żeby natychmiast wrócił do swojej kajuty.

W śmiertelnej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, pan Deverel powtórzył rozkaz panu Willisowi, który zasalutował, po czym, odprowadzany spojrzeniami zebranych, ruszył na dziób statku. Niebawem do naszych zdumionych uszu dotarł stek wyzwisk, jakimi powitał go pan Colley większość z nich wywołałaby rumieniec nawet na twarzy panny Brocklebank, i przypuszczalnie wywołała. Młody dżentelmen wyskoczył jak oparzony z forkasztelu i chichocząc umknął na rufę, ale, prawdę powiedziawszy, nikt nie zwracał na niego uwagi, ponieważ właśnie w tej chwili, niczym skarłowaciały nagle Polifem, stwór zarazem zdumiewający i odrażający, na scenie pojawił się nasz pastor we własnej osobie. Paradny strój duchownego zniknął bez śladu, a wraz z nim symbole jego profesji, peruka, spodnie, pończochy oraz pantofle. Jakaś litościwa dusza przyodziła go w luźną płócienną koszulę, jaką nosi większość prostych ludzi podróżujących naszym statkiem. Dzięki temu, że pastor jest niewielkiego wzrostu, koszula zakrywała mu przyrodzenie. Pan Colley nie był sam: podtrzymywał go jakiś młody osiłek, na którego piersi niczym na poduszce duchowny złożył swą głowę. Kiedy ta przedziwna para dotarła do głównego masztu, pastor gwałtownie wyprostował się i zatrzymał. Nie ulegało wątpliwości, iż pogrążony w stanie pogodnego, beztróskiego oszołomienia niewiele rozumie z tego co widzi. Z pewnością niewiele też widział, ale nawet gdyby mógł ujrzeć samego siebie, obraz ten z pewnością nie wprawiłby go w zachwyty: pozbawiona peruki mała, wąska czaszka, chude łydki, wielkie stopy oraz guzłowate kolana, świadczące nieomylnie o chłopskim pochodzeniu ich właściciela... Mamrotał coś bez sensu pod nosem, a potem, jakby dopiero teraz ujrzął licznie zgromadzoną publiczność oderwał się od swego towarzysza, stanął koślawo w rozkroku i szeroko rozłożył ramiona.

- Radujcie się! Radujcie!

Na jego twarzy niespodziewanie pojawił się wyraz głębokiego namysłu; po krótkim wahaniu wielebny dżentelmen podszedł ostrożnie do relingu i oddał mocz za burtę. Damy zaczęły przeraźliwie piszczeć i zasłaniać twarze, panowie groźnie mruzczeć, ale wystarczyło, że pan Colley odwrócił się twarzą do nas i otworzył usta, by zapadła całkowita cisza. Nawet

rozkaz kapitana nie podziałałby z taką siłą.

Pastor uniósł prawą rękę, a następnie powiedział niewyraźnie:

- Niech was błogosławi Bóg Wszechmogący: Ojciec, Syn, i Duch Święty. Na wieki wieków, amen.

Powiadam waszej lordowskiej mości, jakież zrobiło się zamieszanie! Jeżeli publiczne wykonywanie czynności fizjologicznych zaszokowało nasze damy, to błogosławieństwo udzielone przez kompletnie pijanego duchownego, ubranego jedynie w płócienną koszulę, przyprawiło je niemal o spazmy! Służący nazwiskiem Phillips oraz pan Summers rzucili się na nieszczęsnego głupca i w okamgnieniu zniknęli z nim pod pokładem, natomiast marynarz, który towarzyszył mu w drodze z forkasztelu, odprowadził pastora wzrokiem, po czym spojrzał na nas, odgarnął włosy z czoła i odszedł tam, skąd przybył.

Odnoszę wrażenie, że publiczność była w pełni usatysfakcjonowana, tym zaś, który najwięcej skorzystał na występie pastora - naturalnie oprócz dam - okazał się kapitan Anderson. Natychmiast pospieszył z odsieczą pasażerom, ofiarując im słowa otuchy i pocieszenia, a choć kategorycznie odmówił jakichkolwiek komentarzy dotyczących *l'affaire Colley*, to w jego oku dostrzegłem błysk, który, jak przypuszczam, pojawiał się tam jedynie przed zbliżającą się nieuchronnie bitwą. Po ożywieniu, jakie zapanowało wśród innych oficerów, bardzo szybko nie zostało ani śladu; zapewne widzieli już tyłu pijaków i byli świadkami tyłu gorszących wyczynów, że ten, który oglądali przed chwilą, nie wywarł na nich większego wrażenia, a cóż znaczył sikający Colley dla tych wilków morskich, którym nieraz dane było oglądać rozwleczone na pokładzie wnętrzości i martwe ciała towarzyszy? Wróciłem do kajuty, aby czym prędzej przygotować dla waszej lordowskiej mości dokładną relację, ale w czasie, kiedy to czyniłem, kolejne wydarzenia dopełniły historii upadku wielebnego męża. Gdy siedziałem pochłonięty opisywaniem dziwnych odgłosów, dobiegających z forkasztelu, usłyszałem skrzypnięcie drzwi otwieranych po drugiej stronie korytarza. Rzuciłem pióro, doskoczyłem do drzwi i spojrzałem przez judasza, by ujrzeć Colleya wyłaniającego się z kajuty! W ręku dzierżył jakiś papier, na twarzy zaś w dalszym ciągu miał błogi, półprzutomny uśmiech. Chwiejnym krokiem podążył w kierunku wiadomych pomieszczeń usytuowanych w tej części statku. Najwyraźniej wciąż jeszcze przebywał w zaczarowanej krainie, która jednak już niedługo miała zniknąć, pozostawiając go w...

Właśnie, gdzie? Z pewnością nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w obcowaniu z mocnymi napitkami. Wyobraziłem sobie jego reakcję, kiedy oprzytomnieje, i rozbawiło mnie to, bardzo szybko jednak przestałem się śmiać, gdyż przez szpary w zbitych z desek ścianach

do mojej kajuty począł sączyć się nieznośny fetor.

To chyba pięćdziesiąty pierwszy dzień naszej żeglugi choć naturalnie, mogę się mylić. Straciłem wszelkie zainteresowanie kalendarzem, a poniekąd także samą podróżą. Od występu Colleya nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Kapitan Anderson nadal ujmuje swą łagodnością, pastor natomiast, którego otacza powszechne potępienie, w ciągu czterech dni, jakie minęły od jego sławetnego pijaństwa ani razu nie opuścił kajuty. Przez ten czas widywał go tylko służący - naturalnie poza mną. Przy dybałem go, kiedy udawał się do wychodka. Myślę, że na razie dość o nim.

Chyba znacznie zabawniejszy dla waszej lordowskiej mości będzie opis przedziwnego tańca, jaki my, młodzi mężczyźni, wykonujemy przed panną Brocklebank. Jeszcze nie udało mi się zidentyfikować „dzielnego żeglarza”, ale jestem niemal pewien, że Deverel miał z nią jakąś przygodę. Któregoś razu, kiedy znaleźliśmy się na osobności, przyparłem go do muru i uzyskałem potwierdzenie mych domysłów. Doszliśmy do wspólnego wniosku, iż na tych zdradzieckich wodach bardzo łatwo wpaść na rafy, więc lepiej stanąć ramię w ramię i wspólnie stawić czoło niebezpieczeństwu. Ta dosyć nędzna metafora najlepiej świadczy o tym, w jak podłym jestem nastroju. Krótko mówiąc: obaj uważamy, że w chwili obecnej Zenobia obdarza swą przychylnością Cumbershuma. Nie kryłem, iż dla mnie to prawdziwa ulga, a Deverel po namyśle stwierdził to samo. Obaj też obawiamy się tych samych komplikacji, jakie mogą wyniknąć z naszej przygody. Wasza lordowska mość z pewnością pamięta mój szalony pomysł, aby, wykorzystując rzucającą się w oczy fascynację Colleya, uczynić „wiele hałasu o nic”, podsycając płomienie, które rozgorzały w duszach naszej Beatrycze i naszego Benedykta. Opowiedziałem o tym Deverelowi, który milczał przez chwilę, po czym wybuchnął szaleńczym śmiechem. Chciałem już dać wyraz memu głębokiemu oburzeniu, kiedy opanował się i bardzo grzecznie poprosił mnie o wybaczenie. Mój plan szalenie mu się spodobał. Obiecał podzielić się ze mną nadzwyczaj zabawną wiadomością, pod warunkiem jednak, iż dam słowo, że nie powtórzę jej nikomu więcej. Akurat w tej chwili przerwano nam rozmowę, nie dowiedziałem się więc, o co chodzi, ale jak tylko się dowiem, natychmiast doniosę o tym waszej lordowskiej mości.

## Alfa

Przez kilka dni zaniedbałem prowadzenie dziennika. Czułem się tak, jakbym był pogrążony w letargu. Moje zajęcia ograniczały się do spacerowania po pokładzie, picia w salonie z tym, kto akurat się napatoczył, ponownego spacerowania, od czasu do czasu urozmaiconego zdawkową rozmową z którymś z pasażerów, i tak w kółko. Aha, zapomniałem napisać, że kiedy „pani Brocklebank” wyłoniła się wreszcie ze swojej kajuty, okazało się, że jest znacznie młodsza od córki! Starannie unikałem zarówno jej, jak i pięknej Zenobii, która tak rozkwita w upale, że na jej widok mój żołądek zaczyna wyprawiać różne nieprzystojne harce. Niestety, Cumbershum nie przejawia równej delikatności. Nuda jest tak wielka - wlecemy się w żółtym tempie, bo w tym piecu prawie zupełnie nie ma wiatru - że spożycie mocnych trunków wzrasta z dnia na dzień. Miałem zamiar sporządzić pełną listę pasażerów, ale zrezygnowałem, wątpię, aby waszą lordowską mość zainteresowała prosta wyliczanka. Niech ci ludzie pozostaną *κωφά πρόσωπα*. Nad wyraz interesujące jest natomiast zachowanie, a raczej brak jakichkolwiek działań Colleya. Od chwili swego upadku wciąż jeszcze nie wystawił nosa z kajuty. Czasem zagląda do niego Phillips, a wydaje mi się, że przynajmniej raz odwiedził pastora także pan Summers, który zapewne uważa, iż należy to do obowiązków pierwszego oficera. Wcale się nie dziwię, że ktoś taki jak Colley - szczególnie po tym, co uczynił - ociąga się z powrotem do towarzystwa. Damy wciąż jeszcze są na duchownego niezmiernie oburzone, natomiast jeśli chodzi o mnie, to fakt, że kapitan Anderson „nieźle się po nim przejechał”, żeby posłużyć się określeniem Deverela, wpłynął na znaczne złagodzenie mego stanowiska. Sądzę, że jednak można w dalszym ciągu traktować go jako ludzką istotę.

Obaj z Deverelem jesteśmy przekonani, iż Brocklebank opiekuje się obiema kokotami. Wiem, że oceniając świat artystyczny nie należy odwoływać się do tradycyjnych standardów moralności, ale szczerze mówiąc wolałbym, żeby otworzył swój burdel w innym miejscu. Na szczęście mają dwie kajuty - dla „rodziców” i dla „córeczki” - co pozwala na zachowanie pozorów, dzięki czemu wszyscy są zadowoleni, panny Granham nie wyłączając. Co do pana Prettimana, to wydaje mi się, że nie ma o niczym pojęcia. Niech żyją złudzenia, chciałyby się zakrzyknąć. Przewieźmy je do kolonii wraz z innymi dobrodziejstwami cywilizacji!

Właśnie wróciłem z salonu, gdzie dość długo siedziałem w towarzystwie Summersa. Wydaje mi się że warto zrelacjonować naszą rozmowę, choć odnoszę nieprzyjemne wrażenie, iż jej treść nie wystawia mi najlepszego świadectwa. Przede wszystkim muszę stwierdzić, że spośród wszystkich oficerów, jacy są na tym statku, właśnie Summers przynosi największy zaszczyt Marynarce Jego Królewskiej Mości. Naturalnie Deverel jest w większym stopniu dżentelmenem, ale nie wypełnia aż tak sumiennie swych obowiązków, co się zaś tyczy pozostałych, to można o nich od razu zapomnieć. Podczas naszej rozmowy podkreśliłem ogromną przydatność ludzi, którym udało się osiągnąć w życiu więcej, niż wynikałoby z ich urodzenia, ale chyba poświęciłem tej sprawie zbyt wiele uwagi, obrażając jego uczucia, gdyż odparł z goryczą:

- Panie Talbot, doprawdy nie wiem jak się wyrazić, ani nawet czy w ogóle powinienem o tym mówić... Z pańskich słów wynika jasno, że każdy człowiek ma wytatuowany na czole znak określający jego pochodzenie i nikt ani nic nie zdoła tego znaku usunąć.

- Ależ, panie Summers, z pewnością nie powiedziałem nic takiego!

- Nie pamięta pan więc?

- Czego, jeśli wolno zapytać? Umilkł na chwilę, by wreszcie dodać:

- Rozumiem. Sprawa wydaje się całkiem prosta, jeśli spojrzeć na nią z pańskiego punktu widzenia. Dlaczego miałby pan pamiętać?

- Co pamiętać?

Ponownie umilkł, po czym odwrócił wzrok i zacytował moje słowa, jakby miał je przed sobą napisane na drewnianej ścianie salonu:

- „Cóż, Summers... Przyjmij moje gratulacje za to, że udało ci się tak dobrze naśladować maniery oraz sposób mówienia ludzi należących do sfer cokolwiek wyższych niż te, do których należałeś od urodzenia”.

Tym razem to na mnie przysłała kolej, by zamilknąć. Miał rację. Gdyby wasza lordowska mość zechciał, bez trudu mógłby odszukać te słowa w moim dzienniku; ja tak właśnie uczyniłem - przeczytałem całą relację z naszego pierwszego spotkania. Summers z pewnością nie zdawał sobie sprawy ze stanu, w jakim się wówczas znajdowałem, ale w niczym nie zmienia to faktu, iż tak właśnie powiedziałem!



- Proszę o wybaczenie, panie Summers. To było... niedopuszczalne.

- Ale prawdziwe - odparł Summers gorzkim tonem. - W naszej ojczyźnie, mimo całej jej wielkości, nie jest możliwa jedna rzecz: przejście człowieka całkowicie i bez reszty z jednej klasy społecznej do drugiej. Nie da się wiernie tłumaczyć z jednego języka na inny, a system klasowy to właśnie język obowiązujący w naszym kraju.

- Ależ, mój panie! - zaprotestowałem. - Dlaczego mi pan nie wierzy? Oczywiście, że dokonanie wiernego przekładu jest rzeczą możliwą, co mógłbym po wielokroć zezemplifikować. Tak samo możliwe jest przejście do wyższej klasy społecznej.

- Może jako doskonale udawanie, ale...

- Nie wiem, co pan rozumie przez „udawanie”, ale dla mnie jest pan dżentelmenem w każdym calu.

Summers zaczerwienił się po same uszy. Doszedłem do wniosku, że już najwyższa pora, aby zmienić temat.

- Jednak w pewnym sensie ma pan rację] wśród nas przebywa osoba stanowiąca żywy dowód na to, jak trudno osiągnąć autentyczny awans społeczny.

- Domyślam się, iż ma pan na myśli pana Colleya. Ja także chciałem o nim porozmawiać.

- Człowiek ten wyrósł ponad swój stan nie dysponując niczym, co uzasadniałoby takie wyniesienie.

- Doprawdy nie wiem, czy wolno nam wysnuwać jakieś wnioski, skoro na dobrą sprawę nic nie wiemy o jego pochodzeniu!

- Ależ, miły panie, to przecież widać na pierwszy rzut oka! Zdradzają go nie tylko jego wygląd i mowa, ale przede wszystkim nawyk okazywania posłuszeństwa. Jestem gotów iść o zakład, że wywodzi się z chłopstwa, swój awans zaś zawdzięcza w głównej mierze lizusostwu i służalczości. Weźmy na przykład brandy... Bates, jeszcze po szklaneczce! Otóż mogę wypić jej dowolną ilość, a mimo to gwarantuję panu, iż żaden dżentelmen, a już na pewno żadna dama nie ujrzy mnie w takim stanie jak Colleya, który bawił nas do łez, a gorszył nasze towarzyszek. Wypił stanowczo za wiele, a nie ma ani siły charakteru, ani wrodzonej odporności właściwej osobom lepiej urodzonym, która pozwoliłaby mu uniknąć przykrych skutków opilstwa.

- Doprawdy, powinno spisać się te mądrości w książce.

- Może się pan śmiać do woli, ja i tak się nie obrażę.

- Chciałem poruszyć sprawę nieco odmiennej natury: nie mamy na pokładzie lekarza, a pan Colley zdaje się być śmiertelnie chory.

- Jak to możliwe? Jest przecież całkiem młody, a jedyne, co mu dolega, to ból głowy po przepiciu.

- Pozwolę sobie mieć na ten temat odmienne zdanie. Rozmawiałem ze służącym, a potem wszedłem do kabiny, by przekonać się osobiście. Mimo wielu lat służby ani Phillips, ani ja nie mieliśmy jeszcze do czynienia z takim przypadkiem. Poślanie jest potwornie zanieczyszczone, a człowiek, który na nim leży, choć od czasu do czasu oddycha, nawet nie próbuje się poruszyć. Leży na brzuchu, z twarzą zwróconą ku ścianie, jedną rękę uniósł nad głowę i zacisnął na zagłówku, drugą natomiast trzyma się kurczowo metalowego pierścienia przytwierdzonego do jakiegoś starego sworznia sterczącego z desek.

- Dziwię się, że po tych odwiedzinach mógł pan cokolwiek przełknąć.

- Mało tego: spróbowałem go przewrócić na plecy.

- Spróbował pan? Przecież jest pan trzykroć silniejszy od niego!

- Mimo to, nie udało mi się tego dokonać.

- Przyznam, panie Summers, iż nie znam wielu ludzi profesji Colleya, którym można by zarzucić brak wstrzemięźliwości w korzystaniu z mocniejszych trunków, ale podobna historia zdarzyła się kiedyś pastorowi podczas mszy w naszej uniwersyteckiej kaplicy, spożywszy uprzednio suto zakrapiany obiad dźwignął się z fotela, chwiejnym krokiem podszedł do pulpitu, potknął się i osunął na ziemię, po czym wymamrotał: „Gdyby nie ten przeklęty diabeł tam, na górze, mógłbym spokojnie położyć się do łóżka!” Zdaje się, że nie słyszał pan o tym zdarzeniu?

Pan Summers potrząsnął głową.

- Zapewne przebywałem wtedy na morzu, a tam wiadomości tego rodzaju nie docierają zbyt szybko.

- Powiadam panu, ile było śmiechu! Może pan być pewien, że młody Colley prędzej czy później podniesie głowę.

Summers zapałzył się w swoją szklankę.

- Ma zadziwiającą siłę. Ręka, którą zacisnął na metalowym pierścieniu, zdaje się być zrobiona ze stali, jego ciało zaś ma wagę ołowiu.

- A więc wygląda na to, że będzie musiał tam pozostać.

- I to wszystko, panie Talbot? Czyżby przejął się pan jego losem nie bardziej niż pozostali pasażerowie statku?

- Przecież nie jestem oficerem!

- I właśnie dlatego mógłby mu pan pomóc.

- W jaki sposób?

- Chyba mogę być z panem szczery, prawda? A więc... Jak pokrótce opisałby pan to, co spotkało go od początku podróży?

- Cóż, najpierw stał się obiektem niechęci jednego człowieka, potem obojętności pozostałych, a wreszcie ściągnął na siebie powszechną pogardę.

Summers odwrócił się, przez chwilę spoglądał przez wielkie rufowe okno, po czym znowu utkwiał wzrok w mojej twarzy.

- Jeżeli niewłaściwie oceniłem pański charakter, wówczas to, co teraz powiem, może zrujnować mi karierę.

- Mój charakter? Pan oceniał mój charakter? Jakim prawem...

- Proszę mi wybaczyć: nie miałem najmniejszego zamiaru pana urazić, a gdybym nie wierzył w słuszność sprawy, która...

- Jakiej sprawy, na litość boską?

- Obaj wiemy o pańskim wysokim urodzeniu, o znakomitych perspektywach na przyszłość... Bez wątplenia zarówno mężczyźni, jak i kobiety, będą prawić panu różne komplementy w nadziei zdobycia pańskiej przychylności, co z kolei zapewni im łatwiejszy dostęp do gubernatora.

- Dobry Boże, panie Summers!

- Jeszcze chwilę, jeśli łaska! Proszę mnie dobrze zrozumieć: ja się wcale nie skarżę.

- Powiedziałbym, że owszem, i to bardzo! Chciałem podnieść się z krzesła, ale Summers wyciągnął rękę w tak prostym, błagalnym geście, że nie pozostało mi nic innego, jak usiąść z powrotem.

- Wobec tego proszę mówić dalej, jeśli pan musi.

- Nie chodzi mi o mnie.

Przez chwilę obaj milczeliśmy, a potem Summers głośno odetchnął, jakby właśnie przełknął większą porcję alkoholu.

- Wykorzystał pan swoje znakomite pochodzenie oraz perspektywę objęcia wysokiego stanowiska, by wywołać nadzwyczajne zainteresowanie swoją osobą oraz uzyskać znaczne przywileje. Nie czynię panu zarzutów, naprawdę! Kimże jestem, by kwestionować zwyczaje obowiązujące w naszym społeczeństwie, czy nawet prawa natury? Krótko mówiąc, skorzystał pan z przywilejów związanych z pańską pozycją; proszę pana, by zechciał pan także wziąć na barki wynikające z niej obowiązki.

Tym razem milczenie trwało co najmniej pół minuty, chociaż czym właściwie jest czas na statku, albo też, by nawiązać do tej niezwykłej metafory, jaka przyszła mi do głowy podczas występu pastora, czym jest czas w teatrze? Kolejno ogarniały mnie najróżniejsze

uczucia: wściekłość, zdumienie, rozbawienie oraz zakłopotanie, które z kolei stało się przyczyną irytacji, gdyż dopiero teraz uświadomiłem sobie, że stan pana Colleya istotnie może budzić poważne obawy.

- Przyznam, panie Summers, iż nie spodziewałem się z pańskiej strony takiej impertynencji!

Kiedy sprzed moich oczu ustąpiły czerwone plamy przekonałem się, że pod swoją opalenizną Summers jest śmiertelnie blady.

- Muszę się zastanowić. Steward! Jeszcze jedną brandy.

Bates zjawił się niemal biegiem, gdyż chyba wydałem polecenie znacznie bardziej donośnym głosem niż zwykle. Zamiast od razu podnieść szklankę do ust, przez długą chwilę wpatrywałem się w jej bursztynową zawartość. Najgorsze było to, że siedzący naprzeciwko mnie człowiek miał całkowitą rację!

- Gdyby ktoś taki jak pan zechciał złożyć mu wizytę... - ponownie przerwał milczenie.

- Ja? Miałbym wejść do tej cuchnącej nory?

- Istnieje wyrażenie pasujące jak ulał do pańskiej sytuacji: *noblesse oblige*.

- Niech szlag pana trafi razem z pańską francuszczyzną! Znam inne wyrażenie, które dla mego ucha brzmi o niebo przyjemniej: *fair play*!

- Nie mam nic przeciwko niemu.

- Doprawdy? Jakże to szlachetnie z pana strony! Znowu zapadło milczenie, ale tym razem to ja je przerwałem, odezwawszy się dość opryskliwym tonem:

- Pańskie na wierzchu, panie Summers. Istotnie, zaniedbałem swoje obowiązki. Jednak ci, co wtykają nos w cudze sprawy, niech nie oczekują wdzięczności!

- Niczego się nie obawiam. Tego było już za wiele.

- Bo nie musisz, człowieku! Czy naprawdę myślisz, że jestem taki małostkowy i mściwy? Możesz być całkowicie spokojny o swoją bezcenną karierę. Nie mam najmniejszej ochoty ułatwiać zadania nieprzyjacielowi.

Akurat wtedy do salonu weszli Deverel, Brocklebank oraz jeszcze kilka osób, więc siłą rzeczy rozmowa zeszła na bardziej ogólne tematy. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności umknąłem ze swoją brandy do kajuty i długo siedziałem tam, zastanawiając się, co począć. Wreszcie wezwałem Wheelera i kazałem mu, by przysłał Phillipsa, ale ten zrobił się już tak bezczelny, że zapytał mnie, po co, więc musiałem go ostro obsztorcować. Wkrótce potem zjawił się drugi służący.

- Phillips, postanowiłem złożyć wizytę panu Colleyowi, ale nie życzę sobie oglądać ani wachać niczego nieprzyjemnego. Bądź tak dobry i wysprzątaj jego kajutę oraz koję, jeśli

to możliwe. Daj mi znać, kiedy skończysz.

Przez chwilę wydawało mi się, że będzie protestował, lecz najwyraźniej zmienił zdanie, gdyż wyszedł bez słowa. Zaraz potem w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Wheelera, ale kiedy zaproponowałem mu, żeby przeszedł na drugą stronę korytarza i pomógł Phillipsowi, natychmiast zniknął. Minęła chyba godzina, zanim Phillips zameldował, że „zrobił co mógł”. Wynagrodziłem go, potem zaś, obawiając się najgorszego, podążyłem za nimi Wheeler natychmiast zjawił się w pobliżu, jakby oczekiwał, że Phillips podzieli się z nim pieniędzmi za to, że on, Wheeler, pozwolił mu ze mnie skorzystać. Te typy są równie nieznośne jak pastorzy, kiedy dochodzi do płacenia za chrzty, śluby i pogrzeby! Zamierzali chyba stać na warcie przed drzwiami kajuty Colleya, ale kazałem im odejść i na wszelki wypadek zczekałem, aby upewnić się, że to naprawdę uczynią.

Pomieszczenie, które zajmował Colley, niczym nie różniło się od mojej kajuty. Co prawda Phillips nie zdołał usunąć nieprzyjemnej woni, ale uczynił ją przynajmniej bardziej znośną, rozpylając w powietrzu jakieś intensywnie pachnące wonności. Colley leżał dokładnie tak, jak opowiadał Summers: prawą rękę miał zaciśniętą na czymś, co według Falconera jest „trzcieniem z pierścieniem” tkwiącym w kadłubie statku; porośnięta krótkimi, zmierzwionymi włosami głowa była wciśnięta w poduszkę, twarz zaś zwrócona ku ścianie. Stałem przy koi nie bardzo wiedząc, jak powinienem się zachować, gdyż do tej pory niezbyt często odwiedzałem chorych.

- Panie Colley!

Nie zareagował, więc spróbowałem ponownie.

- Panie Colley, przed kilkoma dniami chciałem zapoznać się z panem nieco bliżej, ale, niestety, nie udało mi się to. Czy mogę liczyć, że dziś dotrzyma mi pan towarzystwa na pokładzie?

Pochlebiam sobie, że wyszło mi to wcale zgrabnie. Byłem tak pewien, że uda mi się podnieść tego człowieka na duchu - oraz z łóżka - iż pospiesznie zrejterowałem, uświadomiwszy sobie, jak bardzo wynudziłbym się w jego towarzystwie.

- Cóż, jeśli nie dzisiaj, to może kiedy indziej, jak tylko znajdzie pan czas. Czekam na sygnał od pana.

Czyż to nie była głupota? Teraz miał znakomity pretekst, by nękać mnie o dowolnej porze dnia i nocy! Cofnąłem się o krok i odwróciłem w samą porę, by zobaczyć umykających Wheelera i Phillipsa. Rozejrzałem się po kajucie, jeszcze skromniej wyposażonej niż moja. Na półce stała Biblia, modlitewnik, mocno sfatygowany tom, przypuszczalnie nabyty okazyjnie z trzeciej ręki, a następnie nieporadnie obłożony w brązowy papier (tytuł brzmiał:

„O gatunkach roślin”), oraz kilka religijnych dzieł, między nimi zaś „Wieczny spoczynek świętych” Baxtera. Na rozkładanym stoliku leżał gruby plik zapisanych kartek. Wyszedłem na korytarz, zamknąłem za sobą drzwi i wróciłem do swojej kajuty.

Nie zdążyłem wejść do środka, kiedy obok mnie pojawił się Summers. Zdaje się, że przez cały czas obserwował mnie z ukrycia.

- I co, panie Talbot?

- Nie zdołałem wydobyć z niego ani słowa, ale, jak sam pan widział, odwiedziłem go i zrobiłem wszystko, co w mej mocy. Odnoszę wrażenie, iż wywiązałem się z obowiązków, o których był pan łaskaw mi przypomnieć. Nic więcej nie mogę uczynić.

Ku memu zdumieniu podniósł do ust szklankę brandy! Albo ukrywał ją do tej pory za plecami, albo ja po prostu jej nie zauważyłem, bo i kto spodziewałby się ujrzeć coś takiego w ręku równie wstrzemięźliwego człowieka?

- Ależ mój drogi Summers! Pan pijesz! Natychmiast przekonałem się, że raczej próbuje, ponieważ po pierwszym łyku zakrztusił się tak, że aż łyzy nabiegły mu do oczu.

- Człowieku, potrzebujesz więcej praktyki! Przyłącz się kiedyś do mnie i Deverela.

Napił się ponownie, po czym odetchnął głęboko.

- Panie Talbot, powiedział pan dzisiaj, że nie mógłby się na mnie gniewać. Co prawda żartował pan wtedy, ale... było to słowo dżentelmena. Spróbuję jeszcze raz z niego skorzystać.

- Szczerze mówiąc, mam już dość tego tematu.

- Zapewniam pana, że to ostatni raz. Przysunąłem sobie płócienne krzesło i usiadłem na nim ciężko.

- W takim razie, mów pan.

- Kto ponosi odpowiedzialność za to, co stało się z tym człowiekiem?

- Z Colleyem? A któż, jeśli nie on sam, do wszystkich diabłów? Nie kręćmy się dokoła prawdy niczym para starych dewotek! Chce pan rozciągnąć odpowiedzialność na kogo się da, prawda? Kogo jeszcze ma pan na myśli? Kapitana? Z tym mógłbym się zgodzić. Cumbershuma? Deverela? Siebie? Wachtowych? Cały świat?

- Będę z panem zupełnie szczery, panie Talbot. Najlepszym lekarstwem na przypadek pana Colleya byłoby parę słów pociechy ze strony kapitana, którego ogromnie się lęka. A tylko pan mógłby skłonić kapitana Andersona do złożenia wizyty panu Colleyowi.

- Ani myślę!

- Zrzucił mi pan, że próbuję „rozciągnąć odpowiedzialność”. Skoro tak... Człowiekiem odpowiedzialnym za nieszczęście pana Colleya jest właśnie pan, panie Talbot...

- Na litość boską, Summers, co się...

- Proszę mi nie przerywać!

- Upiłeś się?

- Dałem panu słowo, że będę szczery. Nie zawahałbym się wystawić piersi na kule nieprzyjaciela, choć w tej chwili znacznie większe niebezpieczeństwo grozi mi z pańskiej strony. Bądź co bądź, Francuzi mogliby mnie co najwyżej zabić albo okaleczyć, podczas gdy pan...

- Tak, jesteś pijany! Nie znajduję innego wytłumaczenia.

- Z pewnością nie doszłoby do tego, gdyby w zuchwały i bezmyślny sposób nie ośmieszył pan kapitana na mostku statku, którym dowodzi, wykorzystując swą pozycję i znajomości dla podważenia jego autorytetu. Istotnie, jest szorstki w obejściu i nie lubi duchownych - nigdy zresztą nie czynił z tego tajemnicy. Gdyby jednak pan zachował się wówczas inaczej, kilka minut później kapitan nie skierowałby swego gniewu przeciwko Colleyowi, a potem nie poniżałby go przy każdej sposobności, rekompensując sobie w ten sposób to, że nie może poniżyć pana.

- Gdyby Colley miał dość oleju w głowie, żeby zapoznać się z regulaminem pokładowym...

- Pan jest pasażerem tak samo jak on. Przeczytał pan regulamin?

Powściągnąłem gniew i cofnąłem się myślą do początku podróży. Zdaje się, że Wheeler wspomniął coś o jakimś regulaminie, wisiał w korytarzu przy mojej kabinie i byłoby dobrze, gdybym w sposobnej chwili...

- Przeczytał go pan, panie Talbot?

- Nie.

Czy wasza lordowska mość zauważył kiedykolwiek, że w pozycji siedzącej znacznie łatwiej jest zapanować nad wzburzeniem, niż kiedy stoimy? Nie mogę powiedzieć, żeby gniew zupełnie mnie opuścił, ale przynajmniej nie przybrał na sile. Summers przysiadł na krawędzi koi, jakby także zależało mu na tym, by zachować spokój. W dalszym ciągu spoglądał na mnie nieco z góry, więc wykład, jaki wygłosił, wydawał się jak najbardziej na miejscu.

- Czytając regulamin pokładowy uznałby pan, że jest równie surowy jak nasz kapitan, który go stworzył, ale prawda wygląda w ten sposób, że bez niego życie na statku stałoby się niemożliwe. Jego część dotycząca pasażerów jest równie ważna jak ta odnosząca się do załogi.

- Wierzę panu, wierzę!

- Nie widział pan statku w krytycznej sytuacji, panie Talbot. Czasem na ratunek zostaje tylko kilka chwil, a wówczas ogarnięci paniką pasażerowie, wchodzący w drogę i przeszkadzający w każdej czynności, mogą uniemożliwić...

- Nie musi pan mówić nic więcej.

- Mam nadzieję.

- Jest pan pewien, że nie ponoszę odpowiedzialności za inne niemiłe wydarzenia? Na przykład za poronienie panny East?

- Gdyby udało się namówić kapitana, by odwiedził cierpiącego człowieka...

- Powiedz mi, Summers: dlaczego tak bardzo przejąłeś się tym Colleyem?

Opróżnił szklankę i podniósł się z koi.

- *Fairplay, noblesse oblige...* Odebrałem zupełnie inne wykształcenie niż pan, znacznie bardziej praktyczne, ale mimo to znam słowo, którym da się, że tak powiem, podsumować oba te wyrażenia. Mam nadzieję, że pan także je sobie przypomni.

Powiedziawszy to wyszedł z kajuty. Miotają mną sprzeczne uczucia. Były wśród nich gniew i zażenowanie, ale także coś w rodzaju ponurego rozbawienia faktem, że jednego dnia otrzymałem dwie lekcje od tego samego nauczyciela. Przekląłem go za wtykanie nosa w nie swoje sprawy, po czym natychmiast przeprosiłem w myślach, ponieważ w gruncie rzeczy, pomimo swego pochodzenia, jest bardzo porządnym człowiekiem. Tylko dlaczego, do wszystkich diabłów, interesują go moje rzekome obowiązki?

Co to może być za słowo? Doprawdy, niezwykły typ. On akurat nie musi się obawiać, że całkowity awans do wyższej warstwy społecznej jest dla niego niemożliwy! W jednej chwili wydaje marynarzom rozkazy posługując się ich żargonem, w następnej zaś, siedząc ze mną nad szklaneczką brandy, wysławia się jak na dżentelmena przystało. Teraz, kiedy krew w moich żyłach nieco ostygła, zrozumiałem, dlaczego uważał, że zwracając się do mnie w tej sprawie naraża na szwank swoją zawodową karierę, i roześmiałem się z goryczą. Już wiem, jak zaznaczyłbym jego pojawienie się na scenie: wchodzi Dobry Człowiek.

Tak się jednak składa, że Dobrzy Ludzie oraz dzieci mają jedną wspólną cechę: nie wolno sprawić im zawodu. Na razie spełniłem tylko połowę jego prośby, to znaczy odwiedziłem chorego; teraz muszę spróbować, czy moje wpływy okażą się wystarczające, aby doprowadzić do zawarcia pokoju między Colleyem a naszym ponurym kapitanem. Przyznaję, iż wcale nie jestem zachwycony tą perspektywą. Wróciłem do salonu, kazałem sobie podać kolejną brandy, potem jeszcze jedną i następną, aż wreszcie stwierdziłem - było to wieczorem - iż doprowadziłem się do stanu uniemożliwiającego podjęcie jakichkolwiek sensownych decyzji. Wydaje mi się, że podświadomie starałem się uczynić wszystko, aby



przynajmniej na razie uniknąć bardzo nieprzyjemnej rozmowy. Zataczając się dotarłem dostojnym krokiem do kajuty, gdzie nie zwlekając ułożyłem się na koi - przy niejakiej pomocy Wheelera, jak mi się zdaje. Niemal od razu zapadłem w głęboki sen, z którego obudziłem się z bólem głowy oraz mdłościami. Zerknąwszy na zegarek stwierdziłem, że jest wczesny ranek. Pan Brocklebank chrapał donośnie, z sąsiedniej kajuty natomiast dobiegały odgłosy świadczące o tym, że piękna Zenobia zajmuje się kolejnym kochankiem, czy też raczej klientem. Czy jej także zależało na tym, by uzyskać łatwiejszy dostęp do gubernatora? Czy też mam się raczej spodziewać, że pewnego dnia podsunie mi myśl, by pan Brocklebank otrzymał zlecenie na wykonanie oficjalnego portretu gubernatora? Te gorzkie myśli ponad wszelką wątpliwość zawdzięczałem szczerości Summersa, toteż przekląłem go ponownie. W kajucie panował nieznośny zaduch, więc założyłem palto<sup>3</sup> wsunąłem stopy w pantofle i poczłapałem na pokład, gdzie było dopiero na tyle jasno, aby odróżnić statek od morza, to zaś od nieba. Z prawdziwą odrazą przypomniałem sobie swoje postanowienie przeprowadzenia poważnej rozmowy z kapitanem Andersonem, to, co pod wpływem uniesienia spowodowanego alkoholem wydawało się zaledwie nużącym obowiązkiem, teraz jawiło mi się jako ohydne szaleństwo. Pamiętałem, że kapitan zwykł zażywać o świcie przechadzki po pokładzie rufowym, ale natychmiast doszedłem do wniosku, że ani czas, ani miejsce nie są odpowiednie dla poważnych dyskusji.

Wilgotne poranne powietrze, choć pod wieloma innymi względami z pewnością niezdrowe, w zadziwiający sposób zmniejszyło mój ból głowy i mdłości, a nawet uwolniło częściowo od obaw związanych z czekającą mnie rozmową. Zacząłem wędrować po pokładzie, zastanawiając się nad sytuacją. Czekano nas jeszcze wiele miesięcy podróży. Kapitana Andersona nie darzyłem ani szacunkiem, ani sympatią, jeśli zaś w ogóle o nim myślałem, to wyłącznie jako o małym tyranie. Najmniejsza próba przyjscia z pomocą znenawidzonemu Colleyowi musiała doprowadzić do zerwania trwającego między nami kruchego rozejmu: kapitan uznał moją pozycję chrześniaka waszej lordowskiej mości, et cetera, ja natomiast uznałem jego zwierzchność jako kapitana jednego ze statków Jego Królewskiej Mości. Ja nie wiedziałem, jak daleko sięga w istocie jego władza nad pasażerami, on natomiast nie miał pojęcia, jakimi naprawdę wpływami cieszę się wśród jego zwierzchników! Omijaliśmy się z daleka niczym dwa psy, niepewne siły przeciwnika. I teraz miałem nakłonić go do zmiany postępowania wobec otoczonego powszechną pogardą pastora, zważywszy jak serdecznie kapitan nienawidził duchownych! Jeżeli nie zachowam daleko posuniętej ostrożności, może to się skończyć tak, że stanę się jego dłużnikiem, a tego pragnąłem za wszelką cenę uniknąć. Zdaje się, iż raz czy dwa przerwałem panującą na

pokładzie ciszę soczystym przekleństwem, a były chwile, kiedy niewiele brakowało, bym porzucił myśl o całym przedsięwzięciu.

Z całą odpowiedzialnością mogę natomiast stwierdzić, iż wilgotne powietrze na tych szerokościach geograficznych, pomimo nie najlepszego wpływu na zdrowie ludzi, powinno być zalecane jako cudowny środek łagodzący bóle głowy oraz kwasy w żołądku!

W miarę jak odzyskiwałem siły, coraz łatwiej przychodziło mi dokonywać ocen i planować nowe działania. Wszyscy, którzy zżerani ambicją pragną objąć wysokie stanowiska w dyplomacji, albo którzy ze względu na swe urodzenie są niejako na nie skazani, powinni najpierw poddać się takiej próbie, jaką dla nas stała się ta morska podróż. Jestem niezmiernie wdzięczny waszej lordowskiej mości za to, że dzięki jego dobroci nie tylko uzyskałem szansę kilkuletniej pracy w nowym, formującym się społeczeństwie; ale także, długo żeglując, zdobyłem okazję przemyślenia wielu spraw oraz wyćwiczenia nie nadzwyczajnej dotąd, co przyznaję bez oporów, bystrości umysłu. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie zastosować metodę drobnych kroków. Co skłoniłoby kapitana Andersona do działania zgodnie z moją wolą? Co mogło wydawać mu się ważniejsze od folgowania własnym chęciom? Przeklęty Colley! Jednak przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości: bez względu na to, czy Summers miał rację, obarczając mnie główną winą, czy też nie, pastor był prześladowany. Naturalnie był także durniem i okrutnie się wygłupił, ale to akurat nie miało żadnego znaczenia. Deverel, młody Tommy Taylor, Summers - wszyscy zgodnie dawali mi do zrozumienia, że kapitan Anderson świadomie czynił wszystko, aby jak najbardziej uprzykrzyć życie małemu pastorowi. Najbardziej nie dawało mi spokoju to, że jedynym słowem mogącym stanowić odpowiednik zarówno *fair play* jak i *noblesse oblige*, jakie przychodziło mi do głowy, była „sprawiedliwość”. Proszę bardzo, takie wspaniałe słowo, powtarzane po wielekroć w każdym podręczniku, a czasem można się na nim roztrzaskać jak na skale, co niespodzianie wyrosła pośrodku oceanu! Niepokoił mnie również fakt, że zostało wypowiedziane na pokładzie okrętu wojennego Jego Królewskiej Mości, czyli w samym sercu miniaturowej tyranii. Czy ktoś pomyślał, co się stanie z moją karierą?

Wiara Summersa w moje możliwości oraz poczucie sprawiedliwości dodały mi jednak sił. Jakimiż dziwnymi jesteśmy stworzeniami! Oto ja, który zaledwie przed kilku tygodniami miałem o sobie jak najlepsze mniemanie tylko dlatego, że matka żegnała mnie łzami, teraz grzałem zziębnięte ręce przy płomyku aprobaty zwykłego porucznika!

Obmyśliłem więc plan postępowania.

No! Wróciłem do kajuty, umyłem się, ogoliłem i założyłem najlepsze ubranie, po czym udałem się do salonu, gdzie kazałem sobie podać szklaneczkę brandy, po czym siedziałem nad nią tak długo, jakby to była cała butelka. Powiadam waszej lordowskiej mości, wcale nie spieszyło mi się do tej rozmowy! Nie ulegało bowiem wątpliwości, że nawet jeśli zdołałem wywalczyć sobie należną pozycję, to kapitan z pewnością umocnił swoją! Jest tutaj władcą absolutnym. Aby uwolnić się od niedobrych myśli pospieszyłem na mostek, przeskakując po dwa stopnie naraz. Kapitan Anderson stał przy nawietrznej burcie, wpatrując się w odległy horyzont. Jest to jego przywilej, wynikający podobno z tego, że - wedle zapewnień doświadczonych żeglarzy - „niebezpieczeństwo zawsze nadciąga od nawietrznej”, ale te same wilki morskie zaraz potem zapewniają słuchaczy, iż „nie ma nic gorszego niż brzeg po zawietrznej”. Przypuszczam, że w pierwszym przypadku mają na myśli nieprzyjacielskie okręty, w drugim natomiast rafy, podwodne skały oraz inne pułapki przygotowane przez Naturę. Sądzę jednak, iż ów kapitański przywilej wziął się z tego powodu, że nawietrzna część statku jest niemal zupełnie wolna od smrodu. Nie mam tu bynajmniej na myśli odoru uryny i odchodów, lecz nieznośną woń gnijącego kadłuba oraz wyziewy wydobywające się z zalegającego na dnie żwiru i piasku. Być może nowocześniejsze jednostki, wyposażone w balast z żelaza, pachną bardziej znośnie, ale mimo to przypuszczam, że ich kapitanowie i tak zawsze będą przechadzać się po nawietrznej. Tyran musi trzymać się z dala od smrodu, bez względu na okoliczności.

Właśnie przyłapałem się na tym, że podświadomie zwlekam z przystąpieniem do relacjonowania mej rozmowy z kapitanem Andersonem, tak jak poprzednio zwlekałem z wyjściem na pokład, mitrząc czas w salonie. Doskonale pamiętam, jak zbierałem siły, by wreszcie zmusić się do działania!

W końcu stanąłem po przeciwnej stronie mostku z mocnym postanowieniem, że nawet jeśli Anderson na mnie spojrzy, ograniczę się do niezobowiązującego muśnięcia palcem krawędzi kapelusza. Liczyłem na to, że za sprawą przemiany, jaka w nim nastąpiła, zdecyduje się zagadnąć mnie pierwszy; jak się okazało, moje rachuby okazały się słuszne. Kapitan chyba nadal miał znakomity nastrój, ponieważ jak tylko mnie dostrzegł, zbliżył się, odsłaniając w uśmiechu żółte zęby.

- Cóż za wspaniały dzień, panie Talbot!

- Zaiste, kapitanie. Czy poruszamy się z taką prędkością, jaką zazwyczaj osiąga się na tych szerokościach?

- Wątpię, żeby przez najbliższy dzień lub dwa udało nam się osiągnąć więcej niż jeden węzeł.

- Czyli dwadzieścia cztery mile morskie dziennie?

- Dokładnie, szanowny panie. Okręty wojenne są znacznie wolniejsze, niż się powszechnie przypuszcza.

- Przyznam, że czuję się tu o wiele lepiej niż oczekiwałem. Jak wiele problemów udałooby się nam rozwiązać, gdybyśmy przeholowali Wyspy Brytyjskie do tej części świata! Owoce mango same wpadałyby nam do ust.

- Cóż za osobliwy pomysł! Czy ma pan na myśli także Irlandię?

- Skądże znowu. Ofiarowałbym ją Stanom Zjednoczonym Ameryki.

- Aby mogły jako pierwsze odrzucić naszą ofertę?

- Moim zdaniem Irlandia znakomicie prezentowałaby się u wybrzeży Nowej Anglii, ale cóż, chyba nie będzie nam dane tego ujrzeć.

- Tam zazwyczaj wieją tak silne wiatry, że pierwszy sztorm pozbawiłby mnie połowy załogi!

- Mimo wszystko uważam, że gra byłaby warta świeczki. Ach, jakże pięknie wygląda ocean, kiedy słońce stoi jeszcze nisko na niebie! W południe morzu brakuje tego nieuchwytnego uroku, który cieszy nasze oczy krótko po wschodzie i tuż przed zachodem naszej dziennej gwiazdy.

- Przyznam, że tak często przypatruję się temu widokowi, iż nie dostrzegam w nim nic nadzwyczajnego. Jestem natomiast wdzięczny oceanowi - jeżeli można użyć tego wyrażenia - za coś innego.

- To znaczy?

- Za to, że potrafi tak znakomicie odizolować człowieka od jego bliźnich.

- Chyba ma pan na myśli siebie, gdyż wszyscy inni, stłoczeni niczym bydło, podczas morskiej podróży mają aż nadto okazji do obcowania z bliźnimi, co nie odbija się na nich najlepiej. Chwilami odnoszę wrażenie, iż zadanie Kirke wcale nie należało do najtrudniejszych!

Poniewczasie uzmysłowiłem sobie, że moje słowa mogły zabrzmieć bardzo obraźliwie, ale z ulgą dostrzegłem, iż wymienione przeze mnie imię nie spowodowało żadnych skojarzeń, a co najwyżej wywołało głęboką zmarszczkę na czole kapitana, który począł się intensywnie zastanawiać, co też przydarzyło się statkowi o tej dziwnej nazwie.

- Niczym bydło, powiada pan?

- Powiniennem raczej powiedzieć: żyjący w ciasnocie. Cóż za wspaniałe powietrze! Doprawdy, trudno mi się pogodzić z myślą, że za chwilę będę musiał wrócić pod pokład, by ponownie zasiąść do mego dziennika!

Na słowo „dziennik” kapitan Anderson drgnął raptownie, ale ja udałem, że niczego nie zauważyłem, i kontynuowałem bez troskim tonem:

- Traktuję to trochę jako rozrywkę, a częściowo jako obowiązek. Zapewne pan, kapitanie, nazwałby moje zapiski czymś w rodzaju dziennika okrętowego.

- Wątpię, żeby miał pan o czym pisać.

- Jak bardzo się pan myli! Brakuje mi nie tylko czasu, ale i papieru, by opisać wszystkie interesujące wydarzenia i biorące w nich udział postaci, a także zanotować własne obserwacje na ich temat. Weźmy na przykład pana Prettimana: to jeden z moich bohaterów! Zapewne zna pan jego poglądy?

Kapitan Anderson wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

- Jeden z bohaterów? Roześmiałem się.

- Musi pan wiedzieć, że gdyby nie wyraźne zalecenia jego lordowskiej mości, zapewne w ogóle nie wychylałbym nosa z kajuty. Powziąłem ambitny zamiar prześcignięcia pana Gibbona \* [\*Edward Gibbon (1737-94) - angielski historyk (przyp. tłum.)] i cieszę się, że jednocześnie będę miał okazję sprawić przyjemność swemu ojcu chrzestnemu.

Nasz tyran raczył się uśmiechnąć, ale niezbyt pewnie, niczym człowiek, który zdaje sobie sprawę, że lepiej wyrwać ząb, niż pozwolić, by dalej sączyła się z niego trucizna bólu.

- A więc wszyscy możemy stać się sławni. Szczerze mówiąc, nie oczekiwałem tego.

- To dopiero w przyszłości. Musi pan wiedzieć, kapitanie, że na nasze nieszczęście jego lordowska mość został chwilowo unieruchomiony atakiem podagry. Ufam jednak, że szczerzy i wyczerpujący opis mej podróży, a także społeczności, w jakiej się znalazłem, przyniesie mu ulgę w cierpieniu.

Kapitan Anderson odwrócił się gwałtownie, kilka razy przemierzył mostek, po czym zatrzymał się przede mną.

- Zapewne w swojej relacji wiele miejsca poświęca pan oficerom pełniącym służbę na tym statku?

- Naturalnie, gdyż z łatwo zrozumiałych powodów wzbudzają oni wielkie zainteresowanie ludzi, którzy całe życie spędzają na lądzie.

- Czy to samo dotyczy kapitana?

- Kapitana? Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Jednak, bądź co bądź,

jest pan królem, czy też cesarzem, naszego małego społeczeństwa, może pan nas sądzić i skazywać, ale może pan także okazywać miłosierdzie... Tak, wydaje mi się, że pan także często pojawia się na kartach mego dziennika i przypuszczam, że tak będzie się działo w dalszym ciągu.

Kapitan Anderson odwrócił się na pięcie, odszedł na kilka kroków, zatrzymał się i odwrócony do mnie plecami ponownie zapatrzył się w stronę, z której dął wiatr. Ponieważ wtulił głowę w ramiona i splótł ręce za plecami, byłem niemal pewien, że również wysunął naprzód szczękę, i ponura mina zapewne znowu zagościła na jego twarzy. Moje słowa bez wątpienia wywarły wielkie wrażenie, i to nie tylko na nim, ale także na mnie, ponieważ drżałem na całym ciele niemal tak samo jak pierwszy oficer, kiedy odważył się stawić czoło Edmundowi Talbotowi! Powiedziałem coś - sam już nie wiem co - do Cumbershuma, który akurat pełnił wachtę. Sprawiał wrażenie lekko zmieszanego, ponieważ zapewne naruszyłem w ten sposób regulamin ustanowiony przez tyrana; kątem oka dostrzegłem, jak kapitan na przemian kurczowo zaciska i rozprostowuje dłonie. Z całą pewnością nie należało przeciągać struny w nieskończoność, toteż życzyłem oficerowi miłego dnia i opuściłem mostek, by udać się prosto do kajuty, gdzie stwierdziłem ze zdumieniem, że trzęsą mi się ręce! Usiadłem więc, by poczekać, aż uspokoi mi się oddech, a serce przestanie walić jak szalone.

Po pewnym czasie zacząłem zastanawiać się nad tym, czego mogę spodziewać się po kapitanie. Czyż działanie polityka nie polega na kształtowaniu przyszłości innych ludzi? Umiejętność owa zależy bezpośrednio od zdolności przewidywania postępowania innych. Nadarzała się znakomita okazja, by sprawdzić, w jakim stopniu udało mi się opanować to rzemiosło. Czy moja aluzja odniesie zamierzony skutek? Z całą pewnością nie należała ona do najsubtelniejszych, ale z drugiej strony, sądząc po pytaniach kapitana, był on w gruncie rzeczy bardzo prostym człowiekiem i nie można wykluczyć, iż nie zwrócił uwagi na moją wzmiankę o panu Prettimanie oraz o jego radykalnych przekonaniach. Mimo to miałem pewność, że wiadomość o tym, iż piszę dziennik, zmusi kapitana do przeanalizowania dotychczasowych wydarzeń i do zastanowienia się, jaki ma w nich udział. Wcześniej czy później bez wątpienia stanie mu przed oczyma afera z panem Volleyem i uświadomi sobie, w jak paskudny sposób potraktował nieszczęśnika. Zrozumie wówczas, że choć to ja sprowokowałem go do takiego zachowania, to jednak całe odium spada na jego, nie na moją głowę.

Jak się wówczas zachowa? A co ja zrobiłem, kiedy Summers zwrócił mi uwagę na niechlubną rolę, jaką odegrałem w tej sprawie? Spróbowałem sobie wyobrazić kilka scen, które mogłyby się rozegrać w naszym pływającym teatrze. Oto Anderson jakby nigdy nic

schodzi do korytarza, zatrzymuje się przed tablicą, na której wisi lekko już spłowiały regulamin, a potem, przy pierwszej nadarzającej się sposobności, kiedy nikogo nie ma w pobliżu (o nie! ktoś jednak musi być, żebym potem mógł opisać wszystko w moim dzienniku!) wchodzi do kabiny Colleya, zamyka za sobą drzwi, siada przy koi i rozpoczyna pogawędkę z pastorem. W tej scenie kapitan mógłby odegrać rolę arcybiskupa, albo nawet Jego Wysokości! Czy Colleya nie poruszyłyby dowody tak wielkiej łaski? Kapitan wyznałby mu, że parę lat temu sam dopuścił się podobnego występku, ale...

Niestety, prawda wygląda w ten sposób, że nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Pomysł był sztuczny, a takie działania zupełnie nie pasowały do Andersona. Nawet gdyby - gdyby - zszedł na dół, w najlepszym razie mógłby spróbować nieco ułagodzić Colleya, przyznając, że istotnie zachował się obcesowo, ale zapewne nie omieszkałby od razu nadmienić, iż zazwyczaj tak właśnie postępują wszyscy dowódcy okrętów. Dużo bardziej prawdopodobna wydawała mi się jednak ewentualność, że pozostawiłby wyprężonego na koi pastora jego własnemu losowi, albo nawet w ogóle nie pofatygowałby się na dół. Kimże byłem, aby dokonywać sekcji jego duszy, wywlekać na wierzch wszystko, co ukryte głęboko w jej wnętrzu, i na podstawie tego chirurgicznego eksperymentu snuć domysły na temat jego postępowania? Długo siedziałem nad moim dziennikiem, czyniąc sobie wyrzuty, że uległem szaleńczemu kaprysowi, by jako polityk i wprawny manipulator kształtować losy bliźnich. Muszę przyznać, iż moja wiedza na temat ukrytych mechanizmów kierujących ludzkim postępowaniem jest jeszcze bardzo mizerna, a w tych sprawach nawet najznakomitszy umysł może służyć jedynie radą. Trzeba wielkiego doświadczenia, by prawidłowo przewidzieć bieg tak ściśle ze sobą powiązanych, tworzących długi łańcuch wydarzeń.

A potem... Czy wasza lordowska mość wyobraża sobie, co się stało? Najlepsze zachowałem na sam koniec! Kapitan Anderson pojawił się w korytarzu. Ujrzałem go na własne oczy, niczym ducha przywołanego z zaświatów magicznym zaklęciem wielkiej mocy! Czyż nie jestem czarnoksiężnikiem, a przynajmniej uczniem czarnoksiężnika? Powiedziałem, że zejdzie, i naprawdę zszedł! Zobaczyłem go przez judasza, jak z ponurą, zawziętą twarzą zatrzymuje się w korytarzu i obracając się powoli na pięcie spogląda kolejno na drzwi kajut. W ostatniej chwili zdążyłem odsunąć się od wizjera, unikając spojrzenia kapitana, które, jestem tego pewien, miało temperaturę płonącego węgla. Kiedy ostrożnie zerknąłem ponownie (nie wiedzieć czemu wydawało mi się, że narażam się na poważne niebezpieczeństwo) stał odwrócony do mnie plecami. Chwilę później zbliżył się do drzwi kajuty Colleya i dość długo wpatrywał się w nie, kurczowo zaciskając splecione za plecami ręce, by wreszcie odwrócić się raptownie (całe jego ciało zdawało się krzyknąć: „Niech mnie

szlag trafi, jeśli to zrobię!”) i szybko wybiec na pokład. Chwilę później usłyszałem nad głową jego energiczne kroki.

Chyba jednak należy uznać to jedynie za połowiczny sukces. Co prawda przepowiedziałem, że kapitan pojawi się na pokładzie pasażerskim, ale wyobraziłem go sobie jak niesie pociechę nieszczęsnemu Colleyowi, podczas gdy on okazał się albo zbyt uparty, albo za mało sprytny, by to uczynić. Im bliższy był przełknięcia niesmacznego kąska, tym wyżej podchodziło mu wszystko do gardła. Teraz jednak przynajmniej miałem podstawy, by żywić pewną nadzieję: świadomość istnienia mojego dziennika z pewnością nie da mu spokoju. Będzie go dręczyła jak drzazga tkwiąca pod paznokciem, aż wreszcie kapitan Anderson znowu zejdzie pod pokład...



## Beta

Ponownie błąd, Talbot! Przyjmij kolejną nauczkę, chłopcze! Nie udało ci się pokonać tej przeszkody! Pamiętaj, aby już nigdy nie dać się omamić złudnemu zadowoleniu po osiągnięciu pierwszego sukcesu! Kapitan Anderson nie pojawił się już pod pokładem, natomiast przysłał posłańca. Właśnie kończyłem pisać zdanie o drzazdze za paznokciem, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i kogóż ujrzałem? Pana Summersa. Zaprosiłem go do środka, osuszyłem stronę - niezbyt dokładnie, jak wasza lordowska mość widzi! - zamknąłem dziennik, przekręciłem kluczyk w miniaturowym zamku na ozdobnej okładce, wstałem i wskazałem gościowi krzesło, ale on grzecznie podziękował, przysiadł na krawędzi koi, położył na niej kapelusz, po czym z zamyśloną miną spojrzał na mój dziennik.

- Zamknięty na klucz...

Nic nie odpowiedziałem, tylko uśmiechnąłem się lekko, on zaś skinął głową, jakby mnie zrozumiał - wydaje mi się, że tak było w istocie.

- Panie Talbot, to nie może dłużej trwać!

- Chce pan powiedzieć, że nie wolno mi prowadzić zapisków?

Puścił mimo uszu moje żartobliwe pytanie.

- Na polecenie kapitana odwiedziłem tego człowieka.

- Ma pan na myśli Colleya? Ja też to uczyniłem, jeśli pan sobie przypomina.

- Grozi mu obłąd!

- A wszystko z powodu jednego małego pijaństwa! Nie ma żadnej poprawy?

- Phillips przysięga, że pastor od trzech dni nawet nie drgnął.

Pozwoliłem sobie chyba na niepotrzebną, bluźnierczą uwagę, ale Summers puścił ją mimo uszu.

- Powtarzam: ten człowiek traci zdrowe zmysły!

- Istotnie, na to wygląda.

- Kapitan polecił mi uczynić wszystko, co w mej mocy, aby temu przeciwdziałać, a pan ma mi pomóc.

- Ja?

- To znaczy, naturalnie nikt panu nie rozkazuje, ale otrzymałem polecenie, aby poprosić pana o pomoc i wykorzystać pańskie światłe uwagi.

- Na Boga, kapitan stara się mi pochlebiać! Zamierzałem sięgnąć po tę metodę, ale nie

przypuszczałem, iż wcześniej zostanie użyta przeciwko mnie.

- Zdaniem kapitana Andersona ma pan obycie towarzyskie oraz wiedzę, która może okazać się nadzwyczaj pomocna.

Parsknąłem śmiechem, a po chwili Summers uczynił to samo.

- Daj spokój, Summers! Kapitan na pewno nie powiedział nic podobnego!

- Rzeczywiście, nie użył dokładnie tych słów...

- «Nie użył dokładnie tych słów», a to dobre! Posłuchaj, Summers...

Na szczęście w porę się zreflektowałem, choć miałem ochotę powiedzieć mu, że nagła troska kapitana Andersona została spowodowana nie moim apelem do jego sumienia, lecz wzmianką o prowadzonym przeze mnie dzienniku, który miał trafić w ręce bardzo wpływowej osoby. Chciałem wyrazić opinię, że kapitana nic a nic nie obchodzi stan umysłu Colleya, pragnie natomiast podstępnie wciągnąć mnie w wir wydarzeń, by przynajmniej zmniejszyć oburzenie i pogardę waszej lordowskiej mości. Jednak pomału zaczynam się uczyć, nieprawdaż? W porę ugryzłem się w język, zrozumiałwszy, jak bardzo niebezpieczne mogły się okazać te słowa dla Summersa, a kto wie, czy nawet nie dla mnie.

- Cóż, panie Summers, uczynię co w mojej mocy.

- Byłem pewien, że pan się zgodzi. Został pan dokooptowany do nas, prostych marynarzy, jako przedstawiciel władzy. Co powinniśmy uczynić?

- Mamy do czynienia z pastorem, który... Ale zaraz, czy nie powinniśmy włączyć do naszych starań panny Granham? Jako córka kanonika chyba najlepiej wie, jak należy postępować z duchownymi!

- Bądźmy poważni, panie Talbot, i zostawmy ją panu Prettimanowi.

- Niemożliwe! Ona jest uosobieniem Minerwy...

- Nasza uwaga powinna się skoncentrować wyłącznie na panu Colleyu.

- Dobrze więc: mamy do czynienia z duchownym, który... który zachował się jak zwierzę, a teraz rozpaczliwie stara się odpokutować za swoje winy.

Summers przyjrzał mi się uważnie i jakby ze zdziwieniem.

- Jakie zwierzę ma pan na myśli?

- Człowieku, ja go widziałem! Wszyscy go widzieliśmy, nie wyłączając dam, ale jestem pewien, że ja widziałem najwięcej.

- To bardzo interesujące, co pan mówi.

- Naturalnie nie należy przywiązywać do tego zbyt dużej wagi, ale jakiś czas po całym popisie, jaki urządził, zauważyłem go, jak zmierza w kierunku ustępu z papierem w dłoni i obleśnie się przy tym uśmiecha.

- Jakie wnioski pan wyciągnął?

- Że łapserdak jest pijany jak bela! Summers wskazał ruchem głowy przednią część statku.

- A co działo się tam, w forkasztelu?

- Skąd mamy wiedzieć?

- Moglibyśmy zapytać.

- Czy to aby rozsądne, Summers? Nie sądzi pan, że przedstawienie odgrywane przez prostaków - wybac mi pan! - było przygotowane z myślą o wszystkich, którzy dzierżą nad nimi władzę? Może lepiej byłoby im tego nie przypominać?

- Ale ważne jest, by ten człowiek nie postradał zmysłów! Trzeba podjąć ryzyko. Kto go podjudził? Oprócz załogi, istotnie składającej się w większości z prostaków, w forkasztelu mieszkają także emigranci, zazwyczaj bardzo przyzwoici ludzie. Oni z pewnością nie pragną szydzić z ustalonego porządku rzeczy, chociaż widzieli wszystko, co się wtedy działo.

Nagle przypomniałem sobie biedną dziewczynę o wynędzniałej twarzy; Colley dał przed nią pokaz zezwierzecenia właśnie wtedy, kiedy mogło jej najbardziej zależeć na pomocy ze strony duchownego.

- To niedopuszczalne, Summers! Ten człowiek powinien zostać...

- Co się stało, już się nie odstanie, proszę pana. Powtarzam jeszcze raz: pastor może łatwo postradać zmysły! Na litość boską, niechże pan spróbuje wyrwać go z tego... z tego letargu!

- W porządku. To będzie już drugi raz, panie Summers. Idziemy.

Z Summersem deptającym mi po piętach, żwawym krokiem przeszedłem na drugą stronę korytarza, otworzyłem drzwi i wkroczyłem do kajuty pastora. Rzeczywiście, Colley leżał w tej samej pozycji, w jakiej widziałem go poprzednio, i jeśli to możliwe, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej nieruchomego.

Jedyna różnica polegała na tym, że ręka, do tej pory zaciśnięta na metalowym pierścieniu, teraz spoczywała bezwładnie na poduszce.

- Panie Colley, pan Talbot przyszedł do pana z wizytą - odezwał się Summers za moimi plecami.

Przyznam, że zmieszanie połączone z silną odrazą, jaką czułem do tego człowieka, sprawiły, iż miałem jeszcze większe niż zazwyczaj problemy ze znalezieniem słów otuchy i pocieszenia. Wypełniający kabinę smród nie mytego od wielu dni ciała przyprawiał mnie o mdłości. Zaiste, musiał być naprawdę silny, jeśli pokonał nawet zwykłą, dokuczliwą woń statku, dającą się łatwo wyczuć we wszystkich jego pomieszczeniach! Wiele wskazywało

jednak na to, iż Summers wierzy w jakieś moje zdolności, których ja z pewnością nie miałem, ponieważ odsunął się o krok i skinął lekko głową, jakby chciał mi zasignalizować, że od tej chwili sprawa jest już tylko w moich rękach.

Odchrząknąłem, po czym rozpocząłem przemowę.

- Cóż, panie Colley, to z pewnością nadzwyczaj niemiła sprawa, ale może mi pan wierzyć, nadmiernie się nią pan przejmuję. Nadużycie mocnego trunku, łącznie ze wszystkimi tego konsekwencjami, stanowi doświadczenie, przez które każdy mężczyzna powinien przejść przynajmniej raz w życiu, bo w przeciwnym razie skąd miałby wiedzieć, co przeżywają inni? Co się tyczy niefortunego zadośćuczynienia potrzebom fizjologicznym na pokładzie... Proszę sobie tylko wyobrazić, jakie sceny rozgrywały się tam w przeszłości! Jestem przekonany, że w niektórych rejonach naszej odległej ojczyzny... Panie Colley, dzięki życzliwej pomocy pana Summersa pojąłem, że co prawda w niewielkim stopniu, ale jednak ponoszę częściową odpowiedzialność za pańską przykrą sytuację. Gdybym nie rozgniewał kapitana... Właściwie to chciałem panu opowiedzieć uciészne zdarzenie z moich czasów studenckich, kiedy to kilku kolegów ustawiło się przy oknie i na dany przez nas znak oddało mocz na wychodzącego z budynku, nielubianego wykładowcę! Czy uważa pan, że stało się to przyczyną niesłychanego skandalu? Skądże znowu! Człowiek ów przystanął na chwilę, ze zmarszczonymi brwiami spojrzał w niebo i wyciągnął badawczo rękę, po czym otworzył parasol! Ręczę panu, iż niejednen z tych młodych dowcipnisiów zostanie w przyszłości biskupem. Za dzień lub dwa będziemy się wspólnie śmiać z tej przygody. Z tego co wiem, prosto z Zatoki Sydney zamierza pan udać się na Ziemię van Diemena. Dobry Boże, panie Colley! Jestem przekonany, że mieszkańcy tego kraju powitają pana pijani na umór! Teraz przydałby się panu kieliszek czegoś mocniejszego, a potem tyle piwa, ile zdoła pan w sobie pomieścić. Ręczę głową, że od razu poczuje się pan jak nowo narodzony!

Nie uzyskałem żadnej odpowiedzi, więc spojrzałem pytająco na Summersa, ale ten z zaciśniętymi ustami wpatrywał się w brudne prześcieradło. Rozłożywszy ręce w bezradnym geście opuściłem kajutę, a oficer jak cień podążył za mną.

- I co powiesz, Summers?

- Pan Colley pragnie umrzeć.

- Dajże spokój!

- Podobno czasem zdarza się to wśród dzikusów. Po prostu kładą się na ziemi i umierają.

Dałem mu znak, by poszedł ze mną do mojej kajuty, a kiedy już się tam znaleźliśmy i usiedliśmy obok siebie na koi, zaświtała mi pewna myśl.

- Może on jest fanatykiem, który wszelkie sprawy związane z religią bierze sobie z nadto do serca? Ejże, panie Summers, nie ma się z czego śmiać! Chyba że taki z pana gagatek, że jest pan gotów wyśmiewać mnie i moje domysły?

Summers opuścił ręce, którymi zasłaniał roześmianą twarz.

- Niech mnie Bóg broni! Wystarczająco niebezpiecznie jest wystawiać się na strzał nieprzyjaciela, więc nie widzę potrzeby, by dodatkowo narażać się przyjacielom, naturalnie za pańskim pozwoleniem, panie Talbot. Może mi pan wierzyć, że poczytuję sobie za ogromny zaszczyt, iż szlachetnie urodzony chrześniak jego lordowskiej mości uznał mnie za godnego swego towarzystwa. Pod jednym względem ma pan całkowitą rację: w przypadku nieszczęsnego Colleya naprawdę nie ma się z czego śmiać. Albo już postradał zmysły, albo za nic ma sobie nakazy własnej religii.

- Przecież jest pastorem!

- Strój nie czyni człowieka, szanowny panie. Pan Colley znajduje się w stanie głębokiej desperacji, ja natomiast twierdzę jako chrześcijanin, że jest to wielce niechrześcijańskie uczucie.

- A więc moje słowa nie miały żadnego znaczenia?

- Powiedział pan co mógł, ale nic do niego nie dotarło.

- Tak pan uważa?

- A pan nie?

Przemknęła mi przez głowę myśl, że może ktoś wywodzący się z tej samej klasy co Colley, na przykład któryś z marynarzy, nie zepsuty wykształceniem ani nawet tak skromnym awansem społecznym, jaki stał się udziałem naszego pastora, zdołałby w jakiś sposób do niego dotrzeć, ale po rozmowie, jaką niedawno odbyłem z Summersem, wolałem nie poruszać tego tematu.

- Nie mamy na pokładzie ani lekarza, ani drugiego kapłana - przerwał milczenie.

- Brocklebank wspomniał przy jakiejś okazji, że przez prawie cały rok studiował medycynę.

- Naprawdę? Może więc powinniśmy go wezwać?

- Niech Bóg broni! Wie pan, co powiedział o zmianie swoich zainteresowań? „Opuściłem Eskulapa, by związać się z Muzami”!

- Wobec tego zapytam ludzi z forkasztelu.

- O lekarza?

- O to, co się tam stało.

- Przecież wszyscy widzieliśmy, co się stało!

- Mam na myśli wydarzenia, które rozegrały się pod pokładem, nie na nim.

- Cóż, nasz pastor po prostu upił się jak świnia. Summers ponownie utkwiał we mnie baczne spojrzenie.

- I to wszystko?

- Z pewnością.

- Rozumiem. Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak zameldować się u kapitana.

- Proszę mu powiedzieć, że nie ustane w wysiłkach, by znaleźć jakieś rozwiązanie, które pozwoli nam przywrócić rozsądek temu nieszczęśnikowi.

- Z pewnością to uczynię. Jestem panu ogromnie wdzięczny za pomoc.

Summers wyszedł, pozostawiając mnie sam na sam z moimi myślami oraz dziennikiem. Nie mieściło mi się w głowie, żeby ktoś niewiele starszy ode mnie lub od Deverela, a z pewnością młodszy od Cumbershuma, wykazywał tak silne skłonności do samounicestwienia. Pal lichu Arystotelesa; wystarczy pół godziny spędzone w towarzystwie panny Brocklebank, albo nawet Prettimana lub panny Granham, by zaraz potem znaleźć się w nieprzyjemnej, co najmniej dwuznacznej sytuacji.

Jak wasza lordowska mość przypuszcza, o czym wtedy pomyślałem? Naturalnie o stosie zapisanego papieru, który leżał na biurku Colleya! Podczas pierwszego pobytu w kajucie pastora nie zwróciłem uwagi na jego notatki, ale teraz, dzięki cudownym właściwościom ludzkiego umysłu, przypomniałem sobie o nich, wszedłem tam po raz trzeci, rozejrzałem się uważnie dokoła, po czym stwierdziłem, że ruchomy blat jest pusty! Oto sprawa warta dokładnego zastanowienia: w jaki sposób umysł może zobaczyć coś, czego nie zauważyło oko? Jednak właśnie tak się stało.

Cóż, skoro kapitan Anderson włączył mnie do akcji pomocy pastorowi, powinien chyba dowiedzieć się, jakimi nadzwyczajnymi dysponuję zdolnościami!

Pospiesznie wróciłem do kajuty Colleya. Mały człowieczek leżał w takiej samej pozycji, jak poprzednio. Nagle ogarnął mnie lekki niepokój: co prawda pragnąłem jego dobra, a w dodatku działałem na wyraźne polecenie kapitana, lecz mimo to nie byłem w stanie uwolnić się od wątpliwości. Wydaje mi się, że ich przyczyny należało upatrywać w naturze władzy, jaką miał nad nami kapitan; każdy tyran uważa za zbrodnię najmniejsze uchybienie jego woli, a ja tymczasem usiłowałem go rozliczyć z niegodnego postępowania względem pana Colleya! Rozejrzałem się szybko po kajucie. Atrament, pióra i piasek były na miejscu, podobnie jak religijne dzieła na półce w nogach łóżka - jak się okazuje, istnieją jednak granice ich skuteczności! Pochyliłem się nad nieruchomym pastorem... i właśnie wtedy domyśliłem się, nie mając ku temu żadnych podstaw oraz zrozumiałem, sam nie wiedząc

dlaczego.

Jakiś czas temu obudził się, doświadczając fizycznego bólu, który bardzo szybko przeistoczył się w ból moralny. Leżał nieruchomo, dając mu się ogarnąć, zwrócony myślami ku przeszłości, aż wreszcie tak bardzo odwrócił się od otaczającego świata, że mógł od niego pragnąć już tylko śmierci. Ani Phillips, ani Summers nie byli w stanie zmienić jego nastawienia, mnie natomiast - a raczej moim słowem - jakoś się to udało. Kiedy opuściłem go po mej pierwszej wizycie, wyskoczył z łóżka ogarnięty nowym cierpieniem, po czym w geście rozpaczony złapał leżący na biurku rękopis i niczym dziecko wpełznął go w jakiś ciemny kąt, by pozostał tam nie odkryty aż do dnia Sądu Ostatecznego. Między koją a ścianą kadłuba, tak samo jak w mojej kajucie, znajdowała się wąska szczelina. Wsunąłem tam rękę. Moje palce natychmiast natrafiły na plik papieru, a kiedy wydobyłem go triumfalnie, okazało się że wszystkie kartki są zapisane, stanowiąc zapewne najważniejszy materialny dowód obciążający naszego tyrana w sprawie Colley przeciwko Andersonowi! Pospieszenie wsadziłem manuskrypt pod płaszcz, przemknąłem (dzięki Bogu, przez nikogo nie zauważony) do mojej kabiny, a tam wpełznąłem go do podręcznego kuferka i zamknąłem na klucz, jakbym ukrywał łupy przywleczone z jakiegoś napadu! Zaraz potem usiadłem przy biurku i zająłem się wypełnianiem kart mego dziennika; wyglądało na to, że wykonując całkiem niewinną, dobrze mi znaną czynność pragnę zalegalizować moje nieprawomyślne poczynania. Czy to nie zabawne? Przed chwilą przyszedł Wheeler.

- Mam dla szanownego pana wiadomość. Kapitan życzy sobie, aby szanowny pan zechciał uczynić mu ten zaszczyt i za godzinę towarzyszyć mu przy obiedzie.

- Przekaż kapitanowi wyrazy poważania i powiedz, że z przyjemnością przyjmuję jego zaproszenie.

## Gamma

Cóż to był za dzień! Rozpocząłem go w pogodnym nastroju, kończę natomiast z... Ale wasza lordowska mość z pewnością chciałby wiedzieć o wszystkim. Chwile, kiedy cała ta sprawa wydawała mi się niejasna, natomiast moje wysiłki zmierzające do jej rozwiązania całkiem logiczne i sensowne, zdają mi się teraz niezmiernie odległe.

Cóż, jak powiedział Summers, częściowo ja sam jestem temu winny. W mniejszym lub większym stopniu wszyscy jesteśmy winni, ale z pewnością najbardziej nasz tyran! Jeśli wasza lordowska mość pozwoli, poprowadzę go krok po kroku. Obiecuję przy tym - nie, nie porcję rozrywki, ale coś w rodzaju dreszczu szlachetnego oburzenia oraz sposobność przeprowadzenia kilku umysłowych ćwiczeń.

Przebrałem się, po czym odprawiłem Wheelera, w miejsce którego natychmiast pojawił się olśniewająco elegancki Summers.

- Dobry Boże, Summers! Czyżbyś także został zaproszony?

- Owszem, spotkał mnie ten zaszczyt.

- To chyba coś nowego, nieprawdaz?

- Będzie też Oldmeadow.

Wyjąłem zegarek.

- Potrzebuję jeszcze jakichś dziesięciu minut. Jakie zwyczaje obowiązują przy takich okazjach na pokładzie statku?

- Jeżeli zapraszającym jest kapitan, należy zjawić się przy stole wraz z ostatnim uderzeniem dzwonu.

- Wobec tego sprawię mu niespodziankę i przyjdę wcześniej. Zaskoczenie będzie tym większe, że znając mnie przypuszcza zapewne, iż się spóźnię.

Do kabiny kapitana Andersona wkroczyłem z ceremoniałem, jakiego nie powstydziliby się żaden admirał. Sama kajuta, czy raczej pokój, choć nie tak duży jak salon pasażerski ani nawet mesa oficerska, w porównaniu z naszymi nędznymi komórkami ma iście królewskie rozmiary. Salonik zajmował niemal całą szerokość statku zaraz za dwoma niewielkimi pomieszczeniami: w jednym mieściło się łóżko oraz garderoba kapitana, drugie natomiast stało puste, aby, jak przypuszczam, w razie potrzeby służyć jakiemuś wyższemu rangą dowódcy kierującemu działaniami floty. Podobnie jak w mesie oficerskiej i salonie przeznaczonym dla pasażerów, w tylnej ścianie (w marynarskim żargonie zwanej „grodzią



rufową”) znajdowało się ogromne okno, z którego roztaczał się widok na jedną trzecią horyzontu. Okno było częściowo zasłonięte; w pierwszej chwili nie bardzo chciałem wierzyć własnym oczom. Fragment tej zasłony stanowił sam kapitan. Gospodarz na mój widok zawołał pogodnie:

- Zapraszam do środka, panie Talbot! Proszę mi wybaczyć, że nie witam pana w progu, ale przyłapał mnie pan w moim ogrodzie.

Tak właśnie było. Okno zasłaniały pnące rośliny - każda owinięta wokół bambusowego prętu, którego dolna część nikła w mroku panującym pod samym oknem, gdzie, jak przypuszczam, stały donice. Kapitan Anderson podlewał wszystkie rośliny za pomocą małej konewki o długim dzióbku, jakiej kapryśna dama mogłaby używać w swojej oranżerii do pielęgnacji osobliwych wybryków Natury. Wiecznie zasepiony kapitan zdaje się nie najlepiej pasować do takiego obrazka, lecz tym razem, ku memu zdumieniu, sprawiał nadzwyczaj sympatyczne wrażenie, zupełnie jakbym to nie ja go odwiedził, tylko jakaś dama.

- Nie miałem pojęcia, że jest pan właścicielem prywatnego raj, kapitanie.

Uśmiechnął się! Niewiarygodne, ale jednak prawdziwe!

- Proszę tylko pomyśleć, panie Talbot: kto wie, czy pięknie kwitnąca roślina, którą właśnie podlewam, całkiem jeszcze niewinna, nie była tą, która pierwszego dnia stworzenia posłużyła Ewie za przydzwiewek?

- Gdyby tak było, wówczas można by sądzić, że niewinność zwiędła, zanim pojawił się listek figowy.

- Całkiem możliwe. Jest pan nadzwyczaj bystrym człowiekiem, panie Talbot.

- Przecież to wszystko tylko słowa.

- Ale moje słowa są dokładnie takie same jak moje myśli. Z kolei ta roślina nazywa się wawrzyn. Podobno starożytni robili z niej wieńce i przystrajali nimi głowy. Kwiaty, kiedy się pojawiają, są białe i pachnące.

- Zabawmy się więc w Greków i zasiądźmy do uczyty z wieńcami na głowach!

- Nie wydaje mi się, aby ten zwyczaj pasował do Anglików. Zauważył pan, że mam trzy egzemplarze tego gatunku? Dwa z nich sam wyhodowałem z nasion!

- Sądząc po pańskim tonie, musi to być nadzwyczaj trudne zadanie.

Kapitan Anderson wybuchnął radosnym śmiechem. Jego głowa odchyliła się do tyłu, policzki pokryły się siecią zmarszczek, a w oczach zamigotały radosne iskierki.

- Sir Joseph Banks twierdził, że to niemożliwe! „Weź sadzonki, człowieku” - tak mi powiedział. „Te nasiona możesz od razu wyrzucić za burtę”. Ja jednak zatrzymałem je, a po pewnym czasie dochowałem się tylu sadzonek, że mógłbym zostać dostawcą lorda majora,

naturalnie gdyby zapragnął przystrajać w wieńce głowy uczestników przyjęć, które wydaje. Szczerze mówiąc, trudno to sobie wyobrazić, gdyż wawrzyn byłby tam równie nie na miejscu, co w malowanej sali w Greenwich. Czego się pan napije? Mamy spory wybór trunków, choć ja tylko od czasu do czasu pozwalam sobie na kieliszeczek.

- Dla mnie wino, jeśli można.

- Hawkins, bądź tak dobry i przynieś czerwonego wina! Geranium, na które teraz pan patrzy, panie Talbot, dostało jakiejś choroby liści. Posypywałem je siarką, ale bez rezultatu, więc chyba niedługo je stracę. My, morsecy ogrodnicy, musimy się z tym pogodzić. Podczas pierwszej podróży w charakterze kapitana statku straciłem całą kolekcję.

- Za sprawą nieprzyjaciela?

- Nie, szanowny panie. Za sprawą wybryku aury, która przez kilka tygodni skąpiła nam zarówno wiatru, jak i deszczu. Brakowało nam wówczas wody, toteż gdybym podlewał moje rośliny, na statku wybuchłby bunt. Łatwo więc chyba zrozumieć, dlaczego nie rozpaczam z powodu utraty tego kwiatka.

- Tym bardziej, że w Zatoce Sydney będzie pan mógł zastąpić go innym.

- Zapewne, tyle że... - Pochylił się i wstawił konewkę do skrzyni ukrytej za donicami. Kiedy odwrócił się w moją stronę, na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech. - Nie wolno nam zapominać, panie Talbot, że czeka nas jeszcze długa podróż, a cel jest niezmiernie odległy.

- Mówi pan tak, jakby perspektywa dotarcia do niego nie sprawiała szczególnej radości.

Uśmiech zniknął, a wraz z nim iskierki migoczące w oczach.

- Jest pan bardzo młody, więc nie może pan rozumieć, jak ważne dla niektórych ludzi jest poczucie odosobnienia. Nie przejąłbym się ani trochę, gdyby ta podróż miała trwać całą wieczność!

- Ale przecież każdego człowieka łączą z lądem jakieś więzi: społeczeństwo, rodzina...

- Rodzina? - przerwał mi dość gwałtownie kapitan. - A czemuż to nie można obyć się bez niej? Co takiego wspaniałego widzi pan w rodzinie, jeśli można wiedzieć?

- Nikt z nas nie jest samopylną rośliną.

Zapadło długie milczenie. Hawkins, służący kapitana, przyniósł nam wino; ciszę przerwał gospodarz. Podniósł napełniony do połowy kieliszek i powiedział:

- Przypomniał mi pan, jak niezwykłą florę ujrzymy na antypodach.

- Z pewnością skorzysta pan z tego, uzupełniając swą kolekcję.

Jego twarz ponownie się wypogodziła.

- Wiele wytworów Natury spotykanych w tym rejonie świata jeszcze nie trafiło do Europy.

Trudno powiedzieć, bym znalazł drogę do serca kapitana Andersona, ale z pewnością odkryłem sposób, żeby zyskać jego aprobatę. Przez głowę przemknęła mi romantyczna myśl, że być może chmury goszczące prawie zawsze na jego obliczu brały się stąd, że czuł się jak Adam wygnany z raju! Kiedy zastanawiałem się nad tym ze wzrokiem utkwionym w kieliszku, do kabiny weszli Summers i Oldmeadow.

- Zapraszam, panowie! - wykrzyknął kapitan. - Czego się pan napije, panie Oldmeadow? Jak pan widzi, pan Talbot zadowolił się winem. Dla pana to samo?

Oldmeadow wbił brodę w kołnierzyk i zakrakał, że chętnie napiłby się odrobinę wytrawnej sherry. Hawkins przyniósł pękata karafkę, po czym napełnił dwa kieliszki: jeden dla Summersa, drugi dla Oldmeadowa.

- Tak przy okazji, Summers: jak się miewa twój pacjent? - zagadnął kapitan oficera.

- Bez zmian, panie kapitanie. Pan Talbot był tak łaskaw i zastosował się do pańskiej prośby, ale jego słowa nie odniosły większego skutku niż moje.

- To bardzo przykra sprawa - powiedział kapitan, patrząc mi prosto w oczy. - Zapiszę w dzienniku pokładowym, że panowie Talbot i Summers odwiedzili pacjenta, gdyż chyba tak właśnie należy go traktować.

W jednej chwili pojąłem prawdziwy powód, dla którego kapitan zaprosił nas do swojej kajuty, oraz czemu skierował rozmowę na temat Colleya! Popełnił jednak błąd, gdyż zamiast poczekać, aż alkohol i posiłek osłabią naszą czujność, poruszył tę sprawę niemal natychmiast i w mało delikatny sposób. Wszystko wskazywało na to, że powinienem zatroszczyć się o własną skórę!

- Musi pan jednak pamiętać, że jeśli ten nieszczęśnik ma być traktowany jako pacjent, to moja opinia jest pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia, gdyż nie dysponuję żadną wiedzą medyczną. Powinien pan raczej zasięgnąć porady pana Brocklebanka.

- Brocklebanka? Który to?

- Artysta. Dżentelmen o twarzy koloru portwajnu, podróżujący w towarzystwie dam. Ja jednak tylko żartowałem: przy jakiejś okazji wyznał mi, iż studiował medycynę, ale zrezygnował po niecałym roku.

- Czegoś jednak zdążył się chyba nauczyć?

- Nie, nie! To naprawdę był tylko żart! Wątpię, czy ten człowiek potrafiłby zmierzyć puls, prawda, Summers?

- Niemniej... Brocklebank, powiada pan? Hawkins odszukaj pana Brocklebanka i

poproś go, by zechciał natychmiast przyjść do mnie.

Oczami wyobraźni ujrzałem kolejny zapis w dzienniku pokładowym: „Następnie odwiedził go dżentelmen o pewnym wykształceniu medycznym”. Kapitanowi brakowało może oglady, lecz nie sposób było odmówić mu sprytu. Jakby powiedział Deverel, „trzymał wolny nok rei”. Niech wasza lordowska mość będzie łaskaw zauważyć, w jak podstępny sposób zmuszał mnie, bym zawarł w swym dzienniku wzmiankę o tym, że on, dowódca statku, opiekował się pastorem najlepiej jak mógł, posyłając do niego oficerów, mnie, a także „dżentelmena o pewnym wykształceniu medycznym”!

Przez jakiś czas w kapitańskiej kajucie panowała cisza. My, goście, wpatrywaliśmy się w kieliszki, jakby na wzmiankę o chorym pastorze ogarnął nas poważny nastrój. Mniej więcej po dwóch minutach Hawkins powrócił z wiadomością, że pan Brocklebank z przyjemnością zastosuje się do życzenia kapitana.

- Wobec tego siadajmy do stołu - zaproponował gospodarz. - Pan Talbot po mojej prawej stronie, pan Oldmeadow tutaj, a ty, Summers, przy drugim końcu stołu. Słowo daję, zupełnie jak w domu! Czy każdy z panów ma dość miejsca? Naturalnie Summers ma go aż nadto, ale to na wszelki wypadek, gdyby nagle wydarzyło się coś, co kazałoby mu wracać do obowiązków.

Oldmeadow zauważył, że zupa jest wyśmienita, na co Summers, który zajadał swoją w tempie, jakiego nauczył się zapewne podczas posiłków spożywanych w niezliczonych forkasztelach, odparł, iż na temat jakości potraw w Marynarce krąży wiele bzdurnych opinii.

- Naturalnie możecie panowie być pewni, że tam, gdzie trzeba zgromadzić, zabezpieczyć, przewieźć i wydać tysiące ton żywności, zawsze zdarzy się okazja do narzekania, ale, ogólnie rzecz biorąc, brytyjscy marynarze jedzą znacznie lepiej na morzu, niż na lądzie.

- Bravo! - wykrzyknąłem. - Summers, powinieneś zasiadać w ławach rządowych!

- Jeszcze jeden kieliszek dla pana Summersa - zarządził kapitan. - Po kieliszku dla wszystkich panów! Wracając jednak do rzeczy: Summers, co powiesz o tym serze, co to rzekomo nadawał się tylko do smarowania masztów i o mięsie, które było tak twarde, że niektórzy rzeźbili z niego tabakierki?

Kątem oka dostrzegłem, że Anderson tylko powąchał swoje wino, po czym odstawił kieliszek. Postanowiłem udawać, że nabrałem się na tę grę, by w ten sposób przejrzeć jego zamiary.

- Dalej, Summers, odpowiedz kapitanowi! Jak to było z tymi tabakierkami i malowaniem masztu?

- Smarowaniem, panie Talbot.

- A co z tymi gołymi gnatami, które rzekomo dostają na obiad nasi dzielni marynarze?  
Summers uśmiechnął się.

- Mam wrażenie, że już niedługo będzie pan miał okazję skosztować wspomnianego sera, a jeśli chodzi o kości, to nie jest wykluczone, iż kapitan przygotował dla pana małą niespodziankę.

- Istotnie - odparł Anderson. - Hawkins, przynieś je, proszę!

- Dobry Boże! - wykrzyknąłem. - Kości szpikowe!

- To chyba jeszcze z Bessie - zauważył Oldmeadow. - Wygląda na to, że nic się nie zmarnowało.

Ukłoniłem się gospodarzowi.

- Jesteśmy oczarowani, panie kapitanie. Sam Lucullus nie mógłby nas lepiej ugościć.

- Po prostu staram się dostarczyć panu tematów do pańskiego dziennika, panie Talbot.

- Daję słowo honoru, że to menu zostanie zachowane dla przyszłych pokoleń razem z opisem zalet naszego gospodarza.

- Przyszedł dżentelmen, którego pan wzywał, panie kapitanie - oznajmił Hawkins.

- Brocklebank? Jeśli panowie pozwolą, zamienię z nim kilka słów w moim gabinecie.

Scena, która rozegrała się zaraz potem, mogła zostać w całości wykorzystana w jakiejś farsie. Otóż Brocklebank nie został za drzwiami, lecz wszedł do kajuty i ruszył w kierunku stołu. Albo pomylił otrzymane od kapitana wezwanie z zaproszeniem do wzięcia udziału w obiedzie, albo był pod dobrą datą, albo i jedno, i drugie. Summers zerwał się z miejsca, a Brocklebank natychmiast opadł na zwolnione krzesło, jakby pierwszy oficer był lokajem, który właśnie mu je podsunął.

- Dziękuję, dziękuję... Cóż ja widzę? Kości szpikowe! Skąd pan wiedział, kapitanie, że je lubię? Założę się, iż powiedziała to panu jedna z moich dziewcząt. Na pohybel Francuzom!

Jednym haustem opróżnił kieliszek Summersa. Jego głos kojarzył mi się z owocem - jeśli taki owoc w ogóle istnieje - łączącym w sobie cechy gruszki i śliwki. W głębokiej ciszy, jaka zapanowała przy stole, pan Brocklebank wepchnął sobie do ucha czubek serdecznego palca, przez chwilę grzebał zawzięcie, po czym obejrzał rezultaty swojej działalności. Służący najwyraźniej nie miał pojęcia, co powinien uczynić. Brocklebank spojrział w bok, zdaje się, że dopiero teraz dostrzegł Summersa, i uśmiechnął się szeroko.

- Pan też tutaj, Summers? Siadajże, człowieku!

Kapitan Anderson tym razem zachował się nadzwyczaj taktownie, co w jego przypadku było prawdziwą rzadkością.

- Właśnie, Summers. Weź sobie krzesło i siadaj przy stole.

Oficer zajął miejsce na rogu. Oddychał szybko i płytko, jak po wyczerpującym biegu. Zastanawiałem się, czy myśli teraz o tym samym, o czym myślał Deverel, który wyznał mi nad szklaneczką brandy: „Nie, Talbot, nie jesteśmy tu szczęśliwi”.

- Wspomniano tutaj o pańskim dzienniku - zwrócił się do mnie Oldmeadow. - Wygląda na to, że wy, zajmujący stanowiska rządowe, wręcz uwielbiacie pisać!

- Trochę przedwcześnie mnie pan awansował, ale istotnie, nie da się ukryć, że podłogi wszystkich urzędów są zasłane papierami.

Kapitan podniósł kieliszek, po czym odstawił go, nawet nie umoczywszy ust.

- Jeżeli o to chodzi, można powiedzieć, że papier stanowi główny balast naszego statku. Zapisujemy wszystko, zarówno w dziennikach oficerów, jak i w głównym dzienniku, który ja prowadzę.

- Przekonałem się już, że zazwyczaj nie starcza czasu, by opisać wydarzenia jednego dnia przed początkiem następnego.

- W takim razie, w jaki sposób dokonuje pan selekcji?

- Wybieram to, co może zainteresować i rozbawić jego lordowską mość.

- Mam nadzieję, że da pan wyraz naszej wdzięczności dla jego lordowskiej mości, że zechciał obdarzyć nas pańskim towarzystwem? - zapytał kapitan.

- Z pewnością to uczynię.

Hawkins po raz trzeci napełnił kieliszek Brocklebanka.

- Panie... eee... Brocklebank, czy moglibyśmy skorzystać z pańskiej wiedzy medycznej?

- Z czego, panie kapitanie?

- Pan Talbot... - odparł gospodarz zirytowanym głosem. - Pan Talbot, którego pan tu widzi...

- Dobry Boże, co z nim? Zapewniam pana, że Zenobia, to urocze dziecko o gorącym sercu, jest całkowicie...

- To nie ma nic wspólnego ze mną! - przerwałem mu pospiesznie. - Chodzi o Colleya.

- O naszego pastora? Mój Boże, słowo honoru, nie mam nic przeciwko temu. Niech się sobą cieszą do woli, jak już powiedziałem... Powiedziałem tak, prawda?

Pan Brocklebank czknął donośnie, po brodzie popłynęła mu strużka wina, a oczy przybrały szklisty wyraz.

- Potrzebujemy pańskiej wiedzy medycznej - ciągnął kapitan uprzejmym tonem (uprzejmym jak na niego, ma się rozumieć). - Tak się nieszczęśliwie składa, że nikt z nas nie

miał nic wspólnego z medycyną, więc...

- Ani ja! - zapewnił go z zapalem Brocklebank. - Kelner, jeszcze kieliszeczek!

- Pan Talbot wspomniał...

- Nawet chciałem, słowo daję, ale po pierwszych zajęciach powiedziałem sobie: „Wilmot, ta cała anatomia to nie dla ciebie”. Mam stanowczo za słaby żołądek, zamieniłem więc Eskulapa na Muzy... Chyba mówiłem panu o tym, panie Talbot.

- Istotnie, co najmniej dwa razy. Nie wątpię, że kapitan przyjmie do wiadomości pańskie wyjaśnienia.

- Nie, nie! - zaprotestował gwałtownie Anderson. - Bez względu na to, jak niewielkie jest doświadczenie tego dżentelmena, musimy je wykorzystać!

- Jeżeli chodzi o korzyści, kapitanie, to Muzy dają ich znacznie więcej niż medycyna - odparł Brocklebank. - Byłbym już bardzo zamożnym człowiekiem, gdyby nie moje miękkie serce, pociąg do pięknych kobiet oraz wstrząsająca demoralizacja angielskiego społeczeństwa, zmuszającego mnie do prowadzenia rozwiązłego trybu życia.

- Za nic nie mógłbym zostać lekarzem! - stwierdził Oldmeadow. - Dobry Boże, kiedy tylko pomyślę o tych wszystkich nieboszczykach...

- Otóż to, proszę szanownego pana. Przestrzegam zasady, by trzymać się z daleka od śmierci. Czy wie pan, że byłem pierwszym artystą, który uwiecznił na litografii śmierć lorda Nelsona?

- Przecież pana przy tym nie było!

- Jak najdalej od śmierci, powiadam. Istotnie, nie było mnie tam, podobnie jak żadnego innego artysty. Szczerze mówiąc, początkowo wydawało mi się, że lord Nelson zginął na pokładzie.

- Widziałem to! - wykrzyknąłem. - Brocklebank, ja to widziałem! Pańska litografia wisi na ścianie w zajeździe „Pod psem i armatą”! Człowieku, co przyszło ci do głowy, żeby rysować tych wszystkich oficerów klęczących w nabożnym skupieniu, wznoszących oczy ku niebu albo wpatrujących się w umierającego dowódcę? Przecież wtedy trwała zażarta bitwa i każdy miał pełne ręce roboty!

Po brodzie mężczyzny pociekła kolejna strużka wina.

- Myli pan sztukę z rzeczywistością.

- Dla mnie wyglądało to po prostu głupio.

- Mimo to litografia sprzedawała się całkiem nieźle. Panie Talbot, nie będę przed panem ukrywał, że gdyby nie trwająca po dziś dzień popularność tego dzieła, zapewne znajdowałbym się w mało ciekawym położeniu, a tak przynajmniej udało mi się opłacić

podróż do... No, tam, dokąd płyniemy. Ta przeklęta nazwa wciąż ucieka mi z pamięci. Jak wiadomo, lord Nelson umierał w jakimś cuchnącym zakamarku pod pokładem, zupełnie sam, jeśli nie liczyć dogasającej lampy. Kto, u wszystkich diabłów, zechciałby namalować coś takiego?

- Może Rembrandt?

- Ach, Rembrandt! No, tak... Ale chyba przyzna pan, że całkiem nieźle radzę sobie z dymem?

- Jak mam to rozumieć?

- Dym jest najgorszy ze wszystkiego. Nie widział pan, ile go było, kiedy Summers wypalił z mojej fuzji? Kiedy trwa morska bitwa i okręty oddają salwę za salwą robi się go tyle, że przypomina najgęstszą londyńską mgłę. Prawdziwy artysta musi wówczas odciągnąć go na boki, żeby nie zasłaniał...

- Niczym klaun w pantomimie...

- ...nie zasłaniał...

- ...który przerywa na chwilę akcję.

- ...żeby nie zasłaniał... Kapitanie, pan nic nie pije!

Kapitan Anderson znowu podniósł kieliszek do ust, po czym spojrzał z bezsilną irytacją na swoich pozostałych trzech gości, ale zanim któryś z nas zdążył cokolwiek powiedzieć, Brocklebank oparł łokcie po obu stronach talerza z kością szpikową przeznaczoną dla Summersa i znowu zaczął głądzić.

- Zawsze twierdziłem, że odpowiednie pokazanie d-d-dymu może mieć kapitalne znaczenie. Wyobraźcie sobie, że przychodzi do was kapitan, który miał dość szczęścia, by wyjść cało ze spotkania z nieprzyjacielem. Obejrzawszy moją litografię idzie do mnie i powiada, że płynął wtedy w towarzystwie d-d-drugiej fregaty i małej korwety, kiedy nagle zza horyzontu wyłonili się Francuzi i wywiązała się bitwa... Wybaczcie mi, proszę! Jak powiada epitafium na pewnym nagrobku: „Nigdy nie wstrzymuj wiatrów nad miarę, bo trafisz tu, gdzie ja trafić nie chciałem wcale”. Wyobraźcie więc sobie, powiadam, co by wtedy było... Chociaż z drugiej strony, mój dobry przyjaciel Fuseli, wiecie, ten od tarczy Achillesa... Wyobraźcie sobie tylko!

Nerwowo pociągnąłem łyk wina i zwróciłem się do kapitana:

- Za pańskim pozwoleniem, odnoszę wrażenie, że pan Brocklebank...

Niewiele to jednak dało, gdyż ten dudnił dalej, nie zwracając na nic uwagi.

- Wyobraźcie sobie, powiadam, kto mi płaci! Skoro wszyscy płacą, to dym w ogóle musi zniknąć, bo przecież każdy musi być dobrze widoczny, do wszystkich diabłów!



Każdemu na tym zależy, sami panowie rozumiecie, bo...

- Panie Brocklebank - przemówił kapitan głosem drżącym ze wzburzenia. - Panie Brocklebank!

- Pokażcie mi choć jednego dowódcę, który wygrał bitwę i dostał za to tytuł szlachecki, mimo że nikt nie uwiecznił jego zwycięstwa!

- O, nie! - wycharczał Oldmeadow z brodą wbity w kołnierzyk. - To niemożliwe!

Pan Brocklebank zmierzył go zaczepnym spojrzeniem.

- Czy pan wątpi w moje słowa? Jeśli tak, to...

- Ja, szanowny panie? Dobry Boże, nawet mi to przez myśl nie przeszło!

- „Brocklebank”, powiada ów człowiek, „Brocklebank, tu nie chodzi o mnie, ale o moją matkę, moją żonę i moich piętnaście dziewczyn! Każda z nich chce mieć obraz, na którym widać mój statek w ogniu walki!” Rozumiecie, panowie? Jak tylko wcisnął mi do ręki numer „Gazette”, gdzie podali wiadomość o jego awansie, i opowiedział o przebiegu bitwy, nabrał złudnego przeświadczenia, że już wiem, jak wygląda morska potyczka!

Kapitan ponownie sięgnął po kieliszek, ale tym razem opróżnił go jednym haustem, po czym przemówił do Brocklebanka głosem, który bez wątpienia przepłoszyłby pana Taylora z jednego końca statku w drugi, albo nawet jeszcze dalej:

- Jeżeli o mnie chodzi, szanowny panie, to byłbym takiego samego zdania jak on!

Pan Brocklebank chciał chyba dać nam do zrozumienia, że jest bardzo sprytny, gdyż spróbował z chytrym uśmiechem poskrobać się palcem po nosie, ale chybił.

- Myli się pan, kapitanie! Gdybym chciał kurczowo trzymać się rzeczywistości, to może... ale o tym nie ma mowy. Czy sądzi pan, iż mój klient, który zapłacił z góry za dzieło - nie mogę przecież ryzykować, że wypłynie w morze, gdzie jakaś zabłąkana kula urwie mu głowę...

Summers wstał z miejsca.

- Panie kapitanie, wzywają mnie obowiązki. Anderson roześmiał się głośno, po czym odparł, po raz pierwszy wykazując coś w rodzaju poczucia humoru:

- Szczęśliwy z pana człowiek, Summers! Brocklebank niczego nie zauważył. Przypuszczam, że kontynuowałby swój monolog nawet wtedy, gdybyśmy wyszli, zostawiając go samego w kajucie.

- Przede wszystkim, czy sądzi pan, że ta druga fregata powinna zostać przedstawiona z równą dokładnością? Przecież nikt z jej załogi nie zapłacił mi ani pensa! Właśnie w takich sytuacjach dym staje się wręcz nieodzowny. Już podczas sporządzania pierwszego szkicu okaże się, że tamta fregata przed chwilą oddała całoburtową salwę, w związku z czym niemal

całkowicie znikła w kłębach dymu, co zaś się tyczy korwety, którą dowodził zapewne jakiś nikomu nie znany porucznik, to niech się cieszy, jeśli w ogóle zmieści się na obrazie. Natomiast okręt mego klienta, ma się rozumieć, będzie miotał ogniem we wszystkie strony, dzielnie odpierając zmasowany atak nieprzyjaciela.

- Doprawdy, ogarnia mnie ogromny żal, że Francuzi nie dostarczą nam już sposobności obejrzenia tych podnoszących na duchu dzieł pańskiego autorstwa - westchnąłem.

- Żadnej szansy - potwierdził ponuro kapitan. - Nie ma na to żadnej szansy.

Być może sprawiło to brzmienie jego głosu, ale pan Brocklebank doświadczył nagłej zmiany nastroju, często zdarzającej się osobom pod dobrą datą, błyskawicznie przechodząc od euforii do melancholii.

- Ale na tym się nie kończy. Podczas drugiej wizyty klient stwierdził stanowczo, że jego „Corinna” albo „Erato” nie ma grotmasztu osadzonego tak blisko rufy, a poza tym, skąd wziął się ten dodatkowy blok na brasie głównej rei? Klient, który okrył się największą sławą - niemal jak lord Nelson, ma się rozumieć, naturalnie jeśli można powiedzieć, że lord Nelson był moim klientem - okazał się na tyle głupi, by zaprotestować przeciwko zniszczeniom, jakie poczyniłem na pokładzie towarzyszącej fregaty. Twierdził, jakoby nie mogła stracić bomstengi („dziobowej bomstengi”, tak dokładnie brzmiały jego słowa), gdyż w jej kierunku nie prowadzono żadnego ostrzału, a zaraz potem zarzucił mi, iż nie pokazałem żadnych zniszczeń w rejonie pokładu rufowego jego okrętu. Zmusił mnie, abym połączył dwa otwory działowe w jedną dziurę o poszarpanych brzegach oraz roztrzaskał reling, po czym zapytał: „Brocklebank, a nie udałoby ci się jakoś mnie tam wcisnąć? Doskonale pamiętam, że stałem przy strzaskanym relingu, dodając ducha załodze i wskazując jej nieprzyjaciela mieczem, którym wymachiwałem w jego kierunku”. Cóż mogłem począć? Klient nasz pan, to naczelna zasada wszystkich artystów. „Pozwolę sobie zauważyć, sir Sammel, że pańska postać będzie bardzo mała”. „Nic nie szkodzi”, on na to. „Poza tym, możesz chyba mnie trochę powiększyć?” „Oczywiście”, odpowiadam z głębokim ukłonem. „Jeśli jednak to zrobię, wówczas pańska fregata zamieni się w korwetę”. Zaczął się przechadzać po pracowni, zupełnie jak nasz kapitan po mostku, aż wreszcie rzecze: „W takim razie mogę być mały. I tak poznają mnie po kapeluszu i epoletach. Dla mnie to bez różnicy, panie Brocklebank, ale moja kobieta i dziewczynki są okrutnie uparte”.

- Sir Sammel... - powtórzył kapitan. - Pan powiedział: sir Sammel?

- Owszem. Przejdziemy już do brandy?

- Sir Sammel! Znam go. To znaczy, znałem.

- Proszę nam o nim opowiedzieć, kapitanie - poprosiłem go, wietrząc szansę na przerwanie przemowy Brocklebanka. - Czy to był pański towarzysz z pokładu?

- To ja byłem tym porucznikiem dowodzącym korwetą - odparł Anderson. - Niestety, nigdy nie miałem okazji obejrzeć tego obrazu.

- Kapitanie, koniecznie musi pan zdać nam relację z całego wydarzenia! - wykrzyknąłem. - My, szczury lądowe, wprost uwielbiamy takie opowieści!

- K-k-korweta? Pan był dowódcą tej k-k-kor-wety! Do licha, muszę pana sportretować! Przerzedzimy dym i domalujemy pana w samym sercu bitwy!

- Bo tak z pewnością było - stwierdziłem z zapalem. - Gdzie indziej mógłby znajdować się nasz kapitan, jeśli nie w samym sercu bitwy?

Kapitan Anderson wyszczerzył zęby i parsknął niczym rozwścieczony tygrys.

- W sercu bitwy? Korwetą? Przeciwko fregatom? Kapitan... To znaczy, sir Sammel, uważał mnie chyba za kretyna, ponieważ tak właśnie wrzeszczał do mnie przez tubę: „Zmykaj stąd, młody głupcze, bo mnie popamiętasz!”

Podniosłem kieliszek.

- Pańskie zdrowie, kapitanie. Powiada więc pan, że żaden odłamek nie trafił pana w oko i żadna eksplozja nie pozbawiła pana słuchu?

- Kelner, gdzie moja brandy? Koniecznie muszę pana sportretować, kapitanie. Cała pańska przyszła kariera...

Anderson zgarbił się, jakby szykował się do skoku, i oparł na stole zaciśnięte pięści. Jeśli poprzednio parsknął, to teraz niemal ryknął:

- Kariera? Naprawdę niczego nie rozumiesz, idioto? Wojna już się prawie skończyła, a my wszyscy zestarzejemy się na łądzie! Wszyscy, co do jednego!

Cisza, która zapadła po jego wybuchu, była tak głęboka, iż nawet Brocklebank pojął, że chyba stało się coś niezwykłego. Głowa opadła mu na pierś, ale szybko poderwał ją i potoczył wokół pustym spojrzeniem, by wreszcie z wysiłkiem skoncentrować je na drzwiach. Jeden po drugim odwróciliśmy się w tamtą stronę.

W drzwiach stał Summers.

- Panie kapitanie, właśnie wracam z kajuty pana Colleya. Wedle mojego rozeznania pastor nie żyje.

Powoli wstaliśmy z krzeseł, czując jak wściekłość i zażenowanie ustępują miejsca zupełnie innym doznaniom. Spojrzałem na kapitana; rumieńce gniewu znikły bez śladu, a jego twarz była nieprzenikniona jak maska. Nie mogłem dostrzec na niej ani żalu, ani ulgi lub zadowolenia. Równie dobrze mogła zostać wyrzeźbiona z tego samego materiału, co nasza

figura dziobowa.

Jednak właśnie to on przerwał milczenie.

- Panowie, obawiam się, że ta przykra sprawa oznacza koniec naszego... spotkania.

- Oczywiście, panie kapitanie.

- Hawkins, odprowadź tego dżentelmena do jego kabiny. Panie Talbot, panie Oldmeadow: bądźcie tak dobrzy i dokonajcie wraz z panem Summersem oględzin ciała. Ja także to uczynię. Wszystko wskazuje, że przyczyną śmierci pana Colleya stało się nadużycie trunków.

- Nadużycie trunków, kapitanie? Jednorazowy, godny pożałowania wyskok?

- Do czego pan zmierza, panie Talbot?

- Czy tak właśnie napisze pan w dzienniku okrętowym?

Widać było, jak wiele musiał włożyć wysiłku, by zapanować nad sobą.

- Pozwoli pan, że zastanowię się nad tym wtedy, kiedy uznam to za stosowne?

Skloniłem się w milczeniu. Zaraz potem wraz z Oldmeadowem wyszliśmy z kabiny, a Brocklebank został stamtąd niemal wywleczony. Na końcu niewielkiego pochodu kroczył kapitan. Odniosłem wrażenie, jakby wszyscy pasażerowie (a przynajmniej ci zakwaterowani na rufie) zgromadzili się w korytarzu i wpatrywali się w milczeniu w drzwi kajuty Colleya. Przy białej linii, namalowanej na pokładzie, w takim samym milczeniu stało wielu członków załogi oraz zdecydowana większość emigrantów. Podejrzewam, iż wiatr oraz woda wydawały jakieś dźwięki, ale nawet jeśli tak było, to ja wówczas ich nie słyszałem. Tłum rozstąpił się, by zrobić nam przejście. Przy samych drzwiach stał na straży Wheeler jego siwe, sterczące we wszystkie strony włosy, błyszcząca łysina oraz oświecona twarz (nie potrafię znaleźć lepszego określenia, by opisać malujący się na niej wyraz głębokiego zrozumienia dla meandrów ludzkiego losu) nadawały mu świątobliwy wygląd. Na widok kapitana złożył głęboki, służalczy ukłon, jakby był przedsiębiorcą pogrzebowym, albo jakby przejął obyczaje nieszczęsnego, płaszczącego się Colleya. Otworzył przed nami drzwi, choć właściwie zadanie to powinno przypaść w udziale Phillipsowi, po czym odsunął się na bok. Kapitan wszedł pierwszy, by po kilku sekundach opuścić pomieszczenie, dać mi znak, że teraz moja kolej, i ruszyć z powrotem ku I drabinie wiodącej na pokład. Zapewniam waszą lordowską mość, że wykonałem jego polecenie bez specjalnego entuzjazmu! Biedak wciąż jeszcze zaciskał rękę na metalowym pierścieniu, leżąc z twarzą wtuloną w podgłówek, ale koc zsunął się nieco, odsłaniając policzek i kark. Ostrożnie dotknąłem policzka trzema palcami, by natychmiast cofnąć je i odruchowo wytrzeć o ubranie. Nie zdecydowałem się nachylić nad koją, by z bliska nasłuchiwać oddechu leżącego na niej człowieka, tylko odwróciłem się na pięcie,

wyszedłem do milczącej gromadki i skinąłem głową panu Oldmeadowowi, który nerwowo zwilżył językiem pobladłe wargi i zniknął w kajucie. Wyłonił się chyba jeszcze szybciej ode mnie.

Summers spojrzał na mnie pytająco.

- I co, panie Talbot?

- Żadna żywa istota nie może być aż tak zimna.

Pan Oldmeadow oparł się plecami o grodz, wywrócił oczy białkami na wierzch, po czym łagodnie osunął się na podłogę. Wheeler, wciąż z wyrazem błęgiego zrozumienia na twarzy, natychmiast ścisnął między kolanami głowę eleganckiego oficera. Jak wasza lordowska mość myśli, kto spośród tych, którzy akurat wtedy na pewno nie powinni przebywać w tym miejscu, zjawił się tam w całej okazałości? Brocklebank, może odrobinę trzeźwiejszy, a może jeszcze bardziej pijany, wytoczył się ze swojej kabiny i brutalnie odepchnął dwie wiszące mu u ramion kobiety, które usiłowały go powstrzymać. Dwie inne wrzasnęły przeraźliwie, ale natychmiast umilkły, gdyż właśnie wtedy okazało się, że pan Brocklebank ma na sobie wyłącznie koszulę. Zataczając się ruszył prosto do kabiny Colleya, po drodze odepchnąwszy Summersa z taką siłą, że pierwszy oficer wylądował na ścianie.

- Znam was wszystkich! - ryknął. - Znam was! Jestem artystą! Ten człowiek nie umarł, tylko śpi! Ma niską gorączkę, ale szklaneczka albo dwie przywrócą mu siły!

Chwyciłem opoja za ramię i pociągnąłem z całej siły. Summers natychmiast pospieszył mi z pomocą. Co prawda Wheeler trochę nam przeszkadzał, a w dodatku niewiele brakowało, żebyśmy potknęli się o wyciągnięte nogi Oldmeadowa, ale, bądź co bądź, śmierć jest jednak śmiercią, a jeśli nawet jej nie potrafimy potraktować z należnym szacunkiem, to... Jakimś cudem udało nam się wywlec go na korytarz, gdzie znowu zapanowała niezmacona cisza. W pewnych sytuacjach najlepszą reakcją jest brak reakcji - albo natychmiastowa ucieczka, lecz na nią nie zdecydował się nikt z zebranych. Z ogromnym wysiłkiem dopchaliśmy go, bełkoczącego coś o „niskiej gorączce” i „ożywczych trunkach”, do drzwi kabiny. Jego kobiety kuliły się w kącie, blade i przerażone.

- No, dalej! - mruzczałem uspokajająco. - Do koi, dobry człowieku, do koi!

- Ale przy niskiej gorączce...

- Co to ma być „niska gorączka”, do wszystkich diabłów?! Kładź się pan. Kładź się, powiadam! Pani Brocklebank... Panno Brocklebank... Pomóżcie nam, na litość boską!

Zajęły się nim wreszcie, a my pospiesznie wyszliśmy na korytarz, zatraskując za sobą drzwi. Odwróciwszy się ujrzałem kapitana Andersona schodzącego ponownie do korytarza.

- I co, panowie?

Udzieliłem odpowiedzi w imieniu Oldmeadowa i własnym.

- Według mnie Colley nie żyje, panie kapitanie.

Utkwił we mnie spojrzenie małych oczu.

- Zdaje się, że ktoś wspominał o „niskiej gorączce”?

Summers wyszedł z kajuty Colleya i delikatnie zamknął za sobą drzwi, po czym zatrzymał się, spoglądając to na dowódcę, to na mnie.

- Uczynił to pan Brocklebank, który nie do końca odpowiada za swoje słowa - wyjaśniłem z ociąganiem.

Przysięgam, że na policzkach Andersona znowu pojawiły się zmarszczki, a w oczach błysnęły figlarne iskierki. Rozejrzał się po tłumie świadków.

- Niemniej jednak ma pewien zasób wiedzy medycznej!

Otwierałem już usta, by wyprowadzić go z błędu, ale on nie pozwolił mi dojść do słowa.

- Panie Summers, proszę dopilnować, aby poczyniono odpowiednie przygotowania - polecił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Tak jest, panie kapitanie!

Anderson odwrócił się na pięcie i odszedł, Summers natomiast zwrócił się do Willisa tym samym tonem, jakiego przed chwilą użył dowódca:

- Panie Willis!

- Słucham pana?

- Proszę sprowadzić na rufę żaglomistrza, jego pomocnika oraz trzech albo czterech krzepkich ludzi. Mogą być ci, którzy zostali niedawno ukarani.

- Tak jest, proszę pana.

Ani trochę udawanej melancholii, którą tak chętnie szafują nasi przedsiębiorcy pogrzebowi! Pan Willis pognał na dziób co sił w nogach, a pierwszy oficer we właściwy sobie, uprzejmy sposób zwrócił się do osób zgromadzonych w korytarzu:

- Panie i panowie, z pewnością nie życzylibyście sobie oglądać tego, co teraz nastąpi. Czy mogę prosić byście opuścili korytarz? Szczególnie polecam państwu spacer po pokładzie rufowym.

Pasażerowie zaczęli się powoli rozchodzić, aż wreszcie w korytarzu zostaliśmy tylko Summers, ja i służący. Nagle otworzyły się drzwi kajuty Brocklebanka i stanął w nich zupełnie nagi artysta.

- Panowie - oświadczył z niedorzeczną powagą. - Niska gorączka stanowi

przeciwieństwo wysokiej gorączki. Życzę panom miłego dnia.

Ktoś pociągnął go gwałtownie do tyłu i zatrzasnął drzwi. Summers popatrzył na mnie pytająco.

- A pan, panie Talbot?

- Zdaje się, że nadal obowiązuje mnie prośba kapitana?

- Moim zdaniem wraz ze śmiercią tego biedaka uwolnił się pan od wszelkich zobowiązań.

- Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o noblesse oblige i fair play? Chyba udało mi się znaleźć słowo, które równie dobrze oddaje znaczenie obu tych wyrażeń.

- Jak brzmi to słowo?

- Sprawiedliwość.

Summers zastanawiał się przez chwilę.

- Wie pan już, kto powinien za to odpowiadać?

- A pan nie wie?

- Ja? Biorąc pod uwagę władzę, jaką ma kapitan... Poza tym, nie mam żadnego opiekuna.

- Niech pan nie będzie tego taki pewien, panie Summers.

Przez chwilę spoglądał na mnie z niedowierzaniem, po czym gwałtownie nabrał powietrza.

- Ja...?

Jednak w tej samej chwili w korytarzu pojawili się marynarze, więc Summers tylko zerknął na nich, a potem znowu na mnie.

- Może przeszedłby pan na rufę?

- Myślę, że bardziej przydałaby mi się szklaneczka brandy.

W salonie zastałem Oldmeadowa skulonego na krześle przy wielkim oknie, z pustą szklanką w ręku.

Oddychał głęboko i bardzo się pocił, ale na jego policzkach pojawiły się już rumieńce.

- Cholernie głupia sprawa - wymamrotał. - Nie mam pojęcia, skąd to mi się wzięło.

- Czy tak właśnie zachowuje się pan na polu bitwy? Nie, nie, proszę mi wybaczyć! Sam nie wiem, co mówię. Ten człowiek, leżący w takiej samej pozycji jak wówczas, gdy widziałem go poprzednim razem, kiedy jeszcze żył, choć właściwie równie dobrze już wtedy mógłby być martwy... Do wszystkich diabłów, co z tym stewardem? Steward! Brandy dla mnie i dla pana Oldmeadowa!

- Wiem, co ma pan na myśli, panie Talbot. Tak naprawdę nigdy nie byłem na polu bitwy ani nawet nie słyszałem strzału oddanego w gniewie, z jednym wyjątkiem, kiedy mój przeciwnik chybił co najmniej o jard. Jakże cicho zrobiło się na statku!

Wyrzależ przez otwarte drzwi salonu. Marynarze wlasnie wchodzili kolejno do kajuty Colleya. Zamknalem drzwi, po czym wróciłem do mlodego oficera.

- Wkrótce będzie po wszystkim. Jak się panu wydaje, Oldmeadow: czy nasze odczucia można uznać za nienaturalne?

- Noszę mundur armii Jego Królewskiej Mości, a mimo to jeszcze nie widziałem żadnego nieboszczyka. To naprawdę było okropne, kiedy musiałem go dotknąć. Widzi pan, ja pochodzę z Kornwalii.

- Z takim nazwiskiem?

- Nie wszyscy nazywamy się Tre, Poi albo Pen. Dobry Boże, jakże trzeszczą te deski! Zdaje się, że wyczuwam jakąś zmianę w ruchu statku.

- Niemożliwe.

- Panie Talbot, czy nie sądzi pan, że...

- Że co?

- Już nic.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu, dzięki czemu mogłem bez przeszkód rozkoszować się przyjemnym ciepłem, jakie zaczęło z wolna rozchodzić się po moim ciele. Potem do salonu wszedł Summers, a ja dostrzegłem, jak za jego plecami marynarze wynoszą na pokład podłużny, spowity w płótno. Twarz pierwszego oficera była znacznie bledsza niż zazwyczaj.

- Napije się pan brandy?

Pokręcił głową. Oldmeadow podniósł się z krzesła.

- Chyba dobrze mi zrobi łyk świeżego powietrza. Doprawdy, taka głupia sprawa... Bardzo głupia.

Chwilę potem zostałem w salonie sam na sam z Summersem.

- Panie Talbot, zdaje się, że wspomniał pan coś o sprawiedliwości? - odezwał się przyciszonym głosem.

- Dlaczego pan pyta?

- Podobno prowadzi pan dziennik?

- A jeśli tak, to co z tego?

- Nic. Po prostu chciałem się upewnić.

Popatrzył na mnie znacząco, skinął głową i wyszedł. Zostałem przy stole, myśląc o



tym, że mimo wszystko nie udało mu się mnie przejrzeć. Nie wiedział, że już dawno wpadłem na pomysł, by po powrocie przedstawić mój dziennik osobie, której mądrość i uczciwość...

Wasza lordowska mość z właściwą sobie życzliwością zachęcał mnie, bym wprawiał się w sztuce mówienia pochlebstw, ale jak mogę to czynić, kierując je pod adresem człowieka, który bez trudu je wszystkie zdemaskuje? Pozwalam sobie w tym względzie wypowiedzieć posłuszeństwo waszej lordowskiej mości i skończyć z pochlebstwami!

Dobrze więc: oskarżyłem kapitana o nadużycie władzy, a także przekazałem sugestię Summersa, który twierdzi, jakoby część odpowiedzialności spadała także na moje barki. Doprawdy nie wiem, czy w imię sprawiedliwości mógłbym uczynić coś więcej. Jest już głęboka noc, lecz dopiero przed chwilą, pisząc te słowa, przypomniałem sobie o istnieniu „Rękopisu Colleya”. Tam mogą znajdować się jeszcze wyraźniejsze dowody winy chrześniaka waszej lordowskiej mości oraz opisy okrucieństwa kapitana! Przejrzę pobieżnie to, co napisał ten nieszczęśnik, a potem pójdę spać.

\*\*\*

Przejrzałem manuskrypt i żałuję, że to uczyniłem! Biedny, biedny Colley, po stokroć biedny Robert James Colley! Billy Rogers, Summers strzelający z fuzji, Deverel i Cumbershum, Anderson, ten groźny, okrutny Anderson! Jeśli na tym świecie istnieje jeszcze jakaś sprawiedliwość... Chyba wasza lordowska mość sam widzi, jak wstrząsające wrażenie wywarła na mnie lektura tych zapisków. Kiedy pomyślę, że ja, właśnie ja...

Przez otwór w drzwiach sączy się światło. Lada chwila wstanie nowy dzień. Co mam uczynić? Przecież nie mogę przekazać kapitanowi tego nie dokończonego listu Colleya, chociaż nie ulega wątpliwości, że tak właśnie powinienem postąpić. Skoro tak, to jaki mam wybór? Mógłbym wyrzucić go za burtę i zataić jego treść, a wówczas wszyscy myśleliby, że Colley zmarł na „niską gorączkę” i tak już by zostało. Nikt nie dowiedziałby się o moim udziale w tej sprawie. Czy ja aby zanadto się nie przejmuję? Przecież Anderson, jako dowódca, znajdzie usprawiedliwienie dla wszystkiego co uczynił. Nie mogę dopuścić Summersa do tajemnicy, gdyż ten boi się o swoją cenną karierę. Zapewne powiedziałyby mi, że choć może miałem prawo przywłaszczyć sobie list pastora, to z całą pewnością nie wolno mi zataić jego treści.

No więc, nie zatajam. Wybrałem najprostszą drogę wiodącą ku sprawiedliwości - tej naturalnej, nie mającej nic wspólnego z wyrokami sądów - i oddaję wszystkie dowody w ręce waszej lordowskiej mości. Kapitan twierdzi, jakoby groziło mu „zestarzenie się na lądzie”. Jeżeli wasza lordowska mość dojdzie do tego samego przekonania, do jakiego ja doszedłem,

to znaczy, że kapitan zamienił dyscyplinę w tyranię, wówczas wystarczy jeden rozkaz waszej lordowskiej mości, aby dopilnowano, żeby słowa Andersona okazały się prorocze.

A co ze mną? Jestem w tym dzienniku znacznie bardziej szczery niż zamierzałem. Postępowałem tak, jak - wedle mego przekonania - ma prawo postępować człowiek o mojej pozycji towarzyskiej i urodzeniu, ale...

Dobrze więc. Ja także jestem winny.

Edmundzie, Edmundzie! Toż to istne szaleństwo! Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, że jesteś człowiekiem o większej inteligencji niż wrażliwości, i czyżbyś naprawdę nie czuł, nie wierzył, że zaakceptowany przez ciebie system moralny w znacznie większym stopniu opiera się na funkcjonowaniu intelektu niż na uczuciach? Oto coś, co wolałbyś raczej podrzeć na drobne kawałki, niż pokazać ludziom! Wasza lordowska mość zechce mi wybaczyć: pisałem i czytałem przez całą noc, a teraz trochę kręci mi się w głowie. Nic nie wydaje się prawdziwe, zupełnie jakbym był pograżony w półśnie. Zdobędę klej i wkleję list do mego dziennika; w ten sposób stanie się częścią „Manuskryptu Talbota”.

Siostra Colleya nie może się o niczym dowiedzieć. To kolejny powód, żeby jednak nie pokazywać tego listu. Pastor umarł na „niską gorączkę”, i to wszystko - jeszcze przed końcem podróży na to samo z pewnością umrze ta biedna dziewczyna z forkasztelu. Mówiłem coś o kleju? Powinni go chyba zrobić z racic Bessie. Wheeler z pewnością będzie wiedział: wszechwiedzący, wszechobecny Wheeler... Muszę wszystko starannie zamykać. Ten dziennik stał się niebezpieczny jak nabity pistolet.

Brakuje pierwszych dwóch stron. To z nimi właśnie szedł do toalety, kompletnie pijany, z błogim uśmiechem na twarzy...

Później zapadł w pijacką drzemkę, obudził się, całkiem możliwe, że z trudem i powoli. Przez pewien czas niczego nie pamiętał, a potem przypomniał sobie, że jest wielebnym Robertem Jamesem Colleyem i...

Nie! Nawet nie będę próbował sobie tego wyobrazić. To przecież mogło się dzieć wtedy, kiedy odwiedziłem go po raz pierwszy. Czy moje słowa przywiodły mu na myśl wszystko, co utracił? Poczucie własnej godności? Szacunek bliźnich? Moją przyjaźń i pomoc? Ogarnięty cierpieniem złapał list i wepchnął go w ciemność, głęboko za koję, żeby tylko usunąć go sprzed oczu i z pamięci, gdyż nie mógł znieść myśli o jego istnieniu...

Chyba moja wyobraźnia płata mi figle. Owszem, bez wątpienia pragnął śmierci, ale przecież nie dlatego, nie z powodu jednego, zupełnie błahego... Gdyby popełnił morderstwo, albo chociaż...

To szaleństwo, zupełny absurd. Czyż można go sobie wyobrazić z którąś z kobiet

mieszkających w naszej części statku?

A ja? Mogłem go ocalić, gdybym mniej miał na uwadze swą pozycję i nie obawiał się tak bardzo nudy podczas długotrwałej podróży.

Ach, te przenikliwe sądy, interesujące obserwacje, krotochwilne dykteryjki, którymi swego czasu miałem zamiar zabawiać waszą lordowską mość! Zamiast nich proponuję teraz prosty opis występków Andersona oraz moich zaniedbań. Przed waszą lordowską mością leży

#### LIST COLLEYA

...więc będzie lepiej, jeśli spuszczę zasłonę milczenia na to, co okazało się najbardziej męczącym i przygnębiającym z moich wszystkich dotychczasowych przeżyć. Nękające mnie bez przerwy nudności sprawiły, że te pierwsze godziny i dni zatarły się już nieco w mej pamięci, a zresztą i tak nie przysłoby mi do głowy opisywać Ci ze szczegółami paskudnego smrodu, rozwydrzenia, przekleństw i najróżniejszych przykrości, na jakie jest narażony pasażer takiego statku, nawet jeśli należy do stanu duchownego! Teraz jednak, kiedy odzyskałem siły na tyle, by wziąć pióro do ręki, nie mogę się powstrzymać, by nie wrócić myślą do chwili, kiedy po raz pierwszy postawiłem stopę na pokładzie. Umknąwszy hordzie trudnych do nazwania istot grasujących na nabrzeżu i przeniesiony na nasz znakomity statek w iście przedziwny sposób, mianowicie za pomocą urządzenia przypominającego huśtawkę zawieszoną na jednym z buków za naszym polem jęczmienia, tyle że znacznie bardziej od niej skomplikowanego, stanąłem twarzą w twarz z młodym oficerem trzymającym pod pachą lunetę. Zamiast przywitać mnie, jak dżentelmen dżentelmena, człowiek ów odwrócił się do swych kompanów i wygłosił następującą uwagę:

- Niech mnie lichy, klecha! Wyobrażam sobie, jaką minę zrobi nasz stary zrzęda, kiedy go zobaczy!

Była to jedynie niewinna zapowiedź tego, co później przyszło mi wycierpieć. Oszczędzę Ci szczegółów, moja droga siostrze, jako że minęło już wiele dni od chwili, kiedy po raz ostatni widzieliśmy brzegi Starego Albionu. Choć jestem już wystarczająco silny, aby siedzieć przy opuszczanym blacie, który służy mi jako *prie-dieu*, biurko, stół oraz pulpit, to jednak nie mam odwagi, by przedsięwziąć dalszą wyprawę. Przede wszystkim powinienem (naturalnie po spełnieniu mych duchowych obowiązków) przedstawić się naszemu dzielnemu kapitanowi, mieszkającemu dwa piętra - a raczej pokłady - nad nami. Mam nadzieję, że zgodzi się przekazać ten list na jakiś statek zmierzający w przeciwnym kierunku, dzięki czemu otrzymasz najświeższe wieści o losie swego brata. Kiedy pisałem te słowa, przyszedł Phillips (mój służący!); przyniósł mi nieco bulionu i próbował wyperswadować pomysł

złożenia przedwczesnej wizyty kapitanowi Andersonowi. Jego zdaniem najpierw powinienem wydobrzeć, zjeść jakiś posiłek w salonie pasażerskim - może uda mi się wszystkiego nie zwrócić! - po czym odzyskiwać siły spacerując po korytarzu lub po części pokładu zwanej przez niego śródkręciem, czyli w okolicy najwyższego masztu.

\*\*\*

Choć nadal nie mogę jeść, to jednak wyszedłem na zewnątrz. Moja droga siostrze, jakże byłem niewdzięczny, skarżąc się na swój los! Czuję się tak, jakbym trafił do ziemskiego, a raczej oceanicznego raju! Słońce nie skąpi rozkosznie ciepłych błogosławieństw, powierzchnia morza zaś mieni się najróżniejszymi barwami niczym ogon ptaka Junony (mam na myśli pawia), który przechadza się po parku w Manston. (Przypominam ci, byś przy każdej sposobności odwiedzała to miejsce i przyglądała mu się z uwagą). Widok ten stanowi najlepsze lekarstwo, jakie można sobie wyobrazić, szczególnie jeśli wzmocni się jego działanie lekturą przewidzianego na dany dzień fragmentu Pisma Świętego. Na horyzoncie pojawił się na krótko biały żagiel, a ja zmówiłem krótką modlitwę w intencji naszego bezpieczeństwa, zależnego wyłącznie od Jego woli. Co prawda nie lękam się, gdyż nie widzę lęku na twarzach oficerów ani zwykłych marynarzy, lecz mój spokój, ma się rozumieć, bierze się z wiary w miłość i dobroć naszego Zbawcy, która jest dla mnie tym, czym najlepsza kotwica dla morskogo statku. Wyznam Ci, że kiedy ów tajemniczy żagiel zniknął za horyzontem - sam statek nie pojawił się nawet na chwilę - wyobraziłem sobie, iż jest to nieprzyjacielska jednostka, która zaatakowała nas niespodziewanie, a wówczas ja dokonałem bohaterskiego czynu, jakiego nikt by się nie spodziewał po skromnym słudze Kościoła. Już jako chłopiec marzyłem o tym, by na polu bitwy szukać sławy i bogactwa. Prędko przywołałem się do porządku, przyznałem, że zgrzeszyłem i wyznaczyłem sobie pokutę. Bohaterowie otaczają mnie przecież ze wszystkich stron, moje zadanie zaś polega nie na tym, by stać się jednym z nich, lecz na tym, by służyć im duchową opieką i pomocą.

Dobrze więc: tęsknię za bitwą właśnie ze względu na nich. Obnażywszy spalone słońcem, umięśnione torsy uwijają się przy pracy. Długie włosy pozwiązali sobie w końskie ogony, spodnie zaś, choć ciasno dopasowane, trzepoczą przy kostkach jak chrapy ogiera. Bez lęku dokazują na drabinkach nawet i sto stóp nad pokładem. Proszę cię, nie wierz niedobrym, bezbożnym ludziom twierdzącym, jakoby marynarze nie mieli sobie równych, jeśli chodzi o okrucieństwo! Nie widziałem żadnych przejawów brutalności, najbardziej drastycznym zdarzeniem zaś, jakie mogłem oglądać, było przywołanie do porządku pewnego młodego dżentelmena za pomocą kilku razów ulokowanych na specjalnie do tego celu

przeznaczonej części jego ciała. Kara nie była zanadto bolesna, a młodzieniec przyjął ją ze stoickim spokojem, jak w szkole.

Muszę teraz dostarczyć ci paru podstawowych informacji na temat naszego małego społeczeństwa, w którym będziemy żyli sam jeszcze nie wiem przez ile miesięcy. My, to znaczy przedstawiciele klasy wyższej, mamy swoją twierdzę w tylnej, czyli rufowej części statku. Po drugiej stronie śródokręcia, za ścianą z dwoma otworami wejściowymi i schodami, tutaj nie wiadomo czemu zwanymi drabinami, mieszkają marynarze oraz pasażerowie gorszego autoramentu, to znaczy emigranci oraz im podobni. Powyżej znajduje się pokład forkasztelu oraz zdumiewający świat bukszprytu. Mogłabyś przypuszczać (jak i ja przypuszczałem, pamiętając zamknięty w butelce okręcik pana Wembury'ego), że bukszpryt to po prostu kawałek kija sterczący z dziobu statku. Nic podobnego! Dowiedz się, iż bukszpryt to właściwie cały maszt, tyle że położony niemal poziomo, zaopatrzony w „reje”, „kołnierz masztowy”, „sztagi”, a nawet „fały”. Co więcej, jeśli pozostałe maszty można porównać do ogromnych drzew, po których konarach i gałęziach wspinają się nasi dzielni żeglarze, to bukszpryt stanowi coś w rodzaju drogi, może nieco stromej, co jednak w niczym nie przeszkadza im w chodzeniu, a nawet bieganiu po nim. Z pewnością ma co najmniej trzy stopy średnicy, a więc tyle samo co maszty, te z pozoru niewinne patyczki! Nawet największy buk z lasu Sakera wyglądałby przy tych potworach niczym karzeł. Kiedy pomyślę, że w wyniku ataku nieprzyjaciela albo jakiegoś kaprysu Natury mogą popękać lub połamać się równie łatwo jak wyschnięte źdźbła słomy, ogarnia mnie obezwładniające przerażenie. Bynajmniej nie lękam się o swoje bezpieczeństwo; jest to raczej lęk przed tą gigantyczną machiną wojenną, a zarazem coś w rodzaju podziwu dla istot, których życie polega na ciągłym okiełznywaniu bestii i zmuszaniu jej, by posłusznie służyła Bogu oraz Królowi. Zdaje się, że Sofokles (ten grecki tragediopisarz), w jednej ze swoich sztuk wyraził podobną opinię ustami chóru... Ale odbiegam od tematu.

Jest ciepło, czasem wręcz gorąco, gdyż słońce nie skąpi nam swych łask. Musimy się go strzec, aby nie ponieść uszczerbku na zdrowiu. Nawet teraz, siedząc w kajucie przy moim „biurku”, wyraźnie czuję pieczenie policzków spowodowane jego promieniami. Rano niebo było intensywnie błękitne, ani mniej jednak, ani bardziej niż poznaczony białymi kreskami grzywaczy bezkresny ocean. Obserwując czubek bukszprytu (naszego bukszprytu!) wycelowany ponad doskonale widoczną linię horyzontu, po raz pierwszy poczułem, jak w moim sercu rozpala się płomyk prawdziwej radości.

## Nazajutrz

Jestem już znacznie silniejszy i pomału zaczynam jeść. Phillips twierdzi, że wkrótce zupełnie wrócę do zdrowia; niestety, pogoda chyba zaczyna się zmieniać. Tam, gdzie jeszcze wczoraj był błękit i oślepiające promienie słońca, dzisiaj ściele się biała mgiełka, a wiatr prawie zupełnie ustał. Bukszpryt (jeszcze nie tak dawno miałem ataki nudności, jeśli zbyt długo wpatrywałem się w jego rozkołysany wierzchołek) jest zupełnie nieruchomy. Zaiste, wygląd tego małego świata zmieniał się już co najmniej trzy razy od chwili, kiedy nasza Droga Ojczyzna zanurzyła się - tak to przynajmniej wyglądało! - w morzu, niknąc nam z oczu. Gdzie podziały się lasy i żyzne pola, kwiaty i kościółek z szarego kamienia, w którym modliliśmy się przez całe życie, wiejski cmentarz, na którym spoczywają nasi drodzy rodzice, a raczej ich doczesne szczątki, gdyż oni z pewnością otrzymali już w Niebie obiecaną nagrodę... Gdzie, pytam, podziały się wszystkie te swojskie widoki, stanowiące nieodłączną część naszego życia? Ludzki umysł nie potrafi radzić sobie z taką sytuacją. Cały czas powtarzam sobie, że istnieje jakaś materialna rzeczywistość łącząca miejsce, w którym teraz jestem, z miejscem, gdzie byłem jakiś czas temu, tak jak istnieje droga łącząca Górne Compton z Dolnym. Rozum zgadza się z tym, lecz serce dalekie jest od pewności, usiłuję więc przekonać je, przytaczając argument, że nasz Pan jest zarówno tu, jak i tam, a raczej tu i tam są w Jego oczach tym samym miejscem.

Znowu byłem na pokładzie. Biała mgła wydaje się gęstsza i jakby cieplejsza. Prawie nie widać marynarzy. Statek zatrzymał się, żagle zwisają nieruchomo. Moje kroki rozbrzmiewały nienaturalnie głośno, tak że w pewnej chwili zrobiło mi się trochę nieswojo. Nie spotkałem żadnego pasażera. Zewsząd dobiega trzeszczenie pracującego drewna, ale kiedy wychyliłem się za burtę, na powierzchni wody nie dostrzegłem nawet najmniejszej zmarszczki.

\*\*\*

Jakoś doszedłem do siebie, ale niewiele brakowało...

Kilka minut po tym, jak wyszedłem w gęstą mgłę, oślepiająco biała błyskawica rozorała mleczne opary po naszej prawej stronie i uderzyła w morze. Jednocześnie rozległ się tak potężny huk, że mało nie popękały mi bębunki w uszach. Zanim zdążyłem odwrócić się i rzucić do ucieczki, piorun uderzył ponownie, tym razem z drugiej strony, po czym lunął

deszcz. Wielkie krople odbijały się od pokładu i choć miejsce, w którym stałem oparty o reling, dzieliło od naszego korytarza zaledwie kilka jardów, zanim zdołałem skryć się pod pokładem byłem już przemoczony do suchej nitki. Zamknąwszy za sobą drzwi kajuty rozebrałem się na tyle, na ile pozwala przystojność, po czym, solidnie przerażony, usiadłem do pisania listu. Co najmniej od kwadransa - gdybym tak miał zegar! - pioruny wałę niemal bez przerwy, a deszcz leje strumieniami.

Nareszcie burza zaczęła się oddalać, a w korytarzu pojawiły się nieśmiałe promienie słońca. Powiał też lekki wiatr, dzięki czemu skrzypiąc, kołyszając się i gulgocząc, ruszyliśmy w drogę.

Przed chwilą napisałem, że pojawiło się słońce; niestety, uczyniło to tylko po to, by zaraz potem zniknąć za horyzontem, pozostawiając w mojej duszy nie tylko wciąż jeszcze żywe wspomnienie strachu, jaki niedawno mnie zdjął, ale także świadomość potęgi Jego gniewu oraz podziw dla majestatu Jego dokonań. Wcale nie wydaje mi się, żeby nasz statek był maleńki i nieważny; wręcz przeciwnie, dopiero teraz w pełni ukazało mi się jego dostojeństwo! Myślę w tej chwili o nim jako o odrębnym świecie, miniaturowym Uniwersum, w którym musimy spędzić życie, a potem odebrać karę lub nagrodę. Ufam, że ta niezwykła, powracająca uparcie myśl nie jest świętokradztwem.

Stwierdziwszy, że wiatr słabnie, odważyłem się ponownie wyjść na pokład. Jest już noc. Żadne słowa nie zdołają opisać, jak wysoko ku gwiazdom sięgają ogromne maszty, jak wielkie, a zarazem lekkie wydają się żagle, ani jak ogromna odległość zdaje się dzielić pokład od migotliwej powierzchni morza. Nie wiem, jak długo stałem przy burcie zupełnie bez ruchu. W pewnej chwili wiatr ucichł, ocean wygładził się, a delikatne falowanie wody, w której odbijało się i migotało rozgwieżdżone niebo, ustąpiło miejsca nieruchomej, czarnej pustce, kompletnej nicości! Nie mam pojęcia, co mogło być tego przyczyną. Zalekziony odwróciłem się, by stanąć twarzą w twarz z panem Smilesem, naszym nawigatorem. Według Phillipsa właśnie pan Smiles3 naturalnie zaraz po kapitanie, odpowiada za wyznaczanie kursu i ustalanie pozycji statku.

- Panie Smiles, jak bardzo jest tu głęboko?

To dziwny człowiek, o czym zdążyłem się już przekonać: zawsze pogrążony w myślach lub pochłonięty obserwacjami. Nazwisko pasuje do niego jak ulał, ponieważ otacza go aura pogodnej melancholii, wyróżniająca go spośród jego towarzyszy. \* [\*Smile - uśmiech (przyp. tłum.)]

- Któż to może wiedzieć, panie Colley?

Roześmiałem się niepewnie, a on zbliżył się i spojrział mi z bliska w twarz. Jest

jeszcze niższy ode mnie, choć, jak wiesz, nie zaliczam się do mężczyzn słusznego wzrostu.

- Mila, może dwie... Nikt nie wie dokładnie. Moglibyśmy spuścić sondę, ale robimy to bardzo rzadko, gdyż nie ma takiej potrzeby.

- Więcej niż mila...!

Niewiele brakowało, a osunąłbym się zemdlony na pokład. Oto jesteśmy zawieszeni między lądem tworzącym dno oceanu a niebem, niczym orzech na gałęzi albo liść unoszący się na powierzchni stawu! Nie potrafię Ci przekazać, moja droga siostrze, jak wielkie ogarnęło mnie przerażenie, kiedy uświadomiłem sobie, że znaleźliśmy się tam, gdzie żadnym prawem nie powinno być nikogo!

\*\*\*

Pisałem to minionej nocy przy blasku wyjątkowo kosztownej świecy. Wiesz, jak bardzo muszę oszczędzać, mimo to zdecydowałem się na ten wydatek, gdyż doszedłem do wniosku, że nie mogę siedzieć w kompletnej ciemności. W okolicznościach takich jak te, które teraz mi towarzyszą, każdy człowiek (nawet jeśli w pełni skorzysta z pociechy, jaką może dać mu religia) odczuwa tęsknotę za towarzystwem innych ludzi. Niestety, damy i dżentelmeni, zakwaterowani w tej części statku, niezbyt ochoczo odpowiadają na moje serdeczne pozdrowienia. Początkowo wydawało mi się, że może onieśmiela ich fakt, że jestem duchownym, potem zaś zacząłem nalegać, by Phillips wyjaśnił mi to zjawisko. Chyba nie powinienem był tego czynić! Po co wtajemniczać służącego w zawiłości układów towarzyskich, które nic go nie obchodzą? Wielce się natrudziłem, zanim wreszcie mi wyznał, że wśród prostych ludzi pokutuje przesąd, iż pastor na statku pełni mniej więcej tę samą rolę, co kobieta w łodzi rybackiej, to znaczy sprowadza nieszczęście. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek spośród mych współpasażerów hołdował temu głupiemu zabobonowi! Z pewnością musi chodzić o coś innego. Wczoraj przez chwilę miałem wrażenie, że uda mi się wyjaśnić przyczynę ich zagadkowej obojętności wobec mojej osoby. Otóż wśród nas znajduje się słynny, żeby nie powiedzieć notoryczny wolnomyśliciel, pan Prettiman, ten zagorzały zwolennik republikanów i jakobinów! Sądzę, iż zdecydowana większość podróżnych odnosi się do niego z odrazą. Jest nieduży i mocno zbudowany, ma łysą czaszkę okoloną czymś w rodzaju potarganej aureoli (cóż za niefortunny dobór słowa!) brązowych włosów, które wyrastają mu także za uszami i na karku. Porusza się gwałtownie, w nadzwyczaj ekscentryczny sposób, co chyba ma jakiś związek z jego oburzającymi poglądami. Młode damy unikają go jak ognia, a jedyną, która tego nie czyni, jest niejaka panna Granham, osoba dość zaawansowana wiekiem, zapewne o tak mocno ugruntowanych przekonaniach, że nie



obawia się starcia z jego obrazoburczymi opiniami. Jest także pewna młoda osóbką nadzwyczajnej urody, panna Brocklebank... Ale nie powiem o niej ani słowa więcej, bo jeszcze byłabyś gotowa pomyśleć, że zebrało mi się na żarty. Mam jednak podstawy, by przypuszczać, że przynajmniej ona nie patrzy na Twego brata zupełnie obojętnie! Niestety, prawie przez cały czas opiekuje się matką, której kaprysy morza dały się we znaki jeszcze bardziej niż mnie.

Na sam koniec pozostawiłem pewnego młodego dżentelmena. Ufam mu i głęboko wierzę, że jeszcze przed końcem podróży zostanie moim przyjacielem. Pochodzi ze znakomitej rodziny oraz cieszy się wszystkimi względami, na jakie zasługuje człowiek wysokiego rodu. Odważyłem się kilkakrotnie złożyć mu wyrazy uszanowania, a on odpowiedział mi nadzwyczaj grzecznie. Jego przykład może wpłynąć na zmianę postępowania pozostałych pasażerów.

Dziś rano znowu wyszedłem na pokład. Nocą zerwał się lekki wiatr, który popchnął nas trochę naprzód, lecz nad rankiem ponownie ucichł. Żagle wiszą nieruchomo i nawet w samo południe widoczność utrudnia wilgotna mgiełka. Burza ponowiła atak: pioruny uderzały z taką wściekłością, że czym prędzej uciekłem do kabiny, ogarnięty takim przerażeniem jak wówczas, gdy wyobraziłem sobie nasz statek, zawieszony nad wypełnioną wodnym żywiołem otchłanią. Ręce trzęsły mi się bardzo i nie mogłem złożyć ich do modlitwy, lecz po pewnym czasie zdołałem się nieco uspokoić, mimo że na zewnątrz w dalszym ciągu szalały groźne moce. Pomyślałem sobie (powinienem był uczynić to znacznie wcześniej!), że nawet jedna dobra dusza, jeden dobry uczynek, dobra myśl, lub jedno dotknięcie Bożej Łaski znaczy wielekroć więcej niż te wszystkie niezliczone mile mglistej wilgoci oraz majestatyczna potęga oceanu! Zaiste, tylko źli, zaślepieni ludzie, którzy giną nie zdążywszy przejrzeć na oczy, mogą dostrzegać w tych żywiołach to samo zło, jakie otaczało ich przez całe życie. Jak widzisz, moja droga siostrze, niezwykłość otoczenia, wycieńczenie spowodowane chorobą oraz charakterystyczna dla mnie nieśmiałość, która zmusiła mnie, bym zamknął się w skorupce niczym ślimak, doprowadziły do chwilowego osłabienia mego intelektu. W krzyku morskiego ptaka słyszałem płacz potępionych dusz, o których przed chwilą wspomniałem! Na szczęście otrząsnąłem się z majaczeń, po czym z pokorą podziękowałem Bogu za to, że pozwolił mi pozbyć się niezdrowych fantazji, zanim naprawdę w nie uwierzyłem.

\*\*\*

Obudziłem się z letargu. Odkryłem już przynajmniej jedną przyczynę obojętności, z jaką mnie tu traktują. Przecież jeszcze nie przedstawiłem się kapitanowi, co mogło zostać

odebrane jako poważne uchybienie dobrym obyczajom! Jestem zdecydowany nadrobić to zaniedbanie tak szybko, jak tylko będzie możliwe. Podejdę do niego i wyrażę głębokie ubolewanie z powodu braku mszy świętej w miniony Dzień Pański; byłem wówczas złożony chorobą, a na tym statku nie ma kapelana. Nie wolno mi dopuszczać do siebie nieuzasadnionych i mało szlachetnych podejrzeń, że w chwili, gdy wchodziłem na pokład, zostałem potraktowany przez oficerów ze znacznie mniejszym szacunkiem, niż należy się słudze Pańskiemu. Dzielni obrońcy naszej ojczyzny z pewnością nie są ludźmi takiego autoramentu! Udam się teraz na przechadzkę po pokładzie, aby dobrze przygotować się do spotkania z kapitanem. Wiesz, jak wielkie ogarnia mnie onieśmienie w obliczu Władzy, z pewnością więc wesprzesz mnie życzliwą myślą!

\*\*\*

Byłem na śródokręciu, gdzie po raz drugi rozmawiałem z nawigatorem. Stał po lewej stronie statku i z charakterystycznym dla siebie natężeniem wpatrywał się w horyzont, a raczej w miejsce, gdzie ów horyzont powinien być.

- Dzień dobry, panie Smiles! Szczerze mówiąc, czułbym się znacznie pewniej, gdyby ta mgła wreszcie ustąpiła.

Obdarzył mnie zagadkowym uśmiechem.

- Jak pan sobie życzy. Zobaczę, co da się zrobić w tej sprawie.

Parsknąłem śmiechem. Jego dobry nastrój od razu przywrócił mi wiarę w siebie. Po to, by do końca uwolnić się od niepokojącego uczucia obcości, jakie towarzyszy mi od chwili, gdy po raz pierwszy postawiłem stopę na pokładzie, oparłem się o poręcz (reling, jak się tutaj mówi), wychyliłem za burtę i spojrzałem w dół, na wyrzuszony kadłub naszego statku, poznaczony zamkniętymi na głucho otworami strzelniczymi. O tym, że jednak powoli płyniemy naprzód, świadczyła jedynie delikatna zmarszczka na wodzie; zmusiłem się, by uważnie i spokojnie się jej przyjrzeć. Moje poczucie przestrzeni, czy raczej głębokości... Jak mam to wyrazić? Parę razy zdarzyło mi się widzieć staw albo zakole rzeki, które sprawiały na mnie wrażenie znacznie głębszych! Na tej wodzie nie było nawet skazy w miejscu, gdzie przecinał ją kadłub naszego statku, żadnej bruzdy na „nieskałanym oceanie” Homera. Natychmiast jednak stanąłem w obliczu nowej zagadki, z której istnienia ten grecki poeta chyba nawet nie zdawał sobie sprawy (powszechnie przypuszcza się bowiem, iż był zupełnie ślepy). Otóż w jaki sposób po dolaniu wody do wody można uzyskać całkowicie nieprzejrzystą ciecz? Czy coś, co jest bezbarwne i przezroczyste, może nagle stać się nieprzenikalne dla naszego spojrzenia? Przecież swobodnie patrzymy nie tylko przez szkło,

diament i kryształ, ale nawet przez grubą warstwę zawieszoną nad naszymi głowami atmosfery, za którą świecą słońce, księżyc oraz gwiazdy! Ocean, lśniący i czarny nocą, a ciemnoszary pod chmurami przerażającej burzy, zaczął stopniowo przybierać zielonkawoniebieski odcień, a to za sprawą promieni słońca, które wreszcie przedarły się przez mleczone opary.

Dlaczego ja, duchowny, człowiek oddany w służbę Bogu i obeznany z wielkimi, aczkolwiek błędnymi ideami bieżącego oraz poprzedniego stulecia, miałbym tak bardzo interesować się, niepokoić i zachwycać materialną naturą tego świata? Tak jak ci, co wyruszają w morze na okrętach! Myśląc o mojej drogiej ojczyźnie łapię się na tym, że spoglądam na horyzont i usiłuję odgadnąć, jak wielka krzywizna wody, lądu, a także przerażająco odległego morskiego dna dzieli mnie od Ciebie i od naszej wioski. Muszę poprosić pana Smileasa, który z pewnością dysponuje właściwą wiedzą, aby w wolnej chwili wyliczył, o ile stopni poniżej horyzontu powinienem skierować spojrzenie, aby mój wzrok podążył w linii prostej ku Staremu Albionowi - a raczej podążyłby, gdyby mógł przebić się przez oporną materię. Jak dziwnie będę się czuł na antypodach, patrząc pod nogi i wyobrażając sobie... Wybacz mi, znowu dałem się ponieść fantazji. Sama jednak pomyśl, jak to musi być: oglądać zupełnie nieznanne gwiazdy i księżyc stojący na głowie!

Dość fantazjowania! Pójdę teraz przedstawić się kapitanowi. Może nadarzy się sposobność, by zapoznać go z tymi spostrzeżeniami?

\*\*\*

Rozmawiałem z kapitanem Andersonem. Spróbuję opisać ci nasze spotkanie, ale nie wiem, czy mi się to uda, gdyż palce mam prawie pozbawione czucia i tylko z najwyższym trudem mogę utrzymać w nich pióro. Widać to zresztą po niewyraźnym charakterze pisma.

Było to tak: ubrałem się staranniejsz niż zwykle, wyszedłem z kajuty i wspiałem się po schodach na najwyższą część pokładu, gdzie zazwyczaj przebywa kapitan. Nieco z przodu i jakby trochę niżej znajdują się koło sterowe i kompas. Przy kompasie stali razem kapitan Anderson oraz pierwszy oficer, pan Summers. Zorientowałem się, że chwila nie jest odpowiednia, i postanowiłem trochę zaczekać. Wreszcie obaj dżentelmeni zakończyli rozmowę, kapitan zaś przeszedł na sam tył statku, ja natomiast podążyłem za nim, sądząc, iż oto nadarza się znakomita sposobność. On jednak raptownie zawrócił, tak że ja, by uniknąć zderzenia, musiałem uskoczyć na bok w sposób zupełnie nie licujący z godnością mego powołania. Ledwo zdążyłem odzyskać równowagę, kiedy on dosłownie zawarczał na mnie tak, jakbym to ja zawinił. Wymamrotałem dwa lub trzy słowa, usiłując się przedstawić, lecz

kapitan przerwał mi niecierpliwym gestem, a następnie gburowatym tonem wygłosił następującą uwagę, nie zadając sobie najmniejszego trudu, by nadać jej choćby pozory grzeczności:

- Pasażerowie mogą przychodzić na mostek tylko na moje wyraźne zaproszenie. Nie przywykłem, by ktoś przeszkadzał mi w moich przechadzkach. Proszę natychmiast udać się na przód i trzymać się bliżej bakburty.

- Bak... burty, kapitanie?

Ktoś szarpnął mnie gwałtownie za ramię. Jakiś młody dżentelmen przeciągnął mnie, mimo że głośno protestowałem, na stronę statku przeciwną niż ta, gdzie stał kapitan, nachylił się i wysyczał mi do ucha: „Pokład, od strony, z której akurat wieje wiatr, jest zarezerwowany dla kapitana”. Zgoda, popełniłem więc błąd, ale przecież wyłącznie za sprawą ignorancji całkiem zrozumiałej u kogoś, kto do tej pory nigdy nie miał okazji pływać po morzu! Przypuszczam, iż obcesowość, z jaką potraktował mnie kapitan, ma głębsze podłoże. Może nasz dowódca należy do jakiejś sekty? Jeśli tak, to jako pokorny sługa Kościoła anglikańskiego, który z szeroko otwartymi ramionami czeka na wszystkich grzeszników, by przygarnąć ich do serca, mogę jedynie wyrazić ubolewanie z powodu takiej głupoty! Jeśli w grę wchodzi nie sekciarstwo, tylko na przykład pogarda wynikająca z różnicy w naszym pochodzeniu społecznym, wówczas sprawa jest równie... no, niemal równie poważna. Jestem przecież duchownym, skierowanym na antypody ze szlachetną, choć z pewnością skromną misją. Kapitan ma dokładnie takie samo, albo nawet mniejsze prawo, by spoglądać na mnie z góry, jak kanonicy z katedry albo pastorzy, z którymi dwukrotnie siedziałem przy stole lorda biskupa. W związku z tym postanowiłem częściej niż do tej pory wychodzić z ukrycia, by zarówno kapitan, jak i pasażerowie musieli co najmniej kilka razy dziennie dostrzec mój ubiór pastora; jeżeli mnie nie darzą szacunkiem, to może poczują go na widok duchownego! Oczekuję wsparcia od tego młodego dżentelmena, pana Edmunda Talbota, a także od panny Brocklebank i panny Granham. Nie ulega także wątpliwości, iż muszę jeszcze raz zbliżyć się do kapitana, przeprosić go za nieumyślne naruszenie obyczajów panujących na pokładzie, potem zaś porozmawiać o niedzielnej mszy świętej. Pragnąłbym także udzielić komunii damom i dżentelmenom oraz, ma się rozumieć, tym spośród marynarzy i emigrantów, którzy wyraziliby takie życzenie. Obawiam się, że sprawy na statku układają się źle i wiele można (i należy!) w tym względzie poprawić. Między innymi codziennie powtarza się pewna ceremonia, i bardzo gorąco pragnąłbym ją wykorzenić. Wiesz bowiem dobrze, jak surowo nasz lord biskup potępia pijaństwo, szerzące się coraz bardziej wśród klas niższych! Wyobraź sobie, że załozde regularnie wydaje się mocne napitki! Jeszcze jeden powód, dla którego

warto zabiegać o możliwość odprawienia nabożeństwa; gdyby podczas kazania udało mi się skrytykować ten obyczaj... Natychmiast udam się do kapitana i spróbuję go ułagodzić. Przecież moim obowiązkiem jest służyć wszystkim ludziom!

\*\*\*

Spróbowałem to uczynić, lecz poniosłem całkowitą, upokarzającą klęskę. Jak już wspomniałem, moim zamiarem było wrócić na mostek, przeprosić kapitana, a następnie poruszyć kwestię regularnego odprawiania nabożeństwa. Z najwyższym trudem wracam pamięcią do okropnej sceny, która rozegrała się zaraz po tym, jak spróbowałem wprowadzić ten plan w życie. Odłożywszy pióro udałem się na mostek, gdzie ujrzałem jednego z oficerów stojącego przy kole sterowym obsługiwanym przez dwóch ludzi.

- Ładną mamy dzisiaj pogodę - zauważyłem uchylwszy grzecznie kapelusza.

Oficer nic nie odpowiedział, ale nie to było najgorsze, w tylnej części mostka rozległ się przeraźliwy ryk:

- Panie Colley! Panie Colley, chodź no pan tutaj!

Szczerze mówiąc, nie takiego oczekiwałem zaproszenia. Nie spodobały mi się ani słowa, ani ton, jakim je wypowiedziano, lecz i tak okazały się one niczym w porównaniu z tym, co usłyszałem zbliżywszy się do kapitana.

- Panie Colley, dlaczego buntuje pan moich oficerów?

- B...buntuje, panie kapitanie?

- Właśnie tak!

- Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka...

- Jeśli tak, to pan ją popełnił. Czy wie pan, jakimi uprawnieniami dysponuje kapitan na statku, którym dowodzi?

- Bez wątplenia bardzo rozległymi, ale jako członek stanu duchownego...

- Tutaj jest pan pasażerem, panie Colley. Nikim mniej i nikim więcej. Niestety, w przeciwieństwie do pozostałych zachowuje się pan nieznośnie...

- Ależ, proszę pana!

- ...i wciąż pan przeszkadza. Nikt nie raczył mnie poinformować, iż zamierza pan odbyć z nami tę podróż, mimo że zazwyczaj wiem o każdej skrzyni lub beczce, jaka trafia pod pokład. Przypuszczałem jednak, że przynajmniej umie pan czytać...

- Czytać, panie kapitanie? Oczywiście, że umiem czytać!

- A jednak, pomimo jasno sformułowanego i wyraźnie napisanego regulaminu, zaraz po tym, jak odzyskał pan siły po chorobie, dwukrotnie usiłował pan wyprowadzić z

równowagi moich oficerów...

- Doprawdy nie wiem, o czym pan mówi! Niczego nie czytałem!

- Mówię o Regulaminie Pokładowym, szanowny panie, który jest wywieszony w doskonale widocznym miejscu w pobliżu kajut pasażerskich.

- Nie zauważyłem go.

- Bzdura. Ma pan przecież do dyspozycji służącego, który z pewnością pana o tym poinformował.

- Widocznie nie zwróciłem uwagi, ale...

- Pańska ignorancja nie stanowi żadnego usprawiedliwienia. Jeżeli chce pan cieszyć się taką samą swobodą, jak pozostali pasażerowie zakwaterowani w tej części statku - a może nie życzy pan sobie przebywać wśród dam i dżentelmenów? - proszę natychmiast pójść i zapoznać się z regulaminem.

- Mam chyba prawo...

- Proszę go przeczytać, a jak już pan przeczyta, proszę nauczyć się go na pamięć.

- No wie pan, kapitanie! Traktuje mnie pan jak ucznia!

- Traktuję pana jak ucznia, gdyż tak właśnie uznałem za stosowne. Jeżeli zechcę, mogę także zakuć pana w kajdany, wychłostać przy głównym maszcie, albo nawet powiesić na rei.

- Wypraszam sobie!

- Czyżby kwestionował pan moją władzę? Dopiero teraz wreszcie zrozumiałem: kapitan,

podobnie jak mój nieszczęsny przyjaciel Josh (pamiętasz chyba Josha?) był po prostu szalony. Josh na pozór miał wszystkie klepki w porządku; jego szaleństwo ujawniało się tylko wtedy, kiedy chodziło o żaby. Kapitan Anderson także miał swoją manię, moje nieszczęście zaś polegało na tym, że właśnie mnie postanowił upokorzyć, co mu się zresztą doskonale udało. W tej sytuacji mogłem jedynie starać się go udobruchać, bo szalony czy nie, z pewnością byłby w stanie zrealizować przynajmniej część swoich gróźb. Odparłem więc najuprzejmiej jak potrafiłem, choć obawiam się, że mocno drżącym głosem:

- Zrobię, jak pan sobie życzy, kapitanie.

- Po prostu wypełni pan moje polecenie. - Odwróciłem się i odszedłem w milczeniu. Jak tylko się oddaliłem, poczułem, że ciało oblewa mi lodowaty pot, twarz natomiast jest zdumiewająco gorąca. Starałem się nie patrzeć nikomu w oczy, gdyż po policzkach płynęły mi łzy - chciałbym napisać, że łzy męskiego gniewu, lecz prawda przedstawia się w ten sposób, że były to łzy wstydu. Na lądzie człowiek otrzymuje karę w imieniu Króla, którego

nie widzi, na morzu zaś jest karany przez kapitana, którego ma obok siebie, przez co jego męska duma doznaje uszczerbku. Mamy tu do czynienia z rodzajem współzawodnictwa, w jakim mężczyźni... Ale znowu odbiegam od tematu. Powiem tylko, że odnalazłem - nie, raczej wymacałem drogę powrotną do kajuty, a kiedy wreszcie jako tako przejrzałem na oczy i uspokoiłem skołatane nerwy, wyszedłem na korytarz, by poszukać Regulaminu Pokładowego. Istotnie, wisiał na ścianie w pobliżu mojej kabiny! Dopiero teraz przypomniałem sobie, że wstrząsany konwulsjami morskiej choroby rzeczywiście słyszałem od Phillipsa o jakimś regulaminie, ale tylko ci, co choć raz zostali pokonani przez tę słabość zdają sobie sprawę, jak niewielkie wrażenie robią wówczas choćby najpoważniejsze słowa. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że Regulamin istotnie był wywieszony w oszklonej gablocie, ja natomiast (jeśli sądzić mnie według najsurowszej z miar) wykazałem się gapiostwem i opieszałością. Co prawda na wewnętrznej stronie szyby skropiło się nieco wilgoci, ale tekst dał się odczytać bez najmniejszego problemu. Przytaczam jego najważniejszy fragment:

\*\*\*

„Pod żadnym pozorem pasażerom nie wolno nagabywać oficerów spełniających swoje obowiązki. Szczególnie odnosi się to do oficerów pełniących wachtę, chyba że któryś z nich, albo jego dowódca, pierwszy nawiąże rozmowę”.

\*\*\*

Znalazłem się w iście beznadziejnej sytuacji. Za pierwszym razem „oficerem pełniącym wachtę” był zapewne pierwszy oficer, który stał na mostku obok kapitana, za drugim natomiast ten nadzorujący marynarzy przy kole sterowym. Moje przewinienie, choć nieumyślne, było jak najbardziej realne. Mimo iż kapitan Anderson z pewnością nie zachował się wobec mnie tak, jak wymagają tego dobre obyczaje (i wiele wskazywało na to, że nie doczekam się, by kiedykolwiek zaczął ich przestrzegać), to jednak należały mu się ode mnie jakieś przeprosiny, skierowane także pod adresem oficerów, którym nieświadomie przeszkodziłem w wykonywaniu obowiązków. Poza tym, od kogóż wymagać wyrozumiałości, jeśli nie od kapłana? Szybko i bez trudu zapamiętałem najistotniejsze słowa, po czym natychmiast wróciłem na część statku określaną przez ludzi morza mianem „mostku”. Kapitan Anderson nadal przechadzał się w tę i z powrotem, porucznik Summers stał przy kole sterowym, pogrążony w rozmowie z jakimś oficerem, a dwaj marynarze utrzymywali nasz potężny statek na właściwym kursie. Pan Summers wskazał jedną z

niezliczonych lin tworzących nad naszymi głowami istną pajęczynę, na co towarzyszący dwóm oficerom młody dżentelmen dotknął kapelusza i zwinnie zbiegł po tych samych schodkach, po których ja przed chwilą się wspiałem. Podeszedłem od tyłu do kapitana, zbliżającego się właśnie do końca pokładu, i zatrzymałem się, czekając, aż się odwróci.

Uczył to, po czym przeszedł przede mną!

Żałuję, że tego naprawdę nie uczynił! Przenośnia, którą się posłużyłem, nie w pełni oddaje prawdę. Zapewne był głęboko pogrążony w myślach, gdyż nie zdążył się zatrzymać, tylko uderzył mnie w bok rozkołysanym ramieniem, zaraz potem zaś pchnął pierś, w wyniku czego zatoczyłem się do tyłu, potknąłem i rozciągnąłem jak długi na wyszorowanych do białości deskach!

Minęło trochę czasu, nim zdołałem nabrać tchu. Po gwałtownym zetknięciu z pokładem huczało mi w głowie, a kiedy podniosłem wzrok, przez chwilę byłbym gotów przysiąc, iż mam przed sobą nie jednego, a dwóch kapitanów. Z pewnym opóźnieniem uświadomiłem sobie, że ktoś na mnie krzyczy.

- Wstawaj pan! Wstawaj pan natychmiast! Kiedy wreszcie skończy pan z tymi bezrozumnymi impertynencjami?!

Zgarnąłem z pokładu perukę i kapelusz, po czym chwiejnie stanąłem na nogi. Byłem jeszcze nazbyt oszołomiony, by odeprzeć niesłuszne zarzuty.

- Panie kapitanie... Sam pan poprosił, żebym...

- Ja o nic pana nie prosiłem, tylko wydałem panu polecenie!

- Chciałem przeprosić...

- Nie zależy mi na przeprosinach. Nie jesteśmy na lądzie, tylko na morzu. Pańskie przeprosiny nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

- Niemniej jednak...

Umilkłem, przerażony dzikim wyrazem jego oczu oraz widokiem nabiegłej krwią twarzy. Przez chwilę byłem gotów uwierzyć, że zaraz mnie zaatakuje, gdyż podniósł zaciśniętą pięść; przyznam, iż cofnąłem się o dwa lub trzy kroki, ale kapitan opuścił pięść tylko po to, by uderzyć nią w dłoń.

- Czy pańskim zdaniem każdy szczer lądowy ma prawo niepokoić mnie na mostku kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota? Pytam pana! Ma prawo, czy nie ma?

- Chciałem przeprosić... złożyć wyrazy ubolewania...

- Znacznie bardziej niż pańskie zamiary obchodzi mnie pańska osoba, która wykazuje nadzwyczajną skłonność do pojawiania się w niewłaściwych miejscach akurat wtedy, kiedy jest tam najmniej pożądana! Czy przynajmniej wykonał pan mój rozkaz i nauczył się na



pamięć regulaminu?

Wydawało mi się, że mam opuchniętą twarz, więc zapewne musiała być tak samo czerwona jak jego. Pociłem się coraz obficie, wciąż dzwoniło mi w uszach... Obaj oficerowie z nadzwyczajną uwagą obserwowali horyzont, natomiast marynarze stojący przy kole przypominali posągi odlane z brązu. Zdaje się, że załkałem rozpaczliwie. Słowa, które jeszcze nie tak dawno zapamiętałem bez najmniejszych problemów, teraz uleciały mi z głowy. Do oczu nabiegły mi łzy, w związku z czym wszystko widziałem jak przez mgłę.

- No, słucham! - warknął kapitan, jak mi się wówczas wydawało (i jak nadal mam nadzieję), odrobinę mniej nieprzyjaznym tonem. - Czego pan się nauczył?

- Jedną chwilkę... Za momencik... Na pewno sobie przypomnę...

- Wobec tego proszę przyjść, kiedy to się panu uda. Rozumie pan?

Chyba coś odpowiedziałem, gdyż zaraz potem zakończył naszą rozmowę przeraźliwym rykiem:

- Na co pan jeszcze czekasz?!

Wreszcie uciekłem stamtąd. Po drodze dostrzegłem, jak w korytarzu znikają pospiesznie pan Talbot oraz dwaj młodzi dżentelmeni, trzej dodatkowi świadkowie mego upokorzenia. Potykając się zbiegłem po schodach, to znaczy drabinach, wpadłem do kajuty i rzuciłem się na koję. Drżałem na całym ciele a zęby klekotały mi jak w ataku febry. Prawie nie mogłem oddychać. Ani chybi doznałbym jakiegoś udaru albo ataku, który zakończyłby moje życie, lub przynajmniej odebrał zmysły, gdybym nie usłyszał dobiegającego zza drzwi, donośnego głosu pana Talbota, łajającego jednego z młodych dżentelmenów mniej więcej tymi słowami: „Ejże, panie aspirancie, dżentelmen nigdy nie okazuje publicznie radości, gdy widzi upokorzenie innego dżentelmena!” Z moich oczu trysnęły łzy, lecz były to łzy ozdrowieńczej radości. Niech Bóg błogosławi pana Talbota! A więc jednak na tym statku znalazł się jeden prawdziwy dżentelmen! Ufam, iż jeszcze przed końcem podróży będę mógł nazwać go przyjacielem i wyznać, jak wiele znaczyła dla mnie troska, którą mi okazał! Zsunąwszy się z koi ukląknę przy niej, by żarliwą modlitwą podziękować za jego szlachetność, zrozumienie oraz miłosierdzie. Potem pomodliłem się jeszcze za nas obu, a wreszcie usiadłem przy składanym stole, by z nieco jaśniejszą głową i lżejszym sercem spróbować zastanowić się nad moją sytuacją.

Bez względu na to, jak długo myślałem, jedno nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości. Kiedy po raz pierwszy doszedłem do tej konkluzji, na nowo ogarnęła mnie panika. Wygląda na to... Ba, jestem przekonany, że stałem się obiektem bezrozumnej nienawiści kapitana! Ze szczególnym przerażeniem wspominałem chwilę, kiedy „przeszedł

przeze mnie”. Teraz stało się dla mnie całkowicie jasne, iż nie był to żaden wypadek! Uderzył mnie ramieniem nie dlatego, że tak się nieszczęśliwie złożyło, ale dlatego, że tego chciał, a zaraz potem pchnął mnie piersią, co spowodowało mój upadek. Kapitan Anderson celowo powalił mnie na deski pokładu, najprawdopodobniej jest więc przysięgłym wrogiem religii! Ach, cóż za potwór!

Płacz oczyścił moje myśli i choć wyczerpany, byłem daleki od tego, by uznać się za pokonanego. Kapitan przede wszystkim usiłował uwłaczyć mojej godności jako duchownego, ale tylko ja sam mogłem splamić swój honor. Nie był również w stanie pohańbić mnie jako człowieka, gdyż nie popełniłem żadnego odrażającego czynu ani przestępstwa, nie licząc tego, że przez zwykłe niedopatrzenie nie przeczytałem Regulaminu Pokładowego, za co w znacznie większym stopniu należało winić chorobę, która mnie zmoła. Istotnie, zachowywałem się nie tak, jak nakazują przyjęte zwyczaje, stając się przez to obiektem pogardy i drwin oficerów oraz pasażerów, z wyjątkiem pana Talbota, ale przecież - myślę o tym z największą pokorą - dokładnie taki sam los stał się udziałem naszego Pana! Pojąłem, że nad wyraz nieprzyjemna sytuacja, w jakiej się znalazłem, miała stanowić dla mnie naukę! Któż inny przecież jak nie On odegna precz możnych, a wywyższy cichych i pokornego serca? Pokorny i cichy byłem zawsze, jeszcze zanim uwzięły się na mnie brutalne moce, które na pokładzie tego statku sprawują władzę absolutną, a więc, moja droga siostró...

Dziwna rzecz: piszę o tak przykrych sprawach, że właściwie powinienem teraz cofnąć się o kilka stron i zmienić co drugie słowo, aby nie sprawić Ci bólu, a jednak nie czynię tego, bo...

Jeżeli nie do Ciebie piszę, ukochana siostró, to do kogo? Czyżby do CIEBIE? Czy to możliwe, że tak jak TWOI dawni święci (szczególnie święty Augustyn), zwracam się bezpośrednio do CIEBIE, NAJLITOŚCIWSZEGO ZBAWICIELA?

Długo byłem pogrążony w modlitwie, gdyż ta myśl rzuciła mnie na kolana, sprawiając mi jednocześnie ogromny ból i ulgę. Po ciężkiej walce stoczonej z samym sobą zdołałem jednak odepchnąć ów pomysł jako nazbyt piękny. Nie dotknięcie nawet, bo przecież ich nie dotknąłem, ale jedno spojrzenie posłane w kierunku TWYCH STÓP przywróciło mi siły i rozjaśniło w głowie. Usiadłem na posłaniu i ponownie pogrążyłem się w rozważaniach.

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że powinienem uczynić jedną z dwóch rzeczy: albo do końca podróży trzymać się z daleka od mostku, naturalnie czyniąc to z godnością właściwą memu stanowi, albo zjawić się tam niebawem, wyrecytować przed kapitanem cały tekst Regulaminu, a następnie, w obecności oficerów i pasażerów, rzucić lodowatym tonem: „Myślę, panie kapitanie, że nie będę pana więcej niepokoił” i wycofać się, po czym nigdy,

pod żadnym pozorem nie postawić stopy na tej części pokładu - chyba że wezwałby mnie sam kapitan, aby mnie przeprosić, ale w to zupełnie nie wierzę. Zacząłem nawet układać krótką mowę, jaką zamierzałem go uraczyć, lecz dość szybko uznałem to za stratę czasu, ponieważ wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie pozwoliłby mi jej wygłosić, będąc mistrzem w prowadzeniu brutalnych utarczek słownych. Lepiej zatem zastosować pierwsze rozwiązanie i nie dać kapitanowi okazji do pastwienia się nade mną.

Muszę wyznać, że kiedy tylko podjąłem decyzję, poczułem, jak ogarnia mnie ogromna ulga. Z pomocą Opatrzności być może uda mi się aż do końca podróży uniknąć spotkania z nielitościwym tyranem! Jednak moim pierwszym obowiązkiem jako chrześcijanina było przebaczyć mu, choć nie ulega wątpliwości, że jest potworem. Zdołałem to uczynić, aczkolwiek dopiero po długotrwałych modłach oraz rozmyślaniach o strasliwym losie, jaki go czeka, kiedy wreszcie stanie przed Tronem. Przebaczyłem mu, i pomodliłem się za nas obu.

Potem, niczym Robinson Crusoe, jeśli miałbym posługiwać się porównaniami ze świeckiej literatury, począłem w myślach wyznaczać granice mego królestwa - tak właśnie je nazwałem! Obejmuje ono swym zasięgiem moją kajutę, korytarz, salon pasażerski (gdzie mogłem pożywiać się tak często, jak tylko miałem ochotę, naturalnie pod warunkiem, że przemogę wstyd wobec tych wszystkich dam i dżentelmenów, którzy byli świadkami mego upokorzenia), odosobnione miejsca służące zaspokajaniu wstydlivych potrzeb, a także pokład, czy raczej jego część zwaną przez Phillipsa śródkręciem, aż do białej linii oddzielającej nas od gminu, czyli marynarzy i emigrantów. Tam właśnie, na śródkręciu, będę zażywał spacerów podczas lepszej pogody, rozmawiał z lepiej usposobionymi dżentelmenami - i damami! - oraz, przy nadarzającej się okazji, ugruntuję i pogłębię przyjaźń z panem Talbotem - wiem, że on także zwykł się tam pojawiać. Rzecz jasna, w czasie deszczu lub sztormu pozostanie mi do dyspozycji jedynie korytarz i kajuta, ale nawet gdybym już do końca podróży miał nie opuszczać tych pomieszczeń, mogłem spędzić czas dość wygodnie, unikając tego, co najgorsze, czyli melancholii prowadzącej nieuchronnie do szaleństwa. Tak, z pewnością wszystko skończy się dobrze.

Doszedłszy do tego wniosku poczułem zadowolenie tak wielkie, jakiego z pewnością nie dane mi było zaznać od chwili, kiedy rozstałem się z tak drogimi memu sercu krajobrazami. Bezzwłocznie wyruszyłem na obchód mojej wyspy - mojego królestwa! - zabawiając się rozmyślaniami o tych, którym taki pomysł mógłby dać przynajmniej namiastkę poczucia wolności; to znaczy ludziach, co walcząc na przestrzeni historii w słusznej sprawie, zostali uwięzieni. Mimo iż, w pewnym sensie, musiałem abdykować z tej

części statku, która należała mi się choćby ze względu na moją przynależność do stanu duchownego, a tym samym pozycję, jaką zajmuję w społeczeństwie, to wcale nie rozpaczałem z tego powodu, gdyż pod wieloma względami śródokręcie bardziej mi się podoba od wyniosłej rufy, szczególnie po tym, jak ujrzałem pana Talbota, który nie tylko zbliżył się do białej linii, ale przekroczył ją, by wejść między prostych ludzi, co świadczy o jego wrodzonej szlachetności!

\*\*\*

W czasie, jaki minął od napisania powyższych słów, udało mi się zacieśnić znajomość z panem Talbotem! Mało tego: inicjatywa wyszła nie z mojej, lecz z jego strony! Zaiste, odkryłem w nim wielkiego przyjaciela religii. Wyobraź sobie, moja droga siostrzo, że przyszedł do mojej kabiny i poprosił w przyjazny, otwarty sposób, bym zechciał wieczorem odprawić krótkie nabożeństwo dla pasażerów i załogi statku! Uczyniłem to w salonie. Z przykrością muszę przyznać, iż większość obecnych nie zwracała większej uwagi na liturgię, spośród oficerów zaś zjawił się tylko jeden, więc kierowałem moje słowa głównie do tych serc, o których wiem, że chętnie przyjmą nauki Kościoła, to jest do pewnej młodej damy nadzwyczajnej pobożności i urody oraz do samego pana Talbota, swoim zaangażowaniem przynoszącego chwałę całej klasie, do której należy. Gdyby tak wszyscy szlachetnie urodzeni Anglicy wykazywali choćby połowę jego zapału!

\*\*\*

Albo to wpływ kapitana Andersona, albo rezultat nadzwyczajnej delikatności i dyskrecji, ale kiedy podczas moich przechadzek po śródokręciu kłaniam się damom i dżentelmenom przebywającym na rufie, większość z nich udaje, że mnie nie widzi. Prawdę mówiąc, przez minione trzy dni nie bardzo miałem okazję upewnić się, czy tak jest naprawdę, gdyż ani razu nie wyszedłem na spacer, ponieważ śródokręcie niemal bez przerwy jest zalewane strugami wody. Mimo to czuję się znacznie lepiej niż poprzednio; stałem się prawdziwym żeglarzem, w przeciwieństwie do pana Talbota, który rozchorował się na dobre! Zapytałem Phillipsa, co dolega temu miłemu dżentelmenowi, on zaś odparł z nie ukrywanym sarkazmem: „Wygląda na to, że zaszkodziło mu jedzenie!” Odważyłem się zakraść cichcem pod drzwi jego kajuty i zastukać delikatnie, a ponieważ nie otrzymałem odpowiedzi, zebrałem w sobie całą odwagę i wszedłem do środka. Młody człowiek leżał na koi pogrążony we śnie, z tygodniowym zarostem na brodzie i policzkach. Doprawdy, nawet nie śmiem teraz napisać, jakie wrażenie wywarł na mnie widok jego umęczonej twarzy! Było to niemal oblicze Tego,

Który cierpiał za nas wszystkich! Kiedy pochyliłem się nad nim, ogarnięty współczuciem, owionął mnie jego oddech przesycony - jestem tego pewien! - słodkim zapachem świętości! Nie uważałem się za godnego, by dotknąć jego ust, więc tylko ucałowałem rękę leżącą bezwładnie na kocu. Tak wielka jest potęga dobra, że opuszczając kajutę pana Talbota czułem się niemal tak, jakbym wychodził ze świątyni!

Pogoda nieco się poprawiła, w związku z czym znowu zacząłem przechadzać się po śródokręciu, damy i dżentelmeni zaś spacerują po pokładzie rufowym. Stałem się już tak znakomitym żeglarzem, że pojawiłem się na świeżym powietrzu jako pierwszy spośród pasażerów!

W mojej kabynie jest wilgotno i duszno. Nic dziwnego, przecież zbliżamy się do najgorętszych rejonów świata. Siedzę teraz przy składanym stoliku odziany jedynie w bieliznę i piszę ten list - jeśli to rzeczywiście ma być list! - który stał się już niemal moim najlepszym przyjacielem. Wyznam ze wstydem, że odkąd zostałem złajany przez kapitana, nie mam śmiałości zbliżyć się do którejkolwiek z dam. Słyszałem, że pan Talbot wraca do sił, a ostatnio nawet pojawił się na pokładzie, ale (przypuszczalnie dla okazania szacunku, a może i po to, by nie stawiać mnie w kłopotliwej sytuacji) trzyma się z dala ode mnie.

\*\*\*

Właśnie wróciłem z kolejnego spaceru po śródokręciu. Było bardzo przyjemnie, gdyż prawie nie docierały tam podmuchy wiatru. Podczas tej, a także poprzednich przechadzek, mogłem obserwować z bliska naszych dzielnych żeglarzy, tak jak chyba do tej pory nie miał okazji tego czynić nikt nie związany na stałe z morzem. Ci dobrzy ludzie kierują statkiem, ciągną liny oraz wspinają się wysoko na maszty, gdzie z narażeniem życia wyczyniają przedziwne rzeczy z żaglami. Pracują na okrągło przez całą dobę, dzięki czemu bez przerwy podążamy naprzód, a także zajmują się czyszczeniem, skrobaniem i malowaniem oraz tworzą zdumiewające przedmioty ze zwykłych lin. Na łądzie widywałem drewno rzeźbione na podobieństwo liny, tutaj natomiast widzę liny rzeźbione na podobieństwo drewna! Niektórzy naprawdę rzeźbią w drewnie, skorupach orzechów kokosowych lub kości, przypuszczalnie słoniowej, inni natomiast robią modele statków, które później możemy podziwiać na wystawach sklepów lub w barach i tawernach położonych niedaleko portu. Z całą pewnością nie można tym ludziom odmówić nadzwyczajnej zręczności.

Wszystko to obserwuję w spokoju ducha, stojąc u podnóża wysokiej drewnianej ściany ze schodami prowadzącymi tam, gdzie przebywają uprzywilejowani pasażerowie. Tam, na górze, zazwyczaj panuje cisza, zakłócana od czasu do czasu szmerem rozmowy lub

rzucenym donośnym głosem rozkazem, natomiast w przedniej części statku, za białą linią, ludzie śpiewają przy pracy, bawią się oraz tańczą jak dzieci przy dźwiękach skrzypiec, kiedy tylko znajdą ku temu sposobność. Chwilami można odnieść wrażenie, że są najbardziej niewinnymi istotami na świecie! Przyznam, iż po pewnym czasie ogarnęło mnie zdumienie. W przedniej części statku panuje niesłychany tłok: są tam żołnierze, sporo emigrantów, wśród których widać także wiele kobiet, najbardziej jednak zwracają na siebie uwagę właśnie marynarze. W zdecydowanej większości nie potrafią czytać ani pisać, nie dysponują taką wiedzą jak oficerowie, a jednak, mimo całej swej prostoty, zdołali stworzyć coś na kształt... Czy ja wiem, jak to nazwać? Chyba nie cywilizacji, bo przecież nie mają nic wspólnego z żadnym *dvitas*, raczej nie odrębnego społeczeństwa, bo przecież są w ścisły sposób podporządkowani oficerom, od których dzieli ich jeszcze kilka klas (jedna z nich to tak zwani „oficerowie patentowi”), mimo iż wśród nich samych z pewnością istnieje coś na kształt hierarchii społecznej. Kim więc właściwie są te istoty, tak wolne, a jednocześnie tak bardzo zniewolone? Są po prostu „ludźmi morza”, a ja dopiero teraz zaczynam rozumieć znaczenie tego terminu. Wielekroć widziałem, jak po skończeniu służby poklepują się po plecach lub obejmują ramionami, kiedy natomiast śpią na pokładzie, pierś jednego służy drugiemu za poduszkę! Siłą cementującą ich związek są zapewne niewinne przyjemności wypływające z przyjaźni (na razie, niestety, nie za bardzo mi znane), a także radość z faktu posiadania przy boku bratniej duszy, która, jak uczy nas Pismo Święte, przewyższa nawet tę, jaka staje się udziałem mężczyzny kochającego kobietę. Na podstawie obserwacji czynionych z mojego „królestwa” łatwo można by dojść do wniosku, iż pod wieloma względami życie w przedniej części statku jest prostsze, ponieważ nie rządzą nim sztywne zasady obowiązujące po drugiej stronie białej linii nakreślonej na wysokości grotmasztu (informację, że tak właśnie nazywa się ten maszt, zawdzięczam Phillipsowi.) Tak się jednak stało, że moje powołanie oraz awans społeczny, jaki w naturalny sposób stał się mym udziałem, zaprowadziły mnie tam, gdzie wcale nie miałem ochoty się znaleźć!

Od pewnego czasu znowu żeglujemy w paskudnej pogodzie; co prawda nie kołysze tak bardzo jak przedtem, ale większość dam i tak nie wychodzi z kabin, zresztą podobnie jak pan Talbot. Mój służący zapewnia mnie, że młody dżentelmen nie cierpi na chorobę morską, lecz do mych uszu dotarły przedziwne odgłosy wydobywające się zza drzwi zajmowanego przez niego pomieszczenia. Odważyłem się zaproponować mu pomoc duchową, lecz ku swemu zdumieniu, a także niepokojowi, otrzymałem odpowiedź, z której wynikało, iż ów nieszczęsny młody człowiek zmaga się ze swą duszą, pogrążony głęboko w modlitwie! Rzecz jasna, nie mam do niego pretensji, ale po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że

odgłosy te świadczyły o entuzjazmie, nie o cierpieniu! Wygląda na to, że pan Talbot, pomimo swego znakomitego pochodzenia i bez wątpienia starannego wykształcenia, padł ofiarą jednej z duchowych przypadłości, przeciwko którym Kościół nasz występuje z całą stanowczością. Koniecznie muszę mu pomóc! Uczynię to jednak dopiero wówczas, gdy dojdzie do siebie i znowu pojawi się wśród nas. Ataki żarliwej pobożności mogą poczynić większe spustoszenia niż gorączka, na którą cierpią często mieszkańcy tropików. Pan Talbot jest człowiekiem świeckim i brak mu doświadczenia w tych sprawach, z tym większą więc przyjemnością pomogę mu wrócić na drogę religijnego umiaru i skromności, będących, jeśli wolno mi się tak wyrazić, kamieniem węgielnym Kościoła anglikańskiego.

Wyszedł z kabiny! Unika mnie jednak, przypuszczalnie zawstydzony faktem, iż wiem o jego dewocyjnych zapędach. Na razie pozostawię sprawy ich własnemu biegowi, modląc się za niego i czekając, aż kolejne dni przybliżą nas wreszcie do wzajemnego zrozumienia. Dziś rano ukloniłem mu się z dala, kiedy zmierzał na rufę, lecz on udał, że mnie nie dostrzega. Szlachetny młody człowiek! On, który tak gorliwie spieszył innym z pomocą, jest zbyt dumny, by poprosić o nią dla siebie!

Spacerując po śródkręciu ponownie byłem świadkiem rytuału, który jednocześnie napętnia mnie bólem i podziwem. Na pokładzie stawia się beczułkę, marynarze zaś podchodzą kolejno, każdy podstawia kubek, a kiedy naczynie jest już napelnione, opróżnia je do dna, wykrzyknawszy uprzednio co sił w płucach: „Boże, błogosław króla!” Żałuję, że Jego Wysokość nie może tego zobaczyć. Naturalnie zdaję sobie sprawę, iż zawartość baryłki stanowi produkt szatana i w dalszym ciągu zdecydowanie bronię poglądu, że wśród niższych stanów powinno wprowadzić się całkowity zakaz spożywania mocnych trunków. Właściwie nawet piwo powoduje zbyt wielki zamęt w głowach ludzi z gminu, ale niech im tam!

Jednak tutaj, właśnie tutaj, u podnóża wystrzelającego w górę masztu, pod gorącym słońcem i w kompanii obnażonych do pasa, opalonych młodych ludzi o dłoniach i stopach stwardniałych od ciężkiej pracy, surowych, lecz szczerych twarzach osmaganych sztormowymi wiatrami wszystkich oceanów świata oraz obfitych, niesfornych kędziorach, co prawda nie zmieniłem stanowiska, ale w znacznej mierze je złagodziłem. Szczególnie obserwując jednego z marynarzy, prawdziwe dziecko Neptuna o szczupłych biodrach, ale szerokiego w barach, odniosłem wrażenie, iż zawartość zła w ognistym trunku zmienia się zależnie od tego, kto, gdzie i kiedy go używa. Ci młodzi ludzie, czy raczej niektórzy z nich, a szczególnie ten jeden, sprawiali wrażenie, jakby należeli do jakiegoś rodu gigantów. Przywołałem z pamięci legendę o Talosie, człowieku z brązu, którego wewnątrz wypełniał płynny ogień; zaświtała mi myśl, iż ognista ciecz rozlewana z beczułki (później dowiedziałem

się, że to rum), którą w odruchu błędnie pojętej łaskawości i dobroci dostarcza się na statki, staje się krwią tych półbogów, prezentujących się jak prawdziwi herosi! Niektórzy z obojętnością, a inni nawet z dumą nosili na grzbietach ślady świadczące o tym, że kiedyś próbowano nauczyć ich dyscypliny; mam wrażenie, iż dla wielu stanowiły one powód do dumy! Widziałem też takich (na pewno więcej niż kilku), co mieli na ciele zupełnie inne, honorowe blizny, po ranach zadanych kordelasem, pistoletową kulą, odłamkami kartacza albo granatu. Żaden nie był jednak poważnie okaleczony, a jeśli nawet, to w tak niewielkim stopniu - jednemu brakowało oka, drugiemu palca, jeszcze innemu ucha - iż ubytki te wcale ich nie szpeciły, a wręcz przeciwnie, zdobiły niczym ordery. Szczególnie jeden zwrócił mą uwagę: w myślach nazwałem go bohaterem! Otóż po lewej stronie szczerzej, otwartej twarzy miał cztery albo pięć białych szram, zupełnie jakby walczył - niczym Herkules! - z jakąś dziką bestią. (Jak zapewne pamiętasz, Herkules zabił straszliwego lwa, z którego łba sporządził sobie następnie hełm). Miał bose stopy, a jego nogi - rzecz jasna, cały czas mówię o moim bohaterze, nie tym z greckiej mitologii - nogi, jak powiadam, były wspaniale umięśnione i okryte spodniami przylegającymi do nich tak ciasno, jakby zostały namalowane. Ujęła mnie niewymuszona elegancja, z jaką opróżnił kubek i odstawił go na baryłkę. Zaraz potem dałem się nieco ponieść fantazji] dawno temu wyczytałem w jakimś historycznym dziele, że kiedy Mary, królowa Szkocji, przybyła do swego królestwa, została naturalnie podjęta wystawną ucztą, a skórę na szyi miała tak białą i delikatną, że gdy przełykała czerwone wino, było ono doskonale widoczne dla współbiesiadników! Scena ta wywarła ogromny wpływ na moją dziecięcą wyobraźnię. Jakże marzyłem o tym, by moja przyszła małżonka odznaczała się podobną, albo nawet jeszcze większą urodą - a oprócz tego, ma się rozumieć, dysponowała wszelkimi zaletami ducha i umysłu. Teraz jednak, pozostawiony przez pana Talbota samemu sobie, ja, władca królestwa składającego się kajuty, korytarza i śródkręcia, poczułem się zdetronizowany przez tego oto, nowego monarchę, ów młody człowiek o brązowym torsie, unoszący do ust puchar z płynnym ogniem (wydawało mi się, że kiedy otworzył usta, z jego gardła wyrwał się ryk wypełniający piekielne otchłanie i trysnęły płomienie!), nie mógł być nikim innym, jak właśnie królem. Bez żalu zrezygnowałem z pretensji do tronu i pragnąłem oddać mu cześć, a potem doprowadzić jego zbłąkaną duszę do naszego Zbawiciela, by złożyć ją na Ołtarzu Pańskim jako najpiękniejszy i najbogatszy dar, jaki można sobie wyobrazić! Kiedy odsunął się od baryłki, moje oczy podążyły za nim, ale, niestety, poszedł tam, dokąd ja nie mogłem się udać, mianowicie na dziób statku, a potem jeszcze dalej, po czwartym, leżącym niemal poziomo maszcie (jak wiesz, jego właściwa nazwa brzmi bukszpryt), gdzie znajduje się płatanina lin, łańcuchów, bomów oraz żagli.



Pomyślałem o starym dębie, na który Ty i ja wspinaliśmy się z mozołem] on jednak (to znaczy król), szybkim krokiem dotarł aż na sam koniec bukszprytu, zatrzymał się i spojrzął w dół, na morze. Jego muskularne ciało poruszało się z niewysłowionym wdziękiem, równoważąc niewielkie przechyły statku. Przez dłuższą chwilę stał jak posąg, trzymając się jedną ręką grubej liny, następnie zaś odwrócił się, cofnął tam, gdzie drzewce bukszprytu jest nieco szersze i ułożył się, jakby to było łóżko! Zaiste, trudno wyobrazić sobie wspanialszą wolność od tej, jaką cieszy się ten młodzieniec, przemierzający świat wśród gałęzi jednego z „pływających drzew” Jego Wysokości! Leżał tam, niczym udzielny władca, w koronie ze złocistych kędziorów... Ale chyba już wystarczy.

\*\*\*

Weszliśmy w pas ciszy. Pan Talbot nadal mnie unika. Niedawno dokonał obchodu całego statku, zapuszczając się w jego najgłębsze zakamarki, jakby szukał jakiegoś odosobnionego miejsca - być może po to, by w spokoju oddawać się dewocyjnym praktykom. Obawiam się, iż moja próba interwencji nastąpiła nie w porę i uczyniła więcej złego niż dobrego. Modłę się o uzdrowienie jego duszy, bo cóż innego mi pozostaje?

Stoimy bez ruchu. Morze przypomina wypolerowaną powierzchnię stołu. Zamiast nieba jest gorąca biel otaczająca nas ze wszystkich stron, która sięga nawet poniżej linii horyzontu, ten natomiast zdaje się być znacznie bliżej niż w istocie. Woda ma barwę jasnego, lśniącego błękitu, a od czasu do czasu jakaś żyjąca w głębinach istota zakłóca ciszę i mąci spokój, wyskakując nad gładką jak szkło taflę wody. Czasem, nie wiedzieć czemu, bez żadnego widocznego powodu przebiegają przez nią leciutkie zmarszczki, jakby była skórą żywego stworzenia, potwora wielokroć przewyższającego rozmiarami samego Lewiatana. Nikt, kto przez całe życie nie opuszczał naszej uroczej doliny, nie potrafi wyobrazić sobie tego upału i duchoty. Z wody otaczającej bezpośrednio kadłub statku unoszą się cuchnące wyziewy; nie wydaje mi się, bym w którejkolwiek z podróznich relacji napotkał wzmiankę o tym zjawisku. Wczoraj rano zerwał się lekki wiatr, lecz szybko ucichł. Na pokładzie panuje cisza, toteż dźwięk okrętowego dzwonu wydaje się nienaturalnie ostry i donośny. Woda wokół statku jest już tak bardzo zanieczyszczona, że odór stał się wręcz nie do zniesienia. Spuszczono więc szalupy, które odholowały nas na pewną odległość, ale jeśli wreszcie nie zacznie wiać, wkrótce i tu będzie to samo. Przebywając w kajucie mam na sobie tylko koszulę i bryczesy, a i tak tylko z trudem udaje mi się wytrzymać. Pozostali pasażerowie zapewne czują się podobnie, leżąc na kojach i czekając na zmianę pogody, i tylko pan Talbot jest bez przerwy w ruchu, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Nieszczęsny młody człowiek! Oby dobry Bóg zesłał mu ukojenie! Próbowałem się do niego raz zbliżyć, ale on ukłonił mi się sztywno z daleka i pospiesznie odszedł. Jeszcze nie czas.

\*\*\*

Jakże trudne, ba, prawie niemożliwe jest dochowanie wierności zasadom! Wymaga to bezustannej czujności, ale nawet wówczas nie można być pewnym... Moja droga siostrze, Ty, ja i każda chrześcijańska dusza musimy bez przerwy odwoływać się do Boskiej opieki! Doszło do poważnej awantury i to bynajmniej nie wśród załogi ani ubogich emigrantów, ale tu, na rufie, wśród dżentelmenów. Co ja mówię! Wśród samych oficerów!

Było to tak: siedziałem właśnie przy moim składanym stoliku i ostrzyłem pióro, kiedy z korytarza doszły do mych uszu odgłosy szamotaniny, a potem męskie głosy, najpierw przyciszone, stopniowo jednak coraz donośniejsze.

- Deverel, ty psie! Widziałem, jak wychodziłeś z kajuty!
- Nie twój interes, Cumbershum!
- Tylko ci się tak wydaje! Dawaj mi to!
- Nic z tego, padalcu! Zaraz przeczytam, co tam jest napisane!

Harmider przybierał na sile, z ust obu dżentelmenów padały coraz mocniejsze słowa. Chociaż byłem tylko w koszuli i spodniach, bez pończoch ani peruki, nie mogłem dopuścić, aby wymknęła mi się taka okazja, więc niewiele myśląc zerwałem się na nogi i wybiegłem na korytarz, gdzie ujrzałem dwóch oficerów wrywających sobie z rąk jakieś pismo.

- Panowie! - wykrzyknąłem. - Panowie! Chwyciłem za ramię tego, który stał bliżej mnie.

Zaprzestali walki i odwrócili się w moją stronę.

- Kto to jest, do diabła?
- Zdaje się, że ten pastor. Odejdź pan, proszę, i zajmij się swoimi sprawami.
- Właśnie się nimi zajmuję, przyjaciele. W imię chrześcijańskiego miłosierdzia wzywam was, byście natychmiast zaprzestali kłótni, powściągnęli języki i podali sobie rękę na zgodę!

Porucznik Deverel wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami.

- A niech mnie licho!

Oficer nazwiskiem Cumbershum (również porucznik) tak gwałtownie wyciągnął rękę, mierząc w moją twarz wskazującym palcem, że gdybym się nie cofnął, ani chybi wydlubałby mi oko.

- Czy można wiedzieć, kto pozwolił panu wygłaszać kazania na pokładzie tego statku?

- Dobrze mówisz, Cumbershum.

- Zostaw to mnie, Deverel. I co, pastarze? A przede wszystkim, jak nam udowodnisz, że naprawdę nim jesteś?

- U...udowodnię?

- Do cholery, człowieku! Pokaż nam swój patent!

- Jaki patent?

- Zezwolenie, kolego! Zezwolenie na nauczanie!

Zupełnie zbił mnie tym z tropu. Tak się niefortunnie złożyło - piszę o tym, droga siostrzo, ku przestrodze wszystkich młodych duchownych, którzy w przyszłości mogliby wyruszyć w taką samą podróż - iż otrzymane od księdza biskupa zezwolenie złożyłem wraz z innymi dokumentami w kufrze, nie przypuszczając, żeby ktokolwiek chciał je oglądać podczas naszej żeglugi. Kufer ten, wraz z bagażami pozostałych pasażerów, trafił gdzieś na samo dno tego ogromnego statku. Usiłowałem wyjaśnić to oficerom, lecz pan Deverel nie pozwolił mi dojść do słowa.

- Wracaj pan do swojej kajuty, bo jak nie, to pójdziemy do kapitana!

Przyznam, iż groźba ta sprawiła, że z największym pośpiechem wykonałem polecenie. Przez pewien czas łudziłem się nadzieją, że mimo wszystko zdołałem załagodzić ich spór, ponieważ z korytarza dobiegł do mnie głośny wybuch śmiechu, lecz szybko doszedłem do wniosku, iż ci gruboskórni (by użyć najłagodniejszego epitetu) ludzie raczej szydzą z mego niekompletnego ubioru, w jakim pojawiłem się w korytarzu, niż dają wyraz radości w związku z tym, że znowu zapanowała między nimi zgoda. Ponad wszelką wątpliwość popełniłem błąd, pokazując się publicznie w stroju nie licującym z moim stanowiskiem i mocno nie przystającym do uświęconych tradycją obyczajów. Ubrałem się pospiesznie, nie zapominając nawet o kołnierzyku, choć moje ociekające potem ciało protestowało gwałtownie przeciwko tej torturze. Wielka szkoda, że sutanna również trafiła do luku! Nareszcie, w stroju świadczącym ponad wszelką wątpliwość o moim duchowym powołaniu, wyszedłem z kajuty, ale, rzecz jasna, po obu oficerach nie został nawet najmniejszy ślad.

Już po kilku chwilach dosłownie ociekałem potem. Udałem się na pokład, lecz nie znalazłem tam żadnej ulgi, więc wróciłem do kabiny z mocnym postanowieniem, żeby ulżyć moim cierpieniom; niestety, nie miałem pojęcia, jak to uczynić. Gdybym zrezygnował ze stroju świadczącego o pełnionej przeze mnie funkcji, ktoś mógłby wziąć mnie za emigranta! Wykluczono mnie z towarzystwa dam i dżentelmenów nie dając jednocześnie sposobności nawiązania kontaktów z ludźmi pośledniejszego stanu, a siedzieć samemu w przeraźliwie dusznej kajucie, w stroju nadającym się raczej do wędrowek po lesistej, chłodnej okolicy,

wydawało mi się całkowitym szaleństwem. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł wywodzący się raczej z lektur świeckich ksiązek, niż z chrześcijańskiej tradycji; wziąłem do ręki Pismo Święte, po czym, nie zastanawiając się nad tym, co robię, otworzyłem je na chybił-trafił i wskazałem jeden z ustępów, aby posłużyć się nim jako wyrocznią. (Do tej pory zawsze miałem poważne wątpliwości co do tej metody, nawet jeśli stosowali ją najświętsi słudzy Pana). Po chwili przekonałem się, że mój palec wskazuje fragment Drugiej Księgi Kronik: „A całą ludność, pozostałą z Chetytów, Amorytów, Peryzzytów, Chiwwitów, Jebusytów, która nie pochodzi z Izraela...” W pierwszym odruchu odniosłem te słowa do kapitana Andersona oraz poruczników Deverela i Cumbershuma, po czym padłem na kolana, błagając Pana o wybaczenie.

Wspominam o tym trywialnym wykroczeniu przede wszystkim po to, by podkreślić niezwykłość życia oraz własnych reakcji w tej odległej części świata, wśród obcych ludzi, na przedziwnej konstrukcji z angielskiego dębu, która stanowi moje więzienie, niosąc mnie po bezkresnych przestrzeniach. (Rzecz jasna, zdaję sobie sprawę ze sprzeczności: jakże to możliwe, by więzienie niosło nas dokądkolwiek, a tym bardziej po niczym nie ograniczonych obszarach, stanowiących kwintesencję wolności? Jednak użyłem tych słów w pełni świadomie, pragnąc w ten sposób dostarczyć Ci nieco rozrywki).

Wracając do rzeczy: po przerwie poświęconej modlitwie ponownie zacząłem się zastanawiać, co powinienem uczynić, aby w przyszłości obcym wystarczył jeden rzut oka dla upewnienia się co do mojego uświęconego posłannictwa. Zdjąłem z siebie wszystko oprócz spodni i koszuli, po czym obejrzałem się dokładnie w niewielkim lusterku, którego używam podczas golenia. Przyznam, iż nastroczyło mi to nieco problemów. Czy pamiętasz tę dziurę po sęku w ścianie stodoły, przez którą w dzieciństwie szpiegowaliśmy Jonathana, naszą biedną, czcigodną matkę oraz pana Jolly'ego, rządcę jego lordowskiej mości? Kiedy znudziło nam się zwykle oglądanie ludzi, zabawialiśmy się odsuwając oko od dziury i przybliżając je do niej, aby sprawdzić, jak duży wycinek świata zewnętrznego uda nam się przez nią zobaczyć. Przekomarzaliśmy się też, do kogo należy to wszystko, co widzieliśmy, od siedmioakrowego pola począwszy, na szczycie wzgórza skończywszy. Tak samo ja teraz postępowalem z lusterkiem, to odsuwając je, to znów zbliżając, przekrzywiając je pod wszelkimi możliwymi kątami i podobnie czyniąc z moją głową. Cóż ja jednak robię? Ja, osoba duchowna, udzielam wykładu przedstawicielce płci pięknej na temat zasad korzystania ze zwierciadła oraz podstaw sztuki samouwielbienia, jeśli wolno mi się tak wyrazić! W moim przypadku, rzecz jasna, chodziło raczej o zdziwienie i zaskoczenie, niż o uwielbienie. Zaiste, ujrzałem wiele rzeczy budzących zdumienie, niedużo natomiast takich, które mógłbym

zaaprobować. Wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, jak wielkie spustoszenia może poczynić na męskiej twarzy słońce, jeśli pozwolić jego padającym niemal pionowo promieniom docierać bez żadnych ograniczeń do skóry.

Jak dobrze wiesz, moje włosy, choć jasne, są nieokreślonego koloru. Teraz przekonałem się, że strzygąc mnie w przeddzień naszego rozstania zostawiłaś je z jednej strony wyraźnie dłuższe - bez wątpienia stało się tak za sprawą i mojego, i twojego zdenerwowania. Z upływem czasu różnica ta chyba powiększyła się, zamiast zmaleć, w wyniku czego moja głowa zaczęła przypominać ściernisko pozostałe po nierównej kośbie, a że podczas choroby nie miałem sił ani ochoty zająć się goleniem, później zaś bałem się do tego zabrać ze względu na gwałtowne kołysanie statku (oraz nie chcąc drażnić poparzonej przez słońce skóry), dolną część mej twarzy pokrył niezbyt gęsty, ale za to także nierówny zarost. Między tymi dwoma ścierniskami pozostał obszar odsłoniętej skóry, którym niepodzielnie zawładnął okrutny król Słońce. Bładoróżowa cera kończyła się mniej więcej w połowie czoła, czyli tam, dokąd sięgała peruka. Reszta czoła była koloru dojrzałej śliwki, w jednym miejscu tak ciemna, że prawie czarna, nos i policzki natomiast pyszniły się jaskrawą czerwienią. Stało się dla mnie jasne, że z takim wyglądem oraz w stroju składającym się z koszuli i spodni nawet nie miałem co marzyć o zyskaniu szacunku oficerów, tym bardziej, iż spośród wszystkich ludzi właśnie ci, z którymi zetknął mnie los, zwykli najchętniej oceniać człowieka na podstawie jego munduru. Mój „mundur” powinien składać się ze skromnej czerni i nieskalanej bieli, a jego nieodzowne uzupełnienie muszą stanowić białe włosy, charakterystyczny atrybut służi Kościoła. Dla oficerów i marynarzy tego statku duchowny bez kołnierzyka i peruki znaczy nie więcej niż zwykły żebrak.

To prawda, że z mojej samotni wywabiły mnie odgłosy sprzeczki oraz chęć czynienia dobra, ale i tak w głównej mierze ja właśnie ponoszę winę za to, co się stało. Spróbowałem sobie wyobrazić, jaki widok musiałem przedstawiać dla dwóch oficerów... i moim ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia. Nie ogolony, z odkrytą głową, prawie nagi, o twarzy spalonej słońcem... Z niepokojem i wstydem przypomniałem sobie słowa, skierowane do mnie podczas mego wyświęcenia] zawsze będę nosił je w sercu ze względu na nadzwyczajną okazję, przy jakiej je usłyszałem, oraz na świątobliwą osobę, która to wypowiedziała: „Nie bądź drobiazgowy, Colley, i zawsze staraj się przyzwoicie wyglądać”. Czy tak właśnie powinien prezentować się jeden z posłańców Pana na tej ziemi? Wśród ludzi, w których gronie teraz przebywam, dobra prezencja stanowi nie tylko deńderatum, ale wręcz warunek *sine qua non*. (Czyli, moja droga, jest nie tylko pożądana, ale po prostu niezbędna). Podjąłem mocne postanowienie, by poświęcić tej sprawie więcej uwagi; kiedy znowu pojawię się w moim

królestwie, nikt nie będzie miał już wątpliwości, że ma do czynienia ze sługą Bożym!

\*\*\*

Sprawy powoli zmierzają ku lepszemu. Przyszedł porucznik Summers i zapytał, czy mógłby zamienić ze mną kilka słów, a ja odparłem przez drzwi, że będzie to dla mnie wielki zaszczyt, ale błagam, by nie wchodził do kajuty, ponieważ mój wygląd pozostawia wiele do życzenia. Aczkolwiek niechętnie, jednak przystał na moją prośbę, lecz wyraźnie zniżył głos, jakby nie chciał, żeby pozostali pasażerowie usłyszeli naszą rozmowę, po czym przeprosił mnie za to, że przestano organizować nabożeństwa, ale, jak stwierdził, kilkakrotnie zasięgał w tej sprawie opinii pasażerów, za każdym razem spotykając się z brakiem zainteresowania. Zapytałem, czy rozmawiał także z panem Talbotem, na co odparł po krótkim wahaniu, że pan Talbot był zajęty własnymi sprawami, ale on, Summers, uważa, iż jest szansa, by w najbliższą niedzielę zorganizować, jak się wyraził, „coś w rodzaju małego zebrania”.

- Co za bezbożny statek! - wykrzyknąłem ku memu własnemu zdumieniu, ponieważ znając swój łagodny charakter, nigdy nie przypuszczałem, że jestem zdolny do równie gwałtownych reakcji.

Pan Summers nic na to nie odpowiedział, wobec czego pozwoliłem sobie na jeszcze jedną uwagę:

- Wyczuwam w tym wpływ pewnej znanej nam obu osoby!

Pan Summers gwałtownie zmienił pozycję, jakby w popłochu rozglądał się dokoła, po czym szepnął:

- Panie Colley, błagam, niech pan tak nie myśli! Spotkanie w niewielkim gronie, jeden albo dwa psalmy, błogosławieństwo - owszem, ale...

Zwróciłem mu uwagę, iż znacznie bardziej na miejscu byłaby poranna msza święta na śródokręciu, ale porucznik Summers odparł z wyraźnym zażenowaniem, że to niemożliwe, po czym odszedł. Mimo wszystko uważam, że religia odniosła niewielkie zwycięstwo. Kto wie, kiedy zmięknie serce okrutnego tyrana? Nie wątpię bowiem, iż kiedyś na pewno zmięknie.

Wiem już, jak nazywa się mój młody bohater: to niejaki Billy Rogers, przypuszczalnie niegorszy hukaj, którego dusza zapewne nie zaznała jeszcze Łaski Pańskiej. Koniecznie muszę znaleźć sposobność, by z nim porozmawiać.

Minioną godzinę spędziłem na goleniu! Zabieg istotnie okazał się bolesny, a w dodatku nie dał olśniewających rezultatów, ale przynajmniej mam to już za sobą.

\*\*\*

Usłyszawszy jakiś zagadkowy hałas wyszedłem na korytarz, a wówczas poczułem, jak podłoga lekko pochyła się pod moimi stopami. Zmiana była niewielka, ale z pewnością nie stanowiła wytworu mojej wyobraźni. Zerwał się wiatr! Podczas trwającej od kilku dni ciszy zdążyłem odzwyczaić się od kołysania, toteż czym prędzej wróciłem do kajuty i ułożyłem się na koi. Nie ulega wątpliwości że, choć bardzo powoli, to jednak znowu płyniemy naprzód! Co prawda bałem się zaufać mym nogom, ale i tak poczułem przypływ entuzjazmu, jaki towarzyszy każdemu wędrowcowi, który przekonuje się, iż zniknęły stojące mu na drodze przeszkody i może znowu spokojnie zmierzać do celu.

\*\*\*

W gwiazdce, którą narysowałem nad tymi słowami, zamknął się cały dzień. Chodziłem tu i tam, starając się jednak trzymać z dala zarówno od pasażerów, jak i od załogi. Muszę objawić im się na nowo, już nie jako niechlujny klaun, ale jako budzący swym wyglądem szacunek sługa Boży. Na pokładzie wre praca: marynarze ciągną jakąś linę, by zaraz potem poluzować inną, wszystko to zaś robią ze znacznie większym zapamię niż zazwyczaj. Coraz wyraźniej słychać odgłosy świadczące o tym, że wreszcie ruszyliśmy z miejsca. Nawet ja, szczer lądowy, którym zapewne już na zawsze pozostanę, wyczuwam nadzwyczajną lekkość statku, zupełnie jakby i on przyłączył się do powszechnej radości. Zaraz po tym, jak zaczęło wiać, na wznoszących się nad naszymi głowami gałęziach i konarach zaroilo się od ludzi - naturalnie mam na myśli niezliczone reje (Ty nazwałabyś je po prostu drągami), na których rozpina się żagle wykorzystujące siłę wiatru pchającego nas na południe. Gdzieś hen, daleko po lewej stronie pozostawiamy Afrykę. Na rozkaz kapitana zwiększono powierzchnię żagli, rozwieszając płachty znacznie cieńszego materiału na dodatkowych rejach, wystających poza obie burty statku. (Jak widzisz, dzięki temu, że uważnie przysłuchuję się wszystkim rozmowom, jakie toczą się w pobliżu mnie, stopniowo zaczynam sobie radzić z marynarskim żargonem!) Od razu ruszyliśmy żwawiej naprzód, a ja usłyszałem, jak jeden z załogantów woła do kompana: „Spójrz tylko, jak ta starucha zadziera kieckę i goni przed siebie!” Całkiem możliwe, iż w języku marynarzy te dodatkowe żagle noszą właśnie nazwę „kiecek”, gdyż nawet sobie nie wyobrażasz, jak wulgarnymi słowami określają prości marynarze, a nawet oficerowie, różne części statku oraz elementy jego wyposażenia! Czynią to nawet w obecności dam, a także mojej, jakby zupełnie nie zdawali sobie sprawy z nieprzyzwoitego znaczenia słów, którymi tak chętnie się posługują.

\*\*\*

Znowu minął dzień! Wiatr osłabł, a wraz z nim przykre dolegliwości, które na krótko przypomniały o sobie. Ubrałem się, ogoliłem powtórnie, po czym wyszedłem na trochę na śródokręcie. Muszę chyba wyjaśnić Ci pokrótce, jak układają się stosunki między mną a pozostałymi dżentelmenami podróżującymi statkiem, a także damami. Od chwili, gdy spotkało mnie publiczne upokorzenie ze strony kapitana, zdawałem sobie sprawę, że wśród wszystkich pasażerów zajmuję wyjątkową pozycję - doprawdy trudno mi powiedzieć jaką, ponieważ wedle mego rozeznania stosunek do mojej osoby zmienia się nie tylko z dnia na dzień, ale wręcz z godziny na godzinę! Gdyby nie Phillips i pan Summers, przypuszczam, że nie miałbym do kogo otworzyć ust, gdyż nieszczęsny pan Talbot albo jest niedysponowany, albo miota się niespokojnie, coraz bardziej zbliżając się do czegoś, co moim zdaniem będzie poważnym kryzysem wiary; pragnę mu pomóc, ponieważ sprawiłoby mi to ogromną satysfakcję, a w dodatku uważam to za swój obowiązek, lecz on, wiedziony szlachetnością serca, unika mnie na wszelkie sposoby, nie chcąc nikogo obarczać swymi problemami. Co się tyczy pozostałych pasażerów i oficerów... Chwilami podejrzewam, iż pod wpływem kapitana Andersona traktują mnie oraz moje święte posłannictwo z lekkomyślną obojętnością, by zaraz potem dojść do wniosku, że postępowanie ich świadczy o rzadko spotykanej wśród naszych rodaków wrażliwości i delikatności, które nie pozwalają im okazywać nadmiernego zainteresowania moją osobą. Być może - powtarzam: być może - przeważa wśród nich pogląd, że należy postępować tak, jakby nic się nigdy nie stało. Ma się rozumieć, trudno mi oczekiwać, żeby któraś z dam zainteresowała się mną, a ta, która by to jednak uczyniła, wystawiłaby sobie nie najlepsze świadectwo. Taki stan rzeczy doprowadził (wciąż nie przekraczam granic tego, co z przekorą nazywam moim królestwem!) do niemal całkowitej izolacji Twojego brata. Nawet nie przypuszczałem, iż będę z tego powodu tak bardzo cierpiał! Jednak to musi się zmienić! Powziąłem niewzruszone postanowienie: skoro obojętność lub dobre wychowanie nie pozwalają im zbliżyć się do mnie, ja zdobędę się na odwagę i przypomnę im o moim istnieniu!

Znowu odwiedziłem śródokręcie. Ci spośród pasażerów, którzy opuścili kajuty, spacerowali po pokładzie rufowym, gdzie zakazano mi wstępu. Ukłoniłem im się z daleka, aby okazać, jak bardzo zależy mi na ponownym znalezieniu się w ich towarzystwie, ale odległość była tak duża, że nikt tego nie zauważył. Tak, to na pewno wina odległości, a także słabego oświetlenia. Statek stoi nieruchomo, żagle przypominają obwisłe, pomarszczone policzki. Kiedy znudziłem się obserwowaniem przedziwnej parady na rufie (tutaj, pośrodku bezkresnego oceanu, wszystko staje się dziwne) i spojrzałem na dziób, ujrzałem zdumiewający (znowu!) widok: przed forkasztem („przed” z mojego punktu widzenia, gdyż



stałem u podnóża schodów prowadzących na rufę) marynarze poczęli rozpinać ogromną brezentową płachtę. W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi o ochronę przed słońcem, lecz natychmiast uświadomiłem sobie, że przecież zapada wieczór, a poza tym zdążyliśmy już zjeść wszystkie zwierzęta trzymane na pokładzie w specjalnych zagrodach, w związku z czym nie bardzo jest kogo, czy też co, chronić. W dodatku brezent wydaje się zbyt gruby i mocny, aby służyć tak błahemu celowi. Płachta jest rozpięta od burty do burty na mocnych linach.

Skończywszy pisać powyższe słowa założyłem perukę i płaszcz (od tej pory nikt nie zobaczy mnie w nieodpowiednim stroju!) i wróciłem na pokład. Spośród wszystkich zdumiewających rzeczy, jakich byłem świadkiem podczas naszej podróży, zmiana, która zaszła podczas mojej krótkiej nieobecności, jest z pewnością najdziwniejsza. Na statku panuje cisza, przerywana jedynie tłumionymi wybuchami śmiechu, rozbawieni marynarze czerpią zaś wiadrami wodę z morza - obawiam się, że musi być mocno zanieczyszczona, ponieważ od wielu godzin stoimy w miejscu - i wylewają ją na brezent, który już wyraźnie wybrzuszył się pod jej ciężarem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ma nam to pomóc, tym bardziej, że niektórzy żeglarze (wśród nich, muszę z przykrością przyznać, także mój młody bohater), bez żadnego skrupowania opróżnili pęcherze właśnie do wypełniającego się powoli zbiornika. Tutaj, na statku, gdzie dzięki bliskości oceanu znacznie łatwiej usunąć wstydlive ślady funkcjonowania naszych grzesznych ciał, niż na lądzie! Zdegustowany tym widokiem odwróciłem się i ruszyłem w drogę powrotną do kajuty, kiedy nagle stałem się świadkiem, a po trosze także uczestnikiem, dziwnego wydarzenia. Otóż mój służący, Phillips, podszedł do mnie szybkim krokiem i otwierał już usta, aby coś powiedzieć, kiedy z pogrążonej w półmroku części korytarza ktoś krzyknął na niego:

- Ani słowa, ty psie!

Biedaczysko zatrzymał się, odwrócił i spojrzał w kierunku, z którego dobiegł podniesiony głos. Po chwili z ciemności wyłonił się pan Cumbershum, który spiorunował go wzrokiem; Phillips umknął, Cumbershum zaś stanął nieruchomo, mierząc mnie ciężkim spojrzeniem. Od początku nie spodobał mi się ten człowiek; jest bardzo podobny do Andersona, a jeśli kiedykolwiek zostanie wyniesiony do godności kapitana, stanie się taki sam jak on. Pospiesznie skryłem się w kajucie, zdjąłem płaszcz, perukę i kołnierzyk, po czym ukląknę do modlitwy, ale zanim zdążyłem się w niej na dobre pogrążyć, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Otworzywszy je ujrzałem Phillipsa, który zaczął szybko szeptać:

- Panie Colley, błagam pana...

- Phillips, ty psie! Uciekaj stąd, albo każę cię wybatożyć!

Obejrzałem się, zdumiony, by ponownie dostrzec Cumbershuma, któremu tym razem

towarzyszył Deverel. Rozpoznałem ich jednak wyłącznie po charakterystycznym głosie tego pierwszego oraz rzucającej się w oczy elegancji drugiego, ponieważ obaj nie mieli ani płaszczy, ani kapeluszy. W chwilę potem uświadomiłem sobie, że na przekór powziętemu niedawno postanowieniu znowu pokazałem się w dalece niekompletnym stroju, ale było już za późno, by temu zaradzić, ponieważ obaj oficerowie już mnie zobaczyli i wybuchnęli gromkim śmiechem. Stało się dla mnie jasne, że obaj są zdrowo podchmieleni. Pospiesznie ukryli za plecami trzymane w rękach przedmioty, a następnie ukłonili mi się z szacunkiem - mocno wątpię, czy szczerym. Mimo wszystko Deverel jest przecież dżentelmenem, więc chyba nie ma względem mnie żadnych złych zamiarów?!

Na statku panuje niezwykła cisza. Kilka minut temu usłyszałem w korytarzu kroki pasażerów; skierowały się ku schodom, by w chwilę później rozleć się nad moją głową. Nie ma żadnych wątpliwości: podróżni zakwaterowani w tej części statku zbierają się na pokładzie rufowym. Wszyscy, tylko nie ja!

Znowu wymknąłem się na zewnątrz, w to przedziwne światło. W korytarzu było zupełnie cicho, tylko z kajuty pana Talbota dobiegały zagadkowe odgłosy. Chciałem już udać się do niego i poprosić go, by wstawił się za mną u kapitana, ale w porę domyśliłem się, że zapewne jest pogrążony w modlitwie, więc ostrożnie wyszedłem na pokład. Widok, jaki tam ujrzałem, wrył mi się w pamięć tak mocno, że pozostanie ze mną do dnia mojej śmierci. W naszej części statku, to znaczy na dwóch wypiętrzonych pokładach na rufie, tłoczyli się w milczeniu pasażerowie i oficerowie. Wszyscy spoglądali z natężeniem w kierunku dziobu, i wcale im się nie dziwię! Żadne pióro ani żaden pędzel, choćby należące do największego artysty w historii, nie zdołałoby oddać tego, co ukazało się moim oczom. Nasz potężny statek trwał w bezruchu ze zwisającymi żaglami. Po prawej stronie zachodziło czerwone słońce, po lewej natomiast, dokładnie naprzeciwko niego, wschodził księżyc w pełni. Dwaj potężni luminarze zdawali się sobie przyglądać, a ich światło mieszało się, dając zdumiewające efekty. Na lądzie ten spektakl nie byłby nawet w połowie tak wstrząsający ze względu na obecność wzgórz, drzew lub domów; tutaj wzrok sięga swobodnie od krańca po kraniec świata. Śmiem twierdzić, iż oto ujrzeliśmy wagę, na której Bóg kładzie nasze dobre i złe uczynki.

Przez chwilę szale trwały w idealnej równowadze, po czym słońce przygasło, my zaś znaleźliśmy się jakby na zalanej blaskiem księżyca scenie, gdzie dominowały dwie barwy: heban i kość słoniowa. Trwający do tej pory w bezruchu marynarze zapalili mnóstwo latarni i powiesili je na takielunku, tworząc z nich coś w rodzaju katedry zaraz za wydętym ku dołowi, brezentowym kałdunem. Powoli zaczynałem rozumieć. Mym ciałem wstrząsnął dreszcz.

Byłem sam! Byłem zupełnie sam na tym wielkim statku pełnym ludzi, a co gorsza, ogarnął mnie okropny lęk przed Jego gniewem, nie złagodzonego przez Jego łaskawość. Bałem się już nie tylko ludzi, ale i Boga! Potykając się w mroku pobiegłem do kajuty, zamknąłem się w niej i pogrążyłem w żarliwej modlitwie.

## Nazajutrz

Z najwyższym trudem trzymam pióro w palcach, ale muszę się jakoś opanować i uczynię to. Człowieka hańbią tylko jego czyny, nie to, co robią z nim inni. Choć wstyd pali mnie żywym ogniem, wiem, że nie ja go na siebie sprowadziłem.

Po modlitwie - niestety, nie wywarła zbawiennego działania, na jakie liczyłem - rozebrałem się do koszuli, kiedy nagle rozległo się donośne pukanie do drzwi mojej kajuty. Nie ukrywam, że i tak byłem już nieco przestraszony, a niespodziewane walenie pięścią jeszcze bardziej pogłębiło mój lęk. Chociaż wcześniej zastanawiałem się już, jakich okrutnych rytuałów mogę stać się ofiarą, teraz jedna za drugą przemykały mi przez głowę myśli o katastrofie, pożarze i ataku nieprzyjaciela.

- O co chodzi? - wykrzyknąłem zaleknionym głosem.

- Otwierać! - zahuczał ktoś za drzwiami.

- Nie mogę! - odparłem, na dobre ogarnięty paniką. - Rozebrałem się już! Co się stało?

Na chwilę zapadła cisza, po czym ten sam głos odezwał się z jeszcze większą mocą, niż poprzednio:

- Robercie Jamesie Colley, nadszedł czas, byś stanął przed sądem!

Te nieoczekiwane, okrutne słowa sprawiły, że wpadłem w popłoch. Choć zdawałem sobie sprawę, iż potężny głos należy z pewnością do człowieka, to jednak poczułem raptowne kołatanie serca i chyba z całej siły przycisnąłem ręce do piersi, gdyż teraz bolał mnie żebra i mam w tym miejscu ślad jakby po uderzeniu.

- Ale ja nie jestem gotów! - odparłem, z trudem poruszając zmartwiałyimi ustami. - To znaczy, nie jestem ubrany, a poza tym...

Straszliwy głos nie pozwolił mi dokończyć.

- Robercie Jamesie Colley, masz natychmiast stawić się przed tronem!

Mimo iż w głębi duszy wiedziałem, że to wszystko jedynie błazeństwa, jednak przez chwilę nie mogłem złapać tchu w piersi. Rzuciłem się do drzwi, by zasunąć rygiel, lecz zanim tam dotarłem, otworzyły się gwałtownie. Zostałem zaatakowany przez dwa potężne stwory o wielkich, wytrzeszczonych oczach i szeroko otwartych paszczach wypełnionych ostrymi zębami. Na głowę zarzucono mi jakąś płachtę, po czym chwycono pod ramiona i z ogromną siłą wywleczono z kabiny, choć rozpaczliwie wierzgałem nogami, nie byłem w stanie znaleźć dla nich oparcia. Zdaję sobie sprawę, iż nie należę do ludzi obdarzonych szczególną

bystrością ani szybkością reakcji; tym razem na kilka chwil w ogóle straciłem zdolność myślenia, częściowo odzyskałem ją zaś dopiero wtedy, gdy do mych uszu dotarły przeraźliwe wrzaski, wiwaty i demoniczny śmiech. Krzyknąłem „Pomocy!”, choć wątpię, aby ktokolwiek mnie usłyszał, po czym, już w duchu, oddałem się pod opiekę naszego Zbawiciela.

Gwałtownym szarpnięciem zdarto mi z głowy płachtę. W świetle latarni ujrzałem tłoczących się na przednim pokładzie marynarzy, oddzielonych od śródokręcia kordonem upiornych postaci zbliżonych wyglądem do tych, które wyciągnęły mnie z kajuty. Przedemną siedział na tronie brodaty olbrzym w płomienistej koronie, z wielkimi, trójzębnymi widłami w prawej ręce. Odwróciwszy głowę w bok ujrzałem wysoko wypiętrzony pokład rufowy - tam było moje właściwe miejsce! - wypełniony po brzegi widzami. Ze względu na panujący półmrok nie zdołałem dostrzec, czy jest tam choć jedna przyjazna twarz, a nie miałem czasu, by się dłużej przyglądać, ponieważ byłem zdany na łaskę i niełaskę mych prześladowców. Teraz, kiedy zorientowałem się nieco w sytuacji i pojąłem całe okrucieństwo „żartu”, strach ustąpił miejsca wstydomi, gdyż, co tu ukrywać, byłem prawie nagi! Ja, który niedawno przysiągłem sobie pokazywać się publicznie wyłącznie w pełnym rynsztunku sługi Bożego! Chciałem z uśmiechem poprosić o jakieś okrycie, jakbym z dobroduszną wyrozumiałością postanowił wziąć udział w zabawie, ale wydarzenia potoczyły się zbyt szybko. Zmuszono mnie do ukłęknięcia przed „tronem”, przy okazji wykręcając mi ręce i poszturchując znacznie mocniej, niż to było konieczne, by nakłonić mnie do posłuszeństwa, a zanim zdołałem wydobyć z siebie głos, zadano mi tak ordynarne pytanie, że nawet nie chcę o nim teraz myśleć. Otworzyłem usta, by zaprotestować, lecz wówczas wlano mi w nie jakąś breję o tak ohydny smaku i zapachu, że jeszcze w tej chwili, na samo wspomnienie o niej, chwytają mnie mdłości. Przez pewien czas - nie mam pojęcia, jak długo - operacja powtarzała się bez żadnych zmian; kiedy nie chciałem otworzyć ust, breję rozsmarowywano mi po całej twarzy. Zadawane bez przerwy pytania były bardziej wulgarne, niż można sobie wyobrazić i choć jestem pewien, że wykrzykiwali je najokrutniejsi i najgłupszy ludzie, to każde z nich witała burza śmiechu oraz przeraźliwe, szydercze gwizdy, jakimi Anglicy zwykli traktować nieprzyjaciół. Nagle zaświtała mi przerażająca myśl, że to a jestem nieprzyjacielem!

Ale to przecież niemożliwe! Ci pijani ludzie zostali podburzeni, sprowadzeni na manowce... Jednak wtedy, w tym szalonym zamieszaniu, sparaliżowany strachem uczepiłem się właśnie owej przerażającej myśli: a jestem nieprzyjacielem!

Oto do jakich bezceństw mogą posunąć się prości ludzie zachęceni przykładem tych, którzy powinni służyć im za wzór! Wreszcie osobnik kierujący dzikimi breweriami zechciał zwrócić się bezpośrednio do mnie:

- Jesteś wstrętnym, zawszonym łajdakiem, więc musimy cię wykąpać!

Znowu poczułem ból, mdłości i kłopoty z oddychaniem, tym razem tak duże, że zacząłem się poważnie obawiać, iż lada chwila umrę, padając ofiarą okrutnej rozrywki. Kiedy byłem już niemal pewien, że wyzionę ducha, z rozmachem wrzucono mnie do brezentowego basenu wypełnionego cuchnącą wodą, po czym nastąpił ciąg dalszy bezdusznych igraszek. Nie skrzywdziłem żadnego z moich prześladowców, wręcz przeciwnie, dostarczyłem im znakomitej (przynajmniej w ich mniemaniu) zabawy, a mimo to nawet sobie nie wyobrażasz, jak bezecne, okrutne i plugawe słowa wykrzykiwali pod moim adresem, kiedy nieporadnie gramoliłem się po śliskim brezencie! Wiem już chyba, jaki przerażający los spotykał ofiary francuskiego terroru; nie przypuszczałem, że człowiek może okazywać swemu bliźniemu tak wielką nienawiść, okraszoną pogardą i wszetecznym pożądaniem, które...

Kiedy straciłem już wszelką nadzieję i zacząłem szykować się na rychłe spotkanie z moim Zbawicielem, od strony rufy dobiegły jakieś krzyki, a zaraz potem rozległa się donośna eksplozja. W ciszy, która zapadła po wybuchu, ktoś wydał rozkaz zdecydowanym, nie znoszącym sprzeciwu głosem. Ręce, które jeszcze przed chwilą wpychały mnie pod wodę, teraz wyciągnęły mnie z basenu. Padłem ledwo żywy na pokład, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, a kiedy odzyskałem władzę w kończynach, zacząłem pełzać jak ślimak, zostawiając za sobą mokry, cuchnący ślad. Zaraz potem ten sam głos, co poprzednio, wydał jeszcze jeden rozkaz. Zostałem podniesiony z pokładu, zawleczony do kajuty i położony na koi. Ktoś zamknął drzwi, a trochę później jakaś chrześcijańska dusza (przypuszczam, że Phillips, choć nie mam pewności) przyniosła wiadro z gorącą wodą. Nie będę nawet starał się opisać, jak wiele wysiłku kosztowało mnie doprowadzenie się do względnej czystości. Sądząc po odgłosach, jakie z daleka docierały do moich uszu, te diabły... Nie, postaram się ich tak nie nazywać! Marynarze zabawiali się z kolejnymi ofiarami, ale wrzaski były teraz raczej radosne niż okrutne. Nie ma co, musiałem przełknąć gorzką pigułkę. Wątpię, czy kiedykolwiek mieli okazję pognać prawdziwego pastora... Nie, nie jestem zgorzkniały i przebaczam im. Czy chcą, czy nie chcą - ba, czy ja tego chcę, czy nie chcę! - są przecież moimi braćmi. Co się jednak tyczy dżentelmenów... Nie, do nich także nie będę chował urazy w sercu. Poza tym jeden z nich, przypuszczalnie pan Summers, a może pan Talbot, swoją interwencją (to prawda, że nieco spóźnioną) wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ocalił mi życie.

Kompletnie wyczerpany zapadłem w ciężki sen, tylko po to jednak, by wpaść w objęcia koszmarów. Majaczyłem o Sądzie Ostatecznym i piekle. Na szczęście udało mi się obudzić, bo obawiam się, że gdyby zjawy dręczyły mnie choć trochę dłużej, moje zdrowe zmysły znalazłyby się w poważnym niebezpieczeństwie.

Od tych wydarzeń minęło już sporo czasu, który spędziłem głównie na modlitwie i rozmyślaniach. Wydaje mi się, że już prawie całkiem wróciłem do siebie; przede wszystkim wiem co się stało. Oczyszczając duszę z chwastów lęku, odrazy i nienawiści utorowałem ścieżkę wiodącą do zrozumienia. Otóż nie ulega wątpliwości, iż stałem się ofiarą niechęci kapitana Andersona, którą ten poczuł do mnie już podczas naszego pierwszego spotkania. Spektakl, jaki urządzono wczoraj, nie mógł się odbyć bez jego przyzwolenia, albo przynajmniej milczącej akceptacji. Deverel i Cumbershum z pewnością wykonywali polecenia zwierzchnika. Teraz widzę wyraźnie, że mój wstyd był stanowczo przedwczesny i nie wystawia najlepszego świadectwa mojej zdolności rozumowania. Za swoje myśli już zdążyłem przeprosić Tego, któremu przeprosiny najbardziej się należały, to natomiast, co czułem, stanowiło zwierciadlane odbicie opinii, jaką na mój temat mieli pozostali pasażerowie. Zaiste, nie ja zgrzeszyłem, lecz zgrzeszono przeciwko mnie! Traktuję to jednak jako jeszcze jedną pożyteczną lekcję i ćwiczenie w trudnej sztuce przebaczenia, co bowiem obiecał Pan swym sługom w życiu doczesnym? Niech się zdarzy, co musi się zdarzyć. Nie ja pierwszy i nie ostatni padam ofiarą prześladowań.

Znowu pogrążyłem się z modlitwie, a kiedy wreszcie dźwignąłem się z kolan, poczułem się lepszym, pokorniejszym człowiekiem. Teraz wiem, że zniewaga, jaka mnie spotkała, stanowiła jedynie zachętę do tego, by nadstawić drugi policzek.

Jednak znieważono nie tylko mnie, ale także, a raczej przede wszystkim, Tego, czyje imię często gości na ustach tych ludzi, lecz niezmiernie rzadko w sercach. Prawdziwa zniewaga spotkała moją sutannę (prawda, że ukrytą w kufrze!), a przez to symbolicznie całą armię sług Bożych, której jestem najmniej ważnym, najskromniejszym żołnierzem. Obrażono mojego Pana i choć On w Swym niezmiernym miłosierdziu jest gotów wybaczyć, to ja mam obowiązek wystąpić w Jego obronie, nie zaś tchórzliwie milczeć!

Nie o mnie tu chodzi, Panie, ale o Ciebie!

Napisawszy te słowa zapadłem w nieco spokojniejszy sen, by po obudzeniu się stwierdzić, że posuwamy się rażno naprzód, gnani umiarkowanie silnym wiatrem. Odniosłem też wrażenie, iż zrobiło się trochę chłodniej. Nagle poczułem trudny do opanowania lęk, ponieważ przypomniałem sobie wydarzenia minionego wieczoru, lecz zaraz potem spłynął na mnie spokój wywołany wspomnieniem żarliwej modlitwy. Nie tyle zszedłem z koi, co zeskoczyłem z niej, czując jak rozpiera mnie radość odnowionej wiary w Najważniejsze Prawdy religii chrześcijańskiej! Możesz mi wierzyć, że moje poranne pacierze trwały znacznie dłużej niż zwykle.

Kiedy wreszcie podniosłem się z klęczek, starannie umyłem twarz, a następnie

przystąpiłem do golenia. Gdybym mógł, z pewnością poprosiłbym Cię, abyś przystrzygła mi włosy. (Ale Ty przecież nigdy tego nie przeczytasz. Sytuacja staje się coraz bardziej paradoksalna: piszę list zdając sobie sprawę, że przed wysłaniem będę musiał go ocenzurować). Ubrałem się, nie zapominając o kołnierzyku, peruce i kapeluszu, po czym zażądałem od służącego, aby wskazał mi miejsce przechowywania mego kufra. Co prawda niechętnie i po długim wahaniu, ale jednak zaprowadził mnie w mroczne czeluście statku. Wyjąłem z kufra sutannę, biret i stułę, a także licencję wydaną przez lorda biskupa, którą starannie złożyłem i schowałem do kieszeni. Teraz, w pełnym rynsztunku, nie obawiałem się nikogo! Pewnym krokiem wspiąłem się na pokład rufowy, a następnie na jego podniesioną tylną część zwaną mostkiem, gdzie często przebywał kapitan Anderson, zatrzymałem się i rozejrzałem dokoła. Dość silny wiatr wiał od sterburty. Kapitan jak zwykle przechadzał się w tę i z powrotem. Pan Talbot, stojący przy relingu w towarzystwie dwóch dżentelmenów, dotknął krawędzi kapelusza i postąpił krok naprzód. Uradował mnie ten bezsporny dowód świadczący o tym, że ów młody człowiek pragnie się ze mną zaprzyjaźnić, ale tylko skłoniłem się w milczeniu, zdjąłem kapelusz, po czym przesunąłem się nieco, tak by stanąć kapitanowi na drodze. Tym razem nie „przeszedł przede mną”, jak poprzednio, lecz zatrzymał się raptownie, wybałuszył oczy i otworzył usta, by jednak zaraz je zamknąć.

Bezpośrednio po tym odbyła się między nami następująca rozmowa:

- Kapitanie Anderson, chciałbym zamienić z panem kilka słów.
- W porządku - odparł po dłuższej chwili. - Skoro pan sobie tego życzy.
- Kapitanie, pańscy ludzie uwłaczyli godności mego urzędu. Pan sam także to uczynił.

Na jego policzki wystąpił krwisty rumieniec, ale zaraz potem zniknął. Kapitan podniósł głowę, przez chwilę spoglądał na mnie w milczeniu, po czym opuścił ją i wymamrotał:

- Wiem o tym, panie Colley.
- A więc przyznaje pan, że tak się stało?
- Nikt nie miał zamiaru... Sprawa wymknęła się z rąk... Postąpiono z panem nadzwyczaj niegodnie.

- Kapitanie Anderson - rzekłem znacznie łagodniejszym tonem. - Usłyszawszy od pana to wyznanie przebaczam panu z całego serca, czuję się jednak w obowiązku zauważyć, iż w tych godnych pożałowania wydarzeniach brali udział nie tylko prości marynarze, wykonujący pańskie rozkazy i zachęcani pańskim przykładem, ale także oficerowie, i to właśnie z ich strony spotkała mnie największa zniewaga. Co prawda byli przebrani, lecz mimo to jestem pewien, że zdołam ich rozpoznać. Oni także muszą przyznać się do winy,



bynajmniej nie ze względu na mnie, lecz dla ich własnego dobra.

Kapitan odwrócił się gwałtownie, przeszedł kilka kroków, po czym znowu zatrzymał się przede mną, tym razem z rękami splecionymi za plecami, i utkwiał we mnie nienawistne spojrzenie. Czy to nie dziwne? Przed chwilą bez żadnej zachęty z mojej strony wyznał swoje winy, natomiast wzmianka o jego oficerach wprawiła go w nastrój, obawiam się, najbardziej dla niego typowy.

- Widzę, że gra pan od razu o wszystko! - warknął.

- Po prostu bronię honoru mego Pana, tak samo jak pan broniłby honoru króla.

Przez jakiś czas w milczeniu mierzyliśmy się wzrokiem. Nagle rozległo się uderzenie dzwonu, na mostek zaś weszli nowi wachtowi. Służbę objęli panowie Summers i Willis, zakończyli natomiast panowie Smiles i Taylor. Zmiana, jak zwykle, dokonywała się z zachowaniem pełnego ceremoniału, a kiedy dobiegła końca, Anderson ponownie spojrzał na mnie.

- Porozmawiam z oficerami, których dotyczy ta sprawa. Czy jest pan usatysfakcjonowany?

- Proszę im powiedzieć, by zechcieli przyjść do mnie, a wybaczę im równie ochoczo jak panu. Jednak pozostaje jeszcze jedna sprawa...

Tutaj kapitan nie wytrzymał i wyrzucił z siebie stek potwornych bluźnierstw, ja jednak, z przebiegłością godną węża i łagodnością gołębiczy udałem, że niczego nie usłyszałem! Nie była to odpowiednia chwila, żeby udzielać reprimend, obiecałem sobie w duchu, że na to przyjdzie czas później.

- W przedniej części statku przebywają nieszczęsne istoty pogrążone w całkowitej ignorancji - ciągnąłem jakby nigdy nic. - Muszę odwiedzić tych ludzi i skłonić ich do okazania skruchy.

- Czy pan oszalał?

- Bynajmniej, panie kapitanie.

- Nie obchodzi pana, jakie jeszcze upokorzenia mogą stać się pańskim udziałem?

- Pan ma swój mundur, kapitanie, a ja swój. Udam się do nich w mundurze służby Bożego.

- Mundur, dobre sobie!

- Naprawdę pan nie rozumie? Pójdę do nich w tym stroju, w którym widzi pan mnie teraz, pomoże mi tam wiedza zdobywana podczas wielu lat nauki oraz siła mego powołania. Niczego nie ukrywam; zna mnie pan takiego, jakim jestem.

- Istotnie.

- Dziękuję panu. Czy wobec tego mogę rozumieć, że uzyskałem pańską zgodę, by z nimi porozmawiać?

Kapitan Anderson podszedł do relingu i zapatrzył się w morze.

- Proszę robić, co uzna pan za stosowne - odparł po dłuższej chwili, wciąż odwrócony do mnie plecami.

Ukłoniłem się, po czym ruszyłem w kierunku schodów, ale zanim do nich dotarłem, porucznik Summers chwycił mnie za rękaw.

- Panie Colley!

- Słucham, przyjacielu?

- Błagam pana, niech się pan zastanowi! - Rozejrzał się trwożliwie dokoła, a następnie ściszył głos do szeptu. - Gdybym nie wyrwał fuzji panu Prettimanowi i nie wypalił w powietrze, nie wiadomo, jak by się to skończyło! Proszę, niech mi pan pozwoli zorganizować spotkanie, na którym będą obecni także oficerowie! Wśród naszych marynarzy są też bardzo niebezpieczni ludzie, a jeden z emigrantów...

- Panie Summers, pójdę do nich w stroju, w jakim odprawiam mszę świętą. Jestem pewien, że rozpoznają go i uszanują.

- Proszę więc przynajmniej poczekać, aż dostaną swoją porcję rumu. Proszę mi wierzyć, ja wiem o czym mówię! Staną się wówczas spokojniejsi, przyjaźniej nastawieni, bardziej skłonni wysłuchać tego, co ma im pan do powiedzenia... Błagam pana! W przeciwnym razie grozi panu obojętność, być może kolejne upokorzenie, a kto wie, czy nie coś jeszcze gorszego!

- Sądzi pan, że wówczas mój wysiłek poszedłby na marne?

- Oczywiście!

Zastanowiłem się nad jego słowami.

- W porządku, panie Summers. Zaczekam do południa, a w tym czasie spróbuję nieco popracować.

Ukłoniłem się i chciałem odejść, ale nie udało mi się, ponieważ zbliżył się do mnie pan Talbot, by w nadzwyczaj grzecznych słowach zapytać, czy nie zechciałbym zawrzeć z nim bliższej znajomości. Ten młody człowiek przynosi zaszczyt swemu stanowi! Gdyby wszyscy kierujący sprawami naszego kraju byli tacy jak on... Kto wie, może kiedyś, w przyszłości... Ale na razie muszę zająć się innymi sprawami.

Ledwo zasiadłem w kajucie do pisania tego listu, rozległo się pukanie do drzwi, a kiedy je otworzyłem, ujrzałem poruczników Deverela i Cumbershuma, czyli dwa diabły, które napadły na mnie minionego wieczoru! Spiorunowałem ich wzrokiem, gdyż zaiste

zasłużyli sobie na małą pokutę przed otrzymaniem wybaczenia. Pan Cumbershum mówił niewiele, natomiast pan Deverel całkiem sporo. Wyznał otwarcie, że trochę się zagalopowali, co częściowo można wytłumaczyć tym, iż zarówno on, jak i jego towarzysz byli cokolwiek pijani. Przez myśl mu nawet nie przeszło, że tak bardzo wezmę sobie do serca tę sprawę; podobne zabawy towarzyszą każdorazowemu przekraczaniu równika, choć tym razem istotnie załoga nieco nadużyła pobłażliwości kapitana. Na koniec poprosił, bym zechciał potraktować to zdarzenie jako niezbyt udany żart oraz zapewnił mnie, że gdybym był ubrany tak jak teraz, nikt nie odważyłby się podnieść na mnie ręki. Dał mi także słowo, iż nikt nie chciał wyrządzić mi krzywdy i poradził, bym spróbował jak najprędzej zapomnieć o przykrych wypadkach minionego wieczoru.

Milczałem przez chwilę, udając, że się zastanawiam, choć w rzeczywistości wiedziałem już, co powinienem uczynić. Z pewnością nie należało przyznawać, iż ponoszę część odpowiedzialności za wydarzenia, gdyż pokazałem się załodze w stroju niespecjalnie skłaniającym do okazywania szacunku. Zaiste, na poważanie wśród tych ludzi mógł liczyć tylko ktoś w mundurze, obojętnie jakiego rodzaju!

- Wybaczam wam z całego serca, panowie, gdyż tak mi nakazuje mój Pan - przemówiłem wreszcie. - Idźcie i nie grzeszcie więcej.

Zamknąwszy za nimi drzwi usłyszałem, jak któryś, chyba Deverel, gwizdnął przeciągle, nieco później zaś, kiedy już się nieco oddalili, odezwał się pan Cumbershum:

- Do diabła, kim może być ten jego pan? Myślisz, że ma coś wspólnego z naczelnym kapelanem floty?

Wyznam, iż po raz pierwszy od bardzo wielu dni ogarnął mnie całkowity spokój. Teraz wszystko będzie dobrze. Jestem pewien, że stopniowo, krok po kroku, uda mi się zmiękczyć serca nie tylko prostych marynarzy, ale przede wszystkim oficerów, dam i dżentelmenów podróżujących statkiem; przecież to niemożliwe, żeby naprawdę byli tak nieczuli na naukę Chrystusową, jak mi się zdaje! Nawet kapitan okazał niewielkie symptomy... Niewyczerpana jest łaska Zbawiciela. Wyszedłem na pokład i - nareszcie wolny! - stanąłem przy burcie na śródkręciu. Z pewnością kapitan odwoła swój nieludzki rozkaz zabraniający mi wstępu na mostek, a nawet na rufę statku! Patrząc na przesuającą obok kadłuba wodę, chwilami zieloną, chwilami niebieską, a prawie zawsze spienioną na szczytach fal, dostrzegłem długie, obfite warkocze wodorostów, które ciągniemy za sobą w drodze ku odległemu celowi podróży. Nie wiedzieć czemu widok ten nappełnił mnie otuchą, podobnie jak nadzwyczajne dostojęństwo wzdętych wiatrem żagli. Nadszedł mój czas; wróciłem do kajuty, założyłem szaty liturgiczne i za chwilę wyruszę na dziób, by złajac te nieznośne, ale

jakże kochane dzieci naszego Stwórcy. Wydawało mi się (i nadal mi się wydaje), że przepełnia mnie wielka miłość do wszystkiego, do morza, statku, nieba, ludzi, a przede wszystkim, rzecz jasna, do naszego Pana i Zbawcy! Oto jak szczęśliwy finał znalazły wszystkie moje cierpienia i kłopoty! Chwała Mu na wieki!

\*\*\*

Jak wasza lordowska mość wie, Colley nie napisał ani słowa więcej. Nic w tym dziwnego, bo przecież umarł. Jediną pociechę znajduję w tym, że będę mógł dopilnować, aby jego nieszczęsna siostra nigdy nie dowiedziała się prawdy. Niechże pijany Brocklebank ryczy w swojej kabinie: „Kto zabił małego Colleya?!”; ona nie dowie się, co zważyło go z nóg, ani czyje ręce - moje też były wśród nich! - zepchnęły go na krawędź śmierci.

Obudzony przez Wheelera ze zbyt krótkiego, niespokojnego snu, dowiedziałem się, że wraz z Summersem i kapitanem Andersonem mam prowadzić śledztwo. Na moją uwagę, iż ze względu na upał należałoby najpierw zająć się pogrzebem, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wszystko wskazuje na to, że kapitan pragnie ukryć fakt, iż pastora spotkały prześladowania, i chce zwrócić uwagę wszystkich na oficjalne czynności. Usiedliśmy za stołem w kapitańskiej kajucie i rozpoczęliśmy przesłuchiwanie świadków. Służący Colleya nie powiedział nam ani słowa ponad to, co już wiedzieliśmy. Młody pan Taylor, bynajmniej nie wstrząśnięty śmiercią duchownego, za to okazujący wielki lęk przed kapitanem, zeznał, iż był świadkiem, jak pan Colley zgodził się skosztować rumu, twierdząc, jakoby czynił to w duchu czegośtam - o co konkretnie chodziło, on, Taylor, niestety nie ma pojęcia. Zasugerowałem, że słowo, które wypadło mu z pamięci, mogło brzmieć „pojednanie”, a on zgodził się ze mną ochoczo. Co pan Taylor robił w dziobowej części statku? - zapytał pan Summers. Okazało się, że pan Tommy Taylor badał stan zapasowych łańcuchów kotwicznych na wypadek, gdyby zaszła potrzeba wymiany przerdzewiałego łańcucha kotwicy dziobowej. Odpowiedź ta w pełni usatysfakcjonowała jego przełożonych, którzy ze zrozumieniem skinęli głowami, jakby sprawdzanie łańcuchów kotwicznych było najbardziej oczywistą i naturalną czynnością pod słońcem. Skoro tak, to co pan Taylor robił w miejscu, gdzie jako żywo nigdy nie widziano choćby kawałka łańcucha kotwicznego?

Otóż pan Taylor zakończył już inspekcję i właśnie wracał na pokład, zatrzymał się jednak na chwilę, zdumiony widokiem pastora, którego nigdy do tej pory nie miał okazji oglądać w takim stanie. Co zdarzyło się potem? (To pytanie padło z ust kapitana). Potem pan Taylor „udał się na rufę, by zawiadomić pana Summersa”, ale „dostał butelkę od pana Cumbershuma”, zanim zdołał zrealizować swój zamiar.

Kapitan skinął głową, a pan Taylor nie kryjąc ulgi wyszedł z kabiny. Kompletnie zdezorientowany zwróciłem się do Summersa:

- Dostał butelkę? A na co mu butelka, do wszystkich diabłów?

- „Dostać butelkę” znaczy tyle, co zostać złajany, panie Talbot - warknął kapitan. - Kontynuujmy, panowie.

Następnym świadkiem był niejaki East, zacny emigrant, mąż dziewczyny, której wynędzniała twarz wywarła na mnie tak wielkie wrażenie. Umiał czytać i pisać. Owszem, znał z widzenia pana Colleya i wiedział, że człowiek ten jest duchownym. Nie, nie widział go podczas „borsuczej torby”, jak mawiają marynarze, ale słyszał, co się wówczas wydarzyło. Być może słyszeliśmy o tym, jak bardzo chora jest jego żona; prawie nie opuszczał jej, a pomagała mu pani Roustabout, choć zostało jej już bardzo niewiele dni do rozwiązania. Nie wydaje mu się, żeby pan Colley wiele mówił, zanim wychylił pierwszy kubek z marynarzami. Głośny aplauz i śmiech, który dotarł do naszych uszu? To była reakcja na słowa pastora, kiedy ten spoufalili się już nieco z załogą. Groźne pomruki i gniewne odgłosy? Na ten temat nic nie może nam powiedzieć. Wie tylko tyle, że marynarze zabrali pastora na dół, tam, gdzie młody dżentelmen, który przed chwilą stąd wyszedł, zajmował się jakimiś linami, czy też łańcuchami. Nie wie nic więcej, bo opiekował się żoną. Ma nadzieję, że nie zostanie mu to poczytane za zuchwałość, ale jego zdaniem od nikogo nie uda nam się uzyskać bardziej szczegółowych informacji.

Pozwoliliśmy mu odejść. Wyraziłem opinię, że nieco światła na interesujące nas wydarzenia mogą rzucić zeznania człowieka, który przyprowadził, czy raczej przywłókł Colleya na rufę. Może on wie, kto upił pastora, albo zmusił go siłą do wypicia rumu? Kapitan Anderson przyznał mi rację i oznajmił, że wydał już polecenie, by przyprowadzono tego osobnika, następnie zaś dodał głosem niewiele donośniejszym od szeptu:

- Mój informator doradził mi, żebyśmy go zdrowo przycisnęli!

Tym razem nie wytrzymałem.

- Odnoszę wrażenie, iż tylko niepotrzebnie mącimy wodę, jakbyście powiedzieli w swojej gwarze, panowie. Ten człowiek z pewnością nie upił się z własnej woli. Są ludzie, o czym właśnie mieliśmy okazję się przekonać, którzy biorą sobie do serca wszelkie objawy gniewu lub niechęci, a sumienie mają tak wrażliwe, że mogą umrzeć po czymś, co na przykład taki pan Brocklebank potraktowałby jako drobny grzeszek zaledwie, nie wart tego, by wracać do niego pamięcią! Czy naprawdę nie jesteśmy w stanie przyznać, choćby sami przed sobą, że co prawda bezpośrednią przyczyną zgonu pana Colleya był brak umiaru w picciu, ale że w ramiona pijaństwa pchnęła go całkowita obojętność, jakiej od wszystkich

doświadczal?

Wykazałem się nielichą odwagą, nieprawdą? Powiedziałem tyranowi prosto w twarz, że... On jednak wpatrywał się we mnie ze zdumieniem.

- Obojętność? - powtórzył.

- Powiedzmy raczej: brak umiaru - wtrącił się pospiesznie pan Summers. - To brzmi dużo lepiej.

- Chwileczkę, Summers. Panie Talbot, jestem gotów zapomnieć o „całkowitej obojętności”, o której był pan łaskaw wspomnieć, ale czy pan naprawdę niczego nie rozumie? Czy uważa pan, że pojedynczy pijacki wybryk...

- Przecież sam pan chciał, kapitanie, żeby przypisać ten wypadek „niskiej gorączce”!

- To było wczoraj. Powiadam panu, uważam za całkiem prawdopodobne, iż człowiek ten, całkowicie zamroczony alkoholem, stał się obiektem kryminalnej napaści ze strony jednego albo kilku zbrodniarzy, i że dopiero to upokorzenie spowodowało jego śmierć!

- Dobry Boże!

Zrozumienie nie spłynęło na mnie, lecz uderzyło z siłą gromu, prawie pozbawiając zmysłów. Przez dobrych kilka minut nie mogłem zebrać myśli, a kiedy wreszcie doszedłem do siebie, usłyszałem następujące słowa kapitana:

- Nie, Summers. Nie dopuszczę do żadnych przemilczeń, ale nie mam też ochoty wysłuchiwać bezsensownych oskarżeń, podważających mój autorytet jako dowódcy tego statku i kwestionujących zasady, jakimi kieruję się ustalając zasady postępowania z pasażerami!

Summers poczerwieniał na twarzy.

- Proszę mi wybaczyć, panie kapitanie, jeśli posunąłem się za daleko.

- Przyjmuję twoje przeprosiny, Summers. Czy możemy wracać do pracy?

- Ależ, panie kapitanie! - wykrzyknąłem, wreszcie odzyskawszy głos. - Przecież nikt nie przyzna się do czegoś takiego!

- Jest pan jeszcze bardzo młody, panie Talbot. Nawet pan nie podejrzewa, iloma kanałami rozchodzą się wiadomości po statku takim jak nasz, nawet jeśli niedawno wszedł do służby.

- Kanałami? Czyżby miał pan na myśli swego informatora?

- Wolałbym wznowić przesłuchanie - odparł kapitan. - Niech wejdzie ten człowiek.

Summers wyszedł z kajuty, by po chwili wrócić, prowadząc ze sobą Rogersa. Tak, był to ten sam marynarz, który przywłókł pod główny maszt pijanego Colleya. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak wspaniale umięśnionego młodego mężczyzny; był

obnażony do pasa i choć pewne cechy jego budowy wskazywały na to, że w przyszłości może mieć kłopoty z tuszą, to na razie mógłby pozować samemu Michałowi Aniołowi! Szeroka pierś i potężny kark miały barwę ciemnobrązową, podobnie jak przystojna twarz, na której jaśniało kilka równoległych blizn.

- Summers poinformował mnie, że ma pan pewne doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań - szepnął do mnie kapitan.

- Ja? To znaczy, on?

Wasza lordowska mość bez trudu może zauważyć, iż nie byłem w najlepszej formie. Twarz Andersona rozpromienił szeroki uśmiech.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Wcale mi na tym nie zależało, ale cóż, było już za późno, żeby się wycofać.

- Jak się nazywacie, dobry człowieku?

- Billy Rogers, wasza lordowska mość. Postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu.

Może tytuł, którym mnie obdarzył, będzie stanowił dobry omen?

- Chcemy dowiedzieć się od ciebie kilku rzeczy, Rogers. Przede wszystkim zależy nam na tym, abyś opowiedział nam ze szczegółami, co zdarzyło się w forkasztelu, kiedy pojawił się tam ów dżentelmen.

- Jaki dżentelmen, proszę waszej lordowskiej mości?

- Pastor. Wielebny pan Colley, który niedawno zmarł.

Rogers stał w pełnym świetle, przodem do wielkiego okna. Pomyślałem sobie, że rzadko kiedy zdarza się oglądać równie szczerą i uczciwą twarz.

- Wypił kapkę za wiele, wasza lordowska mość, no i trochę go zmogło.

Nadeszła pora spróbować manewru okrążającego, jak mawia się u nas, w Marynarce!

- Skąd masz te blizny na twarzy?

- Zrobiła mi je dziewczka, wasza lordowska mość.

- Musiała więc chyba być dziką kocią?

- Wcale nie, wasza lordowska mość.

- Ty zawsze stawiasz na swoim, prawda?

- Słucham?

- Zmusiłeś ją, by ci uległa, naturalnie dla jej własnego dobra?

- Nie wiem, o czym wasza lordowska mość mówi, ale to było tak, że bryknęłaby za drzwi z resztą mojej forsy, gdybym nie złapał jej i trochę nią nie potrząsnął.

Kapitan Anderson zerknął na mnie z rozbawieniem.

- Jeśli wasza lordowska mość pozwoli... Do licha, naigrawał się ze mnie! Nie

pozwoliłem mu dokończyć.

- W porządku, Rogers, dajmy spokój kobietom. A jak wygląda sprawa z mężczyznami? Podczas pobytu w forkasztelu pan Colley został śmiertelnie znieważony. Kto to zrobił?

Na twarzy marynarza nie drgnął ani jeden mięsień.

- Mów, Rogers! - warknął kapitan. - Czy zdziwiłaby cię wiadomość, że między innymi właśnie ty jesteś podejrzany o popełnienie tego bestialskiego czynu?

W postawie mężczyzny zaszła natychmiastowa zmiana: zgarbił się nieco i przesunął do tyłu jedną stopę, jakby szykując się do skoku, a także zacisnął pięści. Spoglądał kolejno na nasze twarze, na podstawie ich wyrazu usiłując się zorientować, który z nas stanowi dla niego największe zagrożenie. W mgnieniu oka staliśmy się jego nieprzyjaciółmi!

- O niczym nie wiem, panie kapitanie. Naprawdę o niczym!

- To może nie mieć nic wspólnego z tobą, młody człowieku. Wydaje mi się jednak, że wiesz, kto to zrobił.

- Kto co zrobił, panie kapitanie?

- Kto dopuścił się zbrodniczej napaści na pana Colleya<sup>3</sup> w wyniku czego dzentelmen ów umarł!

- Nic nie wiem, daję słowo! Jakoś udało mi się zebrać myśli.

- Daj spokój, Rogers. Przecież wszyscy widzieliśmy was razem. Na razie, z braku innych dowodów, twoje nazwisko zajmuje pierwsze miejsce na liście podejrzanych. Mów zaraz, co mu zrobiliście!

Chyba nawet ja sam nie zdołałbym przywołać na twarz wyrazu równie bezbrzeżnego zdumienia.

- My coś mu zrobiliśmy, wasza lordowska mość?

- Z pewnością masz świadków, którzy potwierdzą twą niewinność. Ponieważ sam nie uczyniłeś nic złego, pomóż nam odnaleźć i ukarać winowajców.

Nic nie odpowiedział, ale nadal pozostał bardzo spięty.

- Chodzi mi o to, dobry człowieku, że moim zdaniem bez trudu mógłbyś wskazać sprawcę, albo przynajmniej wymienić nazwiska ludzi, którzy, twoim zdaniem, byliby zdolni dopuścić się tego ohydneho czynu.

Kapitan Anderson gwałtownie podniósł głowę.

- Chodzi o pederastię, Rogers. On mówi o pederastii.

Zaraz potem znowu utkwiał wzrok w papierach leżących przed nim na stole, umaczał pióro w kałamarzu i zawiesił je nad czystą kartką. Milczenie przeciągało się, aż wreszcie



przerwał je sam kapitan:

- Dalej, człowieku! - warknął ze zniecierpliwieniem. - Przecież nie będziemy tak siedzieć cały dzień!

Znowu zapadła cisza. Rogers spoglądał na nas, odwracając już nie tylko głowę, ale całe ciało, nadal spięte do skoku, by wreszcie utkwic wzrok w twarzy dowódcy.

- Tak jest, panie kapitanie.

Zaraz potem wysunął do przodu górną wargę, przygryzł dolną, przez chwilę zdawał się z głębokim namysłem ugniatać ją białymi zębami, a następnie zapytał:

- Czy mam zacząć od oficerów? Najważniejsze było to, żebyśmy się nie poruszyli.

Najmniejsze drgnięcie mięśni, najbardziej przelotne spojrzenie rzucone w kierunku Summersa albo kapitana, równałyby się niewybaczalnemu oskarżeniu. Akurat w tej sprawie miałem całkowitą pewność, iż żaden z nich nie wykazywał zwyrodniałych upodobań, oni zaś bez wątpienia wiedzieli to samo, ale także znieruchomieli jak woskowe figury. Przez minutę lub dwie przedstawialiśmy dość niezwykły widok, gdyż Rogers również stał jak posąg.

W tej sytuacji pierwszy ruch musiał wykonać kapitan, z czego zapewne doskonale zdawał sobie sprawę. Położywszy pióro na stole przemówił grobowym tonem:

- W porządku, Rogers, to wszystko. Możesz wracać do swoich obowiązków.

Marynarz poczerwieniał, by zaraz zblednąć, po czym z donośnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc, otarł czoło, uśmiechnął się, odwrócił i wyszedł z kajuty. Doprawdy nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo siedzieliśmy bez ruchu w głuchym milczeniu. W moim przypadku sprawa była prosta: najzwyczajniej w świecie bałem się zrobić albo powiedzieć coś niewłaściwego, co w tych okolicznościach zostałoby, jeśli można tak rzec, podniesione do nie wiadomo której potęgi i mogłoby spowodować trudne do przewidzenia, choć z pewnością oplakane skutki. Starłem się ze wszystkich sił, by o niczym nie myśleć, gdyż, wiedziałem to, w przeciwnym razie na mojej twarzy pojawi się głęboki rumieniec, na czoło zaś wystąpią krople potu. Całkiem świadomie utrzymywałem swój umysł w stanie odrętwienia, czekając na rozwój wydarzeń. Przecież spośród nas trzech ja bez wątpienia nie powinienem zabierać głosu! Rogers schwytał nas w pułapkę. Chyba nie wywołam zdziwienia waszej lordowskiej mości, jeśli powiem, że do zamkniętych na głucho bram mego umysłu już wtedy zaczęły kołatać rozmaite podejrzenia?

I tym razem kapitan Anderson litościwie wyrwał nas z katalepsji. Co prawda nie poruszył się, ale przemówił jakby do siebie:

- Świadkowie, dochodzenie, oskarżenia, kłamstwa, kolejne kłamstwa, sąd wojenny... Jeżeli ten człowiek ma dość oleju w głowie, a nie wątpię, że ma, mógłby nas wszystkich

zniszczyć. W takiej sprawie nie sposób udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że jest się niewinnym, więc ktoś musiałby zawisnąć. - Odwrócił się do Summersa. - Wydaje mi się, że nasze śledztwo dobiegło końca. Mamy jeszcze jakiegoś informatora?

- Nie, panie kapitanie. To cuchnąca sprawa.

- Zgadzam się z panem, Summers. Chce pan coś powiedzieć, panie Talbot?

- Doprawdy, brak mi słów, panie kapitanie. Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek poczuł się przyparty do muru, więc sięgnął po ostatnią broń, jaka mu została: szantaż.

Summers wreszcie się uśmiechnął.

- Właściwie pan Talbot jest jedyną osobą, która odniosła jakąś korzyść: przez pewien czas był lordem!

- Zapewniam pana, że wróciłem już na ziemię, chociaż zważywszy na fakt, że „waszą lordowską mością” uczynił mnie nawet kapitan, który ma prawo udzielać ślubów i odprawiać ceremonie pogrzebowe...

- Właśnie, pogrzeb. Napijecie się czegoś, panowie? Panie Summers, proszę zawołać Hawkinsa. Panu, panie Talbot, należą się podziękowania za pomoc, jaką nam pan okazał.

- Obawiam się, że nie na wiele się zdała. Kapitan wrócił już chyba do siebie, bo uśmiechnął się chytrze.

- A więc zostajemy przy „niskiej gorączce”... Sherry?

- Bardzo chętnie. Czy jednak naprawdę uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy<sup>3</sup> by wyjaśnić tę sprawę? Przecież nadal nie wiemy, co się naprawdę zdarzyło. Wspomniał pan o informatorach...

- Znakomita sherry! - przerwał mi kapitan. - Z tego co wiem, panie Summers, nie zwykł pan pić o tej porze, a poza tym będzie pan musiał dopilnować przygotowań do pochówku. Pańskie zdrowie, panie Talbot. Chyba zechce pan złożyć swój podpis na raporcie, jaki niebawem sporządzę?

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Nie pełnię żadnej funkcji na tym statku, więc...

- Och, daj pan spokój! Udałem, że znowu się namyślam.

- Napiszę własne oświadczenie i dołączę je do pańskiego raportu.

Kapitan Anderson zerknął na mnie spod krzaczastych brwi i bez słowa skinął głową. Opróżniłem duszkiem mój kieliszek.

- Panie kapitanie, wspomniał pan o jakichś informatorach...

Tym razem spiorunował mnie spojrzeniem.

- Ja, szanowny panie? Skądże znowu!

- Przecież zapytał pan pana Summersa...

- ...który odparł, że takowych nie mamy - wpadł mi w słowo dowódca statku, po czym dodał podniesionym głosem: - Ani jednego, panie Talbot, ani jednego! Rozumie pan? Nikt mi nie donosił, nikt! Możesz już odejść, Hawkins.

Odstawiłem pusty kieliszek na stół, a Hawkins zabrał go, wychodząc z kabiny. Kapitan zaczekał, aż steward zamknie za sobą drzwi, po czym odwrócił się ku mnie.

- Służący mają długie uszy, panie Talbot!

- Och, nie wątpię. Szczególnie mój zacny Wheeler.

Anderson uśmiechnął się ponuro.

- Istotnie! Ten człowiek rzeczywiście ma uszy i oczy dokoła głowy.

- Cóż, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, w oczekiwaniu na smutną ceremonię zajmę się moim dziennikiem.

- Prawda, jest jeszcze dziennik. Proszę koniecznie napisać, panie Talbot, że bez względu na to, co mówią pasażerowie, moi marynarze i oficerowie są bardzo zadowoleni ze służby na tym statku!

\*\*\*

O trzeciej po południu zgromadziliśmy się na śródokręciu. Wartę honorową pełnili żołnierze Oldmeadowa uzbrojeni w skałkówki, czy jak tam się nazywają te niezgrabne, śmiercionośne narzędzia. Sam Oldmeadow stawiał się w galowym mundurze i z szablą przy boku, tak samo jak wszyscy oficerowie ze statku. Nawet młodzi aspiranci przypasali sztylety, na twarze zaś przywołali grymasy, mające chyba wyrażać głęboki żal. Każdy z nas, pasażerów, założył swój najciemniejszy strój. Jedynie marynarze, ustawieni w dwuszeregu przez wachtowych, mieli pstrokate ubiory i nieco różnili się wyglądem od reszty zgromadzenia. Korpulentny pan Brocklebank trzymał się w miarę prosto, ale cerę miał ziemistą i z trudem stał na nogach po pijaństwie, które pozbawiłoby przytomności dwa tuziny Colleyów. Przypatrując się temu człowiekowi doszedłem do wniosku, że gdyby to jego spotkały takie przejścia, jak nieszczęsnego pastora, wykpiłby się niezbyt dokuczliwym bólem brzucha i zawrotami głowy. Z tak różnych gatunków materii skrojono ludzi, którzy mnie otaczają! Damy, które z pewnością przewidziały tego rodzaju okazje, szykując się do podróży, stawiały się w pełnej żałobie - nawet dwie kokoty Brocklebanka, podtrzymujące go pod rękę. Także pan Prettiman postanowił uczestniczyć w „zabobonnym rytuale”, zapewne namówiony do tego przez pannę Granham. Cóż znaczy cały jego ateizm i republikanizm wobec tej córki kanonika z katedry w Exeter? Ujrzawszy go, jak przestępuje nerwowo z nogi

na nogę przy jej boku, pomyślałem sobie, że z nich dwojga to ona jest osobą, której powinienem przekazać delikatne ostrzeżenie, jakie miałem zamiar skierować pod adresem naszego notorycznego wolnomyśliciela!

Wasza lordowska mość z pewnością zauważył, że otrząsnąłem się już nieco z przygnębiającego wrażenia, jakie wywarł na mnie list Colleya. Nie można przecież w nieskończoność biadać nad przeszłością ani roztrząsać przypadkowego związku między własną głupotą a czyjąś zbrodnią. Przyznam bez większego wstydu, iż morska ceremonia, jakiej za chwilę miałem stać się świadkiem, ogromnie mnie zaintrygowała! Zaiste, nie często zdarza się uczestniczyć w pogrzebach odbywających się w takim egzotycznym otoczeniu! Nie dość, że sam rytuał był dość niezwykły, to jeszcze jego główni uczestnicy posługiwali się niemal wyłącznie marynarskim żargonem, a przecież wasza lordowska mość wie, iż zawsze z rozkoszą przysłuchuję się tej mowie. Bez wątpienia zwróciłeś już uwagę, ojcze chrzestny, na tak niezwykle wyrażenia jak choćby „borsucza torba”; już Serwiusz zauważył (w każdym razie, wydaje mi się, że to był on), że w „Eneidzie” jest kilka związanych z morzem wyrazów i zwrotów całkowicie niezrozumiałych, których znaczenia nie sposób wyjaśnić ani przy pomocy wiedzy filologicznej, ani dzięki natchnieniu? Postaram się dostarczyć waszej lordowskiej mości jeszcze kilku takich „morskich” zagadek.

Rozległo się stłumione uderzenie okrętowego dzwonu i na pokład wyniesiono na desce ciało przykryte flagą. Położono je stopami w kierunku szlachetniejszej prawej burty, przez którą opuszczają pokład admirałowie, nieboszczycy oraz inne znakomitości. Ciało wydało mi się dziwnie długie, ale później powiedziano mi, że to dlatego, iż do stóp umocowano dwie spośród nielicznych kul armatnich, jakie jeszcze zostały na naszym statku. Kapitan Anderson, w mundurze kapiącym od złota i srebra, stanął przy zwłokach. Teraz już wiem, że zarówno on, jak i pozostali oficerowie przechodzili staranne szkolenie w zakresie ceremoniału, jakiego należy przestrzegać podczas, jak się wyraził młody pan Taylor „zrzucania balastu za burtę”.

Niemal wszystkie żagle były zwinięte, toteż „stanęliśmy w dryf”, przez co należy rozumieć, że statek trwał w niemal całkowitym bezruchu. Jednak pech nie opuścił biednego Colleya nawet po śmierci, gdyż ledwie deska z ciałem znieruchomiała na pokładzie, usłyszałem jak pan Summers szepcze do pana Deverela:

- Założę się, Deverel, że sternik zaraz zgłupieje i zaczniemy płynąć do tyłu!

Niemal w tej samej chwili gdzieś spod kadłuba statku dobiegło ciężkie, rytmiczne dudnienie, jakby sam Davey Jones\* [\*Davey Jones - duch morski (przyp. tłum)]. usiłował zwrócić na siebie uwagę, albo informował nas, że jest głodny! Deverel wykrzyknął jakiś

niezrozumiały rozkaz, część marynarzy rzuciła się go wykonać, natomiast kapitan Anderson, ściskając modlitewnik jak granat, ryknął na porucznika Summersa:

- Panie Summers, czy chce pan, byśmy stracili ty Inicę?!

Summers nic nie odpowiedział, ale dudnienie ucichło, co sprawiło, że kapitan także spuścił nieco z tonu.

- Czopy ruszają się jak zęby stuletniego starca! Summers skinął głową.

- Wiem, panie kapitanie, ale dopóki nie wyciągniemy statku na ląd...

- Im prędzej odpadniemy od wiatru, tym lepiej. Niech diabli porwą tego pijanego majstra!

Spojrzał ponuro na kształt spowity flagą, po czym podniósł wzrok na żagle, które, jakby w odpowiedzi na jego żale, zatrzepotały głośno. Czy to nie było wspaniałe?

Po pewnym czasie kapitan rozejrzał się dokoła i wzdrygnął się wyraźnie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z naszej obecności. Korci mnie, by napisać, że „wzdrygnął się jak przestępca, któremu w obliczu sądu przedstawiono niezbite dowody zbrodni”, ale tak nie było. Kapitan wzdrygnął się jak człowiek, który na chwilę pogrążył się w myślach i na śmierć zapomniał o tym, że musi jeszcze pozbyć się pewnego trupa. Bezzwłocznie otworzył modlitewnik, wymamrotał zachętę, byśmy wszyscy skierowali myśli ku naszemu Stwórcy, i tak dalej. Chyba bardzo zależało mu na tym, aby jak najszybciej mieć wszystko za sobą. Nigdy w życiu nie byłem świadkiem tak szybko odprawionej ceremonii pogrzebowej. Damy ledwo zdążyły wydobyć chusteczki (w celu otarcia łez), my zaś jak zwykle spoglądaliśmy przez chwilę z powagą na zdjęte z głów kapelusze, ale w porę uprzytomniłszy sobie, że to może jedyna okazja, aby obejrzeć tak egzotyczny obrządek, i szybko podnieśliśmy głowy. Po cichu liczyłem na to, że żołnierze Oldmeadowa oddadzą salwę honorową, lecz później dowiedziałem się od niego, iż z powodu jakiejś różnicy zdań między Admiralicją a Ministerstwem Wojny nie wydano im ani krzesiwa, ani prochu. Mimo to prawie równo zaprezentowali broń, oficerowie zaś błysnęli szablami. Zastanawiam się, czy tak właśnie powinien wyglądać pogrzeb pastora? Nie wiem i oni też nie wiedzieli. Rozległy się piszczące dźwięki fujarki oraz stłumiony łoskot bębna - coś w rodzaju smutnej uwertury, czy raczej postludium, zważywszy na okoliczności... A może listu przewodniego?

Wasza lordowska mość bez trudu zauważył, że „Ryszard znowu stał się sobą”, albo raczej, że przestałem zadręczać się bezproduktywnymi (a może i bezzasadnymi?) wyrzutami sumienia.

W chwili, gdy kapitan Anderson zachęcił nas ponurym głosem, byśmy pogrążyli się w rozmyślaniach o czasie, kiedy znikną zarówno lądy, jak i morza, sześciu ludzi dmuchnęło co

sił w bosmańskie gwizdki. Wasza lordowska mość zapewne nigdy nie słyszał bosmańskiego gwizdka, spieszę więc z informacją, iż w jego dźwięku jest mniej więcej tyle samo melodii, co we wrzaskach parzących się kotów, a jednak... Ten ostry, świdrujący jazgot, ten przeraźliwy, wysoki dźwięk, zakończony nagłą, wypełnioną echem ciszą, zabrzmiał niczym przejmujący do szpiku kości krzyk niosący w sobie więcej znaczeń, niż wszystkie religie i filozofie razem wzięte. Był to po prostu głos Życia płaczącego nad Śmiercią.

Zanim zdążyłem do końca pojąć uczucia, jakie mnie ogarnęły, deska powędrowała w górę i doczesne szczątki wielebnego Roberta Jamesa Colleya wysunęły się spod flagi, by wpaść do wody z pojedynczym, donośnym pluskiem, zupełnie jakby pastor był za życia wyśmienitym nurkiem i wielokrotnie ćwiczył ceremonię własnego pogrzebu, tak by wszystko odbyło się bez najmniejszych zakłóceń. Rzecz jasna, bardzo pomocne okazały się kule armatnie, ciągnąc go swym ciężarem ku niezmiernym głębinom. Tak więc można powiedzieć, że szczątki Colleya, opadające „głębiej niż sięga ołowiana łoża sondy”, znalazły jednak jakieś solidne oparcie. (Jeżeli w którymś z obrośniętych rytuałami momentów życia nie można akurat skorzystać z modlitewnika, warto sięgnąć po Szekspira. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej stosownego!)

Można by pomyśleć, że nastąpiła teraz chwila skupionego milczenia, tak jak zwykle dzieje się na cmentarzu, zanim żałobnicy ruszą grupkami ku bramie. Nic z tych rzeczy! Kapitan zamknął z trzaskiem modlitewnik, gwizdki zaświergotały ponownie, tym razem jakby nagłąco, Anderson zaś dał znak porucznikowi Cumbershumowi, który zasalutował i ryknął co sił w płucach:

- Steeeeeeeeeoooooaaaauuurt!

Statek posłusznie zaczął skręcać, by wrócić na kurs i ponownie ruszyć w kierunku jakże odległego celu, marynarze rozbiegli się we wszystkie strony, by zacząć wspinać się na reje i rozwijać żagle, kapitan Anderson zaś odmaszerował z granatem... to znaczy, z modlitewnikiem w ręku do swojej kajuty, przypuszczalnie po to, żeby dokonać wpisu do dziennika okrętowego. Krótko mówiąc, wszystko wróciło do normy. Ja także udałem się do kabiny, gdzie począłem zastanawiać się nad treścią stosownego oświadczenia. Powinno zostać tak sformułowane, aby sprawić jak najmniej bólu siostrze Colleya. Zgodnie z życzeniem kapitana pozostaniemy przy „niskiej gorączce”. Nie wolno mi się zdradzić, że usypałem już ścieżkę z prochu, którą wasza lordowska mość będzie mógł bez trudu podpalić, jeśli tylko zechce. Mój Boże, toż na tym przedziwnym statku zmieścił się cały świat, razem z narodzinami, miłością, zrzękowinami, małżeństwem i śmiercią!

&

No! Mam nadzieję, że ten znak wygląda wystarczająco osobliwie? Żadnych dat, liter alfabetu ani kolejnych (przypuszczalnych!) dni podróży. Co prawda mógłbym nadać temu ustępowi tytuł „Dodatek”, ale byłoby to stanowczo zbyt proste. Poza tym, skoro dotarliśmy do końca, to nie ma już nic do dodania... Chociaż jest, ma się rozumieć, choćby zapiski z bieżącego dnia, ale kiedy przeglądam teraz mój dziennik, stwierdzam ze zdziwieniem, iż bez mej wiedzy stał się on zapisem dramatu - dramatu Colleya. Teraz dramat ów dobiegł końca, a nieszczęsny pastor stoi wiele mil pod powierzchnią morza na armatnich kulach, „sam, całkiem sam”, jak powiada pan Coleridge. Przyznam, iż czuję się trochę dziwnie, wracając do relacjonowania zwykłych wydarzeń, zupełnie pozbawionych dramatycznego napięcia, ale między pięknie zdobionymi okładkami podarunku waszej lordowskiej mości zostało jeszcze kilka pustych stron, mimo że starałem się przeciągnąć opis pogrzebu w złudnej nadziei, iż uda mi się stworzyć coś w rodzaju dzieła zatytułowanego „Upadek i godny pożałowania koniec wielebnego Roberta Jamesa Colleya, razem z krótkim opisem jego morskich egzekwii”. Niestety, na próżno. Prawdziwe życie i prawdziwa śmierć nie dadzą się wpasować między okładki, tak samo jak zniekształcona stopa nie zmieści się do pierwszego z brzegu buta. Naturalnie będę dalej prowadził dziennik podróży, ale już w innej księdze, zakupionej przez Phillipa u płatnika i nie zamykanej na klucz. Właśnie: okazało się, że lęk oraz zmowa milczenia otaczająca płatnika miały przyczynę wyjątkowo przyziemnej natury. Dowiedziałem się tego od Phillipa, który jest znacznie bardziej gadatliwy niż Wheeler. Otóż wszyscy, kapitana nie wyłączając, są u niego zadłużeni po uszy!

A propos Phillipa: zatrudniłem go, ponieważ, choć niemal zdarłem sobie gardło, nie mogłem dowołać się Wheelera, który jest teraz poszukiwany.

\*\*\*

Był poszukiwany. Summers przed chwilą przyniósł mi wiadomość, że Wheeler zniknął na dobre. Wypadł za burtę. Wheeler! Rozpłynął się niczym sen, razem ze swoją łysiną, wianuszkami siwych włosów, świętoszkowatym uśmiechem, kompletną wiedzą o wszystkim co dzieje się na statku, uśmierającym specyfikiem oraz szczerym pragnieniem dostarczenia szanownemu dżentelmenowi każdej rzeczy, jaka istnieje pod słońcem, naturalnie pod warunkiem, że szanowny dżentelmen odpowiednio zapłaci! Wheeler, który, jak wyraził

się kapitan, „miał oczy i uszy dokoła głowy”! Będzie mi go brakowało, gdyż Phillips z pewnością nie da rady poświęcać mi równie dużo uwagi. Niedawno musiałem sam zdjąć buty, ale na szczęście Summers, który akurat wtedy przyszedł, okazał dobre serce i zechciał mi pomóc. Dwa trupy w ciągu zaledwie kilku dni!

- Całe szczęście, że tym razem już nikt nie może mnie oskarżyć, iż maczałem w tym palce! - powiedziałem do Summersa.

Porucznik nic nie odparł, gdyż właśnie łapał oddech, zasapawszy się przy ściąganiu mi butów. Bez słowa przyglądał się, jak zakładam wyszywane pantofle.

- Życie to bezkształtna magma, Summers, a literatura na próżno stara się nadać mu jakiś kształt.

- Wcale nie, proszę pana, ponieważ oprócz śmierci towarzyszy nam także życie. Pat Roundabout...

- Roundabout? Wydawało mi się, że jej nazwisko brzmi „Roustabout”!

- To bez znaczenia, proszę pana. W każdym razie niedawno powiła córeczkę, która otrzyma imię naszego statku.

- Nieszczęsna istotka! A więc stąd wzięło się to zawodzenie, prawie takie samo jak wtedy, kiedy Bessie złamała nogę?

- Tak jest, proszę pana. Pójdę teraz sprawdzić, jak się miewają.

Zostawił mnie samego z tymi nie zapisanymi stronami. Wieści, więcej wieści! Ale jakich? Owszem, jest ich trochę, tyle że związanych nie z Colleyem, lecz z kapitanem. Właściwie powinienem był przekazać je znacznie wcześniej, w czwartym, albo może nawet w trzecim akcie; ponieważ jednak tego nie uczyniłem, muszą przekuśtykać już po zakończeniu spektaklu, niczym satyryczny epilog tragicznej trylogii. Nie, z pewnością nie jest to rozwiązanie dramatu, a co najwyżej mało efektowne wyjaśnienie. Wasza lordowska mość zapewne pamięta wielką odrazę kapitana Andersona do stanu duchownego. Za chwilę nie tylko ja, ale obaj będziemy wiedzieli, co stało się jej przyczyną.

Cyt! - jak mawiają w książkach. Zaraz wracam, tylko zarygluję drzwi!

Powiedział mi o tym Deverel. Ostatnio zaczął bardzo pić - „bardzo” w porównaniu z tym, co było przedtem, a o nim akurat nie da się powiedzieć, żeby kiedykolwiek wylewał za kołnierz. Kapitan Anderson, lękając się nie tylko mego dziennika, ale także pozostałych pasażerów, z których wszyscy (z wyjątkiem nieugiętej panny Granham) są przekonani, że „ten biedak Colley” został w okrutny sposób z maltretowany, udzielił ostrej reprimendy Cumbershumowi i Deverelowi, wielce niezadowolony z roli, jaką odegrali w niedawnej aferze. Na Cumbershumie, który zdaje się być wyciosany z drewna, nie wywarło to



większego wrażenia, natomiast Deverel poczuł się dotknięty, ale jako oficer nie mógł zażądać satysfakcji, jak uczyniłby na jego miejscu każdy dżentelmen, więc nie pozostało mu nic innego, jak martwić się i pić. Minionej nocy przyszedł, zdrowo podchmielony, do mej kajuty, by lekko jękając się i trochę bełkocząc przekazać mi, jak to określił, „kilka istotnych informacji dotyczących przeszłości kapitana”, które, jego zdaniem, powinienem umieścić w moim dzienniku. Jednak nie był aż tak pijany, żeby nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Niech więc wasza lordowska mość wyobrazi sobie nas dwóch w oświetlonej blaskiem świecy kajucie, siedzących obok siebie na koi, przy czym ja mam głowę lekko przechyloną na bok, Deverel zaś z zapalem szepcze mi do ucha! Opowieść dotyczyła pewnego szlachetnego rodu, być może nawet znanego waszej lordowskiej mości, którego posiadłości graniczą z ziemią Deverelów. Jakby powiedział Summers, członkowie tego rodu wykorzystywali wszystkie przywileje związane z ich pozycją, zapominali natomiast o obowiązkach. Ojciec młodego lorda utrzymywał bardzo zażyłe stosunki z kobietą nadzwyczajnej urody, nieszczerólnego intelektu oraz, jak się miało okazać, wyjątkowej płodności. Korzystanie z przywilejów jest czasem bardzo kosztowne. Po pewnym czasie lord L. (to już prawie jak z Richardsona, nieprawdaż?) stwierdził, że na gwałt potrzebuje ogromnej fortuny. Udało mu się takową znaleźć, ale rodzina władająca tą fortuną zażądała stanowczo, by lord natychmiast odprawił uroczą niewiastę, której jedyną wadą było to, że nie miała okazji powiedzieć „tak” po kilku zdaniach wymamrotanych przez pastora. Świadomość powagi sytuacji dotarła nawet do niezbyt lotnego umysłu ulubienicy lorda. Przecież w grę wchodziła fortuna! Właśnie wtedy jednak Opatrzność postanowiła przyłączyć się do zabawy: beneficjent jednego z trzech majątków należących do rodziny zginął podczas polowania! Jego prawny opiekun (podobno okrutny nudziarz) stał się właścicielem majątku i dał się łatwo przekonać, aby przyjąć do siebie uroczą damę, jak się wyraził Deverel, „wraz z dobrodziejstwem inwentarza”. W ten sposób lord zdobył upragnioną fortunę, damulka męża, natomiast wielbny Anderson żonę, ciepły ką, a na dokładkę już odchowanego potomka! Kiedy tylko stało się to możliwe, chłopca wysłano na morze, gdzie dzięki poparciu prawdziwego ojca - co prawda mało entuzjastycznemu i udzielanemu raczej od przypadku do przypadku - dość szybko awansował. Teraz jednak stary lord już nie żyje, młody natomiast nie ma najmniejszego powodu, aby darzyć przyjaznymi uczuciami swego przyrodniego brata, a w dodatku bękarta.

Wszystko to zostało wyszeptane do mego ucha w pełgającym blasku świecy, przy akompaniamencie gniewnych pomruków wydawanych przez sen przez pana Prettimana, oraz dobiegających zza przeciwległej ściany pochrapywań i pierdnięć pana Brocklebanka. W

pewnej chwili na pokładzie nad naszymi głowami rozległ się donośny okrzyk:

- Ósma szklanka i wszystko w porządku!

Deverel z pijacką serdecznością objął mnie ramieniem i wyjąwił, dlaczego mi o tym wszystkim opowiada. Otóż zaraz po przybyciu do Zatoki Sydney, albo nawet na Przylądku Dobrej Nadziei, jeśli tylko przybijemy tam do brzegu, on, Deverel - zamierza zrezygnować ze służby, wyzwąć kapitana na pojedynek i zastrzelić go!

- Możesz pan być pewien - oznajmił znacznie donośniej głosem, wyciągnąwszy przed siebie trzęsącą się jak w febrze prawą rękę - że pierwszym strzałem zdejmę wronę siedzącą na dzwonnicy!

Następnie uściskał mnie ze wszystkich sił, kilka-kroć nazwał „kochanym Edmundem”, po czym niemożebnie bełkocząc poprosił, abym zgodził się zostać jego sekundantem, a gdyby za sprawą jakichś diabelskich sztuczek pojedynek zakończył się nie po jego myśli, żebym nie zapomniał napisać o wszystkim w swoim słynnym dzienniku.

Z wielkim trudem udało mi się odprowadzić go do jego kajuty nie budząc przy tym całego statku. Ładne rzeczy! A więc to dlatego nasz kapitan tak bardzo nienawidzi duchownych! Byłoby chyba bardziej zrozumiałe, gdyby nienawidził lordów... Jedno nie ulega wątpliwości: Anderson został bardzo skrzywdzony, wszystko jedno przez kogo: lorda, pastora, czy życie, a w dodatku... Dobry Boże, czy ja nie mam nic lepszego do roboty, niż wynajdywać dla niego usprawiedliwienia?

Co się tyczy Deverela, to nieco się do niego zraziłem. Widzę teraz wyraźnie, iż popełniłem błąd, przedwcześnie darząc go zbyt wielkim szacunkiem. Stanowi co najwyżej przykład człowieka należącego do podupadającego, a być może nawet skazanego na zagładę rodu, w przeciwieństwie do pana Summersa, którego potomkowie mają szansę osiągnąć wielkie zaszczyty. Od tego wszystkiego zaczęło mi się mącić w głowie. W pewnej chwili pomyślałem, iż gdybym to ja padł ofiarą, to znaczy był owocem przygodnej miłości jakiegoś lorda, kto wie, czy nie zostałbym jakobinem, Przednia myśl, nieprawdaż? Edmund Talbot - jakobinem!

Zaraz potem przypomniałem sobie jednak o swoich planach skojarzenia Zenobii z Colleyem w celu uchronienia się przed ewentualnymi przykrymi konsekwencjami mojej przygody, i poczułem głębokie zażenowanie, a kiedy jeszcze pomyślałem o niedawnej rozmowie z Deverelem, który z pewnością uważał mnie za typowego przedstawiciela jednego ze „szlachetnych rodów”, na moją twarz wystąpił piekący rumieniec wstydu. Do czego to wszystko doprowadzi?

Nie da się ukryć, iż jedne narodziny nie równoważą dwóch zgonów. Wśród pasażerów

panuje powszechne przygnębienie, gdyż nie ulega wątpliwości, że morski pogrzeb, choćby nawet przedstawiony w krzywym zwierciadle satyry, stanowi nieszczególną okazję do szampańskiej zabawy. Wątpię, żeby zniknięcie Wheelera przyczyniło się do poprawy nastrojów.

\*\*\*

Minęły dwa dni od chwili, kiedy nieśmiało poprosiłem Summersa, by pomógł mi zzuć buty. Przez ten czas oficerowie bynajmniej nie próżnowali; Summers - zupełnie jakbyśmy byli na zwykłym statku handlowym, a nie prawie na okręcie wojennym! - doszedł do wniosku, że trzeba coś począć z nadmiarem wolnego czasu i zarządził, by pasażerowie zakwaterowani na rufie wystawili sztukę dla załogi oraz emigrantów z dziobowej części statku! Pomysł uzyskał błogosławieństwo kapitana i natychmiast zawiązał się specjalny komitet, w wyniku czego, nieco wbrew własnej woli, zostałem zmuszony do przebywania w towarzystwie panny Granham. Było to nadzwyczaj interesujące przeżycie! Otóż przekonałem się, że ta kobieta, ta elegancka, kulturalna dama, hołduje poglądom, które zmroziłyby krew w żyłach przeciętnego obywatela. Niechże wasza lordowska mość wyobrazi sobie, że osoba ta nie czyni żadnej różnicy między mundurami naszych oficerów, siermiężnymi strojami ze zgrzebnego płótna noszonymi przez naszych przodków, a tatuażami pełniącymi funkcję ubiorów na morzach południowych oraz, przypuszczalnie, na kontynencie australijskim! Co gorsza (naturalnie z punktu widzenia społeczeństwa), ona, córka kanonika, jednakowo traktuje indiańskich szamanów, syberyjskich czarowników i katolickich księży! Kiedy nieśmiało zapytałem, dlaczego przedstawiciele naszego duchowieństwa znaleźli w jej oczach nieco więcej uznania, odparła, iż wyłącznie dzięki temu, że nie starają się tak bardzo różnić ubiorem od pozostałych dżentelmenów. Przyznam, że odjęło mi mowę, ale bardzo szybko zrozumiałem, skąd wzięła się u niej ta bezkompromisowość poglądów, gdyż tuż przed obiadem ogłoszono oficjalnie o jej zaręczynach z panem Prettimanem! Stawszy się narzeczoną poczuła się nagle tak bezpiecznie, że niczego nie owija w bawełnę. Jakie zdanie musi mieć na nasz temat... Rumienię się na samo wspomnienie rzeczy, które wygadywałem w jej obecności, równie mądrych i odkrywczych, jak dukanie dzieci powtarzających wyuczoną na pamięć lekcję!

Jednak wiadomość ta podniosła wszystkich na duchu. Łatwo sobie wyobrazić te głośnie powinszowania i szeptane komentarze! Jeżeli chodzi o mnie, to tylko mam nadzieję, że kapitan Anderson, najbardziej ponury Hymen, jakiego można sobie wymyślić, połączy ich węzłem małżeńskim na pokładzie statku, dzięki czemu będziemy mieli pełen przegląd

rytuałów towarzyszących ludziom morza od narodzin aż do śmierci. Związek tych dwojga wydaje mi się... Cóż, zakochali się w sobie każde na swój sposób. Radosny nastrój zakłócił jedynie Deverel, oświadczył bowiem, że to wielka szkoda, iż zabrakło wśród nas pana Colleya, bo gdyby żył, mógłby natychmiast udzielić oblubieńcom radosnego sakramentu. W salonie zapadła cisza. Liczyłem na to, że panna Granham, która wcześniej podzieliła się z pokornym sługą waszej lordowskiej mości swymi poglądami na temat duchownych wszelkiej maści, powstrzyma się od komentarza] niestety, stało się inaczej.

- Zaiste, ten człowiek stoczył się na dno nikczemności.

- Ależ, szanowna pani! - zaprotestowałem. - *De mortuis*, i tak dalej... Doprawdy, jeden nieszczęśliwy wybryk... Zapewniam, że pan Colley był całkowicie nieszkodliwy.

Pan Prettiman podskoczył jak dźgnięty nożem.

- Nieszkodliwy?! - wykrzyknął. - Pastor miałby być nieszkodliwy?

- Nie miałam na myśli pociągu do mocnych trunków, lecz całkiem inny, bezwstydnym obyczaj - oświadczyła panna Granham swoim najbardziej lodowatym tonem.

- Ależ, proszę pani... Trudno mi uwierzyć, żeby... Taka dama nie może...

- Hola, szanowny panie! - wrzasnął pan Prettiman. - Czyżbyś wątpił pan w słowa damy?

- Skądże znowu! Nawet przez myśl mi nie przeszło...

- Panie Prettiman, proszę dać spokój, błagam pana.

- Nie, łaskawa pani. Nie mogę na to pozwolić! Pan Talbot ośmielił się zakwestionować prawdziwość pani słów, w związku z czym żądam natychmiastowych przeprosin, gdyż w przeciwnym razie...

- Przepraszam, przepraszam! - zawołałem, śmiejąc się głośno. - Proszę o wybaczenie, jeśli panią uraziłem, choć zapewniam, iż nie było to moim zamiarem.

- Gdyby nie przypadek, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o jego niecnym przyzwyczajeniach - oświadczył pan Prettiman. - Ładny mi pastor! Dwaj marynarze schodzili właśnie z masztu po sznurowej drabince umocowanej do burty w miejscu, gdzie panna Granham i ja - zapadł już zmrok - schowaliśmy się przed wiatrem za wielkim zwojem lin, czy też sznurów...

- Summers oświeć nas pan, co to było!

- To bez znaczenia.

- Dyskutowaliśmy wtedy o nieodwracalności procesu, dzięki któremu prawdziwa wolność musi prędzej czy później doprowadzić do prawdziwej równości, a ta z kolei... Ale to także jest w tej chwili mało ważne. Otóż marynarze ci nie mieli pojęcia o naszej obecności,

rozmawiali więc bez skrępowania, a my wszystko słyszeliśmy! - z uporem dokończył Prettiman.

- Już samo palenie tytoniu jest wstrętnym nałogiem, panie Talbot, ale przynajmniej dżentelmeni nie posuwają się dalej!

- Droga panno Granham...

- Pański „nieszkodliwy” pastor hołdował tym samym obyczajom co ludy kolorowe!

- Na Jowisza! - wykrzyknął z niedowierzaniem Oldmeadow. - Czyżby chciała pani powiedzieć, że Colley zuł tytoń?

Oficerowie i pasażerowie ryknęli śmiechem. Uczynił to nawet Summers, którego niełatwo rozbawić.

- To prawda - rzekł Summers, kiedy zrobiło się nieco ciszej. - Podczas jednej z pierwszych wizyt w jego kabinie zauważyłem spory pęk tytoniowych liści wiszących u sufitu. Zaczęły już pleśnieć, więc wyrzuciłem je za burtę.

- Ja nie widziałem żadnego tytoniu! - oświadczyłem stanowczym tonem. - Poza tym, to absurd przypuszczać, żeby taki człowiek...

- To było zanim zdecydował się pan go odwiedzić.

- Mimo wszystko nie mogę uwierzyć w te oskarżenia!

- Wobec tego, może uwierzy pan faktom! - wykrzyknął pan Prettiman z typową dla siebie gwałtownością. - Dzięki wrodzonym zdolnościom, pogłębionym wieloletnimi ćwiczeniami, potrafię zapamiętać wszystko, co mówi się w mojej obecności. Jestem gotów powtórzyć w dokładnym brzmieniu słowa tego marynarza!

Summers podniósł obie ręce w błagalnym geście.

- Nie trzeba, słowo daję! Oszczędź nas pan! Przecież to błahostka!

- Ładna mi błahostka, kiedy wątpi się w prawdomówność damy! Otóż marynarz ów powiedział do swego towarzysza, kiedy schodzili po drabince: „Jak Billy Rogers wrócił od kapitana, mało nie popłakał się ze śmiechu. Potem, jakeśmy poszli się załatwić, powiedział mi, że próbował już różnych rzeczy w życiu, ale jakoś nigdy nie wpadł na pomysł, żeby wetknąć prymkę pastorowi!”

Słowa te, w połączeniu z widokiem triumfującej miny pana Prettimana, jego rozwianych włosów, oraz brzmieniem głosu, naśladującego hultajski sposób mówienia marynarzy, przyprawiły nas niemal o konwulsje. Zdezorientowany filozof potoczył wkoło dzikim spojrzeniem, co tylko zwiększyło nasze rozbawienie. Czy można sobie wyobrazić bardziej absurdalną sytuację? Przypuszczam, iż dopiero to kuriozalne zdarzenie na dobre zmieniło nasz nastrój, napełniając wszystkich nadzwyczajnym zapałem do pracy. Nagle

wszyscy zaczęli dyskutować o przedstawieniu! Przekonaliśmy się już, że pan Prettiman ma wielki komediowy talent, ale pozostało jeszcze do uzgodnienia mnóstwo szczegółów dotyczących nie tylko obsady, lecz także samej treści spektaklu.

Nieco później wyszedłem na śródokręcie, by zażyć tradycyjnej przechadzki, i kogóż tam ujrzałem, jak nie „pannę Zenobię”, głęboko pogrążoną w rozmowie z Billym Rogersem! Wszystko wskazuje na to, że właśnie on jest owym „dzielnym żeglarzem”, co to „nie może się doczekać”! Jakim cudem udało mu się spłodzić ten co prawda rojący się od błędów, niemniej jednak dość zgrabny liścik? Cóż, jeśli spróbuje złożyć jej wizytę na rufie, dopilnuję, żeby został za to wychłostany!

\*\*\*

Pan Prettiman i panna Granham także zjawili się na pokładzie, ale spacerowali wzdłuż drugiej burty, cały czas dyskutując zawzięcie. Panna Granham oświadczyła głośno (chyba po to, abym ją usłyszał), że „jak powszechnie wiadomo” należy przede wszystkim popierać tych urzędników, których jeszcze nie zepsuła korupcja. Pan Prettiman dreptał żwawo obok znacznie wyższej od siebie narzeczonej, kiwając zawzięcie głową dla okazania, jak bardzo podziwia przenikliwość jej intelektu. Z pewnością będzie im ze sobą dobrze, gdyż trudno o dwoje większych oryginałów, ale jedno nie ulega wątpliwości, panno Granham: to panią, a nie pani narzeczonego, postaram się mieć na oku! Przyglądałem się, jak przekraczają białą linię oddzielającą dwa światy i przez dłuższy czas rozmawiają z Eastem i tą bladą dziewczyną, jego żoną. Po powrocie skierowali się prosto ku mnie. Stałem w cieniu płóciennego daszku, który dla wygody pasażerów rozpięto na sterburcie. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy panna Granham poinformowała mnie, że właśnie „naradzali się z panem Eastem”! Dowiedziałem się później, że jest on rzemieślnikiem obeznanym z obsługą prasy drukarskiej, więc przypuszczalnie rozmowa dotyczyła ewentualnego zatrudnienia go przy tym urządzeniu po przybyciu na antypody. Nie zdradziłem jednak ani słowem, jak bardzo interesuje mnie ta sprawa, zacząłem natomiast snuć rozważania na temat przygotowywanego przedstawienia. Pan Prettiman odniósł się do spektaklu z niemal całkowitą obojętnością, podobnie jak odnosi się do większości zagadnień nie związanych bezpośrednio z wyznawaną przez niego filozofią. Ograniczył się do wygłoszenia komentarza, w którym określił Szekspira jako mało wartościowego pismaka, a to dlatego, że tamten zawarł w swych dziełach zbyt mało krytycznych uwag pod adresem absurdalnego porządku społecznego. Zapytałem trzeźwo, czy samo opisywanie ludzkich działań nie jest także unaocznianiem mechanizmów rządzących społeczeństwem, ale on mnie

w ogóle nie zrozumiał! Odnoszę wrażenie, jakby jego bez wątpienia bystry rozum oddzielała od zdrowego rozsądku wysoka i gruba ściana. Natychmiast zaczął ożywioną przemowę, ale na szczęście panna Granham uznała za stosowne przerwać mu, oznajmiając, że ewentualnie można by sięgnąć po „Fausta” tego Niemca Goethego.

- Gdyby nie to, ma się rozumieć - dodała pośpiesznie - że nie sposób oddać ducha oryginału w żadnym innym języku.

- Co, proszę?

- To znaczy, że nie można przetłumaczyć genialnego dzieła na inny język tak, by nie straciło ze swej genialności - wyjaśniła bez śladu zniecierpliwienia, jakby rozmawiała z jednym z aspirantów.

Roześmiałem się.

- Szanowna pani, pozwolę sobie mieć na ten temat odmienne zdanie! Mój ojciec chrzestny przełożył na angielski całego Radnej według znawców jego dzieło nie tylko w niczym nie ustępuje oryginałowi, ale nawet przewyższa go pod wieloma względami!

Oboje wybałuszyli na mnie oczy, a pan Prettiman odparł we właściwy sobie, gwałtowny sposób:

- Zapewniam pana, że to jedynie wyjątek potwierdzający regułę!

- Cieszę się, że podziela pan moją opinię - odparłem z ukłonem.

Złożywszy taki sam ukłon panie Granham odwróciłem się i odszedłem. Wygrałem to starcie, nieprawdaż? Tych dwoje wprost prowokuje swym zachowaniem, by im się przeciwstawiać! Mnie po prostu śmieszają, z pewnością są jednak i tacy, którzy w ich towarzystwie odczuwają głębokie onieśmienie. Właśnie przed chwilą usłyszałem przez drzwi, jak w drodze do salonu panna Granham rozprawiła się z jakimś nieszczęśnikiem.

- Miejmy więc nadzieję, że nauczy się tego na czas!

- Trudno mu odmówić rozsądku, szanowna pani, naturalnie biorąc pod uwagę jego niskie urodzenie i brak wykształcenia.

- Zawsze stara się obrócić wszystko w żart, co nawet czasem mu się udaje, gdyż ma nadzwyczaj zaraźliwy śmiech. Jeżeli jednak chodzi o jego poglądy... Gdybym miała podsumować je jednym słowem, powiedziałabym chyba, że są „przestarzałe”.

Z pewnością rozmowa nie dotyczyła Deverela, który, choć może istotnie zbyt usilnie stara się być dowcipny, to jednak pochodzi z bardzo dobrej rodziny, zresztą niewiele na tym zyskując. Przypuszczam, że raczej chodziło o Summersa.

\*\*\*

Doprawdy nie wiem, jak powinienem o tym napisać. Łańcuch wydaje się zbyt cienki, poszczególne ogniwa za słabe... a jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, że są ze sobą trwale połączone i że wreszcie zrozumiałem, co przytrafiło się żalosemu, pociesznemu Colleyowi. Była noc, a ja, rozdrażniony jak w gorączce („niskiej gorączce”, oczywiście!), wciąż wracałem myślami do tej sprawy, która za nic nie chciała dać mi spokoju. Poszczególne słowa, zdania, a nawet całe sytuacje rozgrywały się na nowo przed moimi oczami i uszami, jeśli wolno mi się tak wyrazić, dopiero teraz prezentując w całej okazałości swoje farsowe, a zarazem tragiczne znaczenie.

Summers skłamał! Nie było żadnego tytoniu! Celowo powiedział nieprawdę, by ocalić honor nieboszczyka!

Rogers, podczas przesłuchania pytający z udawanym zdumieniem: „My coś mu zrobiliśmy, wasza miłość?” A jeśli nie udawał? Jeśli to piękne zwierzę powiedziało nagą, fizyczną prawdę? Wówczas Colley, który w swoim liście napisał, że „człowieka hańbią tylko jego czyny, nie to, co uczynią z nim inni ludzie”... Colley, zafascynowany „królem wyspy”, pragnący paść przed nim na kolana i złożyć mu hołd... Colley, zamknięty pod pokładem w forkasztelu, pijany po raz pierwszy w życiu, nie zdający sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje i ogarnięty szaloną miłością do świata... Rogers wyznał na bukszprycie, że próbował w życiu różnych rzeczy, ale nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby wetknąć prymkę pastrowi! Wynika z tego, że to nie on, lecz Colley, otumaniony i prawie bezwolny, popełnił ów haniebny czyn, którego wspomnienie stało się później przyczyną jego śmierci!

Biedny, po stokroć biedny Colley! Wepchnięty z powrotem między ludzi, od których udało mu się oderwać, uczyniony pośmiewiskiem dla całego statku, zdradzony i opuszczony przeze mnie, jedynego człowieka, który mógł go ocalić, przepełniony życzliwością i oszołomiony jednym lub dwoma łykami rumu...

Nie jestem w stanie zdobyć się nawet na faryzeuszowskie współczucie, gdyż jako jedyny dżentelmen nie widziałem jego upodlenia podczas ceremonii chrztu morskiego. Gdybym był świadkiem tych wydarzeń, może całkiem poważnie wyciągnąłbym do niego rękę, a wtedy...

Napiszę list do panny Colley. Będą w nim same kłamstwa: o pogłębiającej się przyjaźni między mną a jej bratem, o podziwie, jakim go darzyłem, a także o „niskiej gorączce” i rozpaczach, w jakiej pogrążyłem się po śmierci Colleya. W tym liście nie znajdzie się ani jedno słowo prawdy! Cóż, to chyba całkiem niezły początek kariery w służbie Króla i Ojczyzny?

Wierzę, że uda mi się znaleźć jakiś sposób na pomnożenie niewielkiej sumki, jaką ma



otrzymać.

To już ostatnia strona dziennika, ojczy chrzestny, ostatnia strona rozdziału zatytułowanego w tak niezwykły sposób! Przed chwilą przejrzałem pobieżnie zawartość tej książki i przyznam, że to, co dostrzegłem, wprawiło mnie w dość ponury nastrój. Co bowiem udało mi się pomieścić na kartach zamkniętych między pięknie zdobionymi okładkami? Przenikliwe obserwacje? Opisy zabawnych zdarzeń? Perełki humoru? Zrobiła się z tego jakaś morska opowieść, tyle że bez burz, katastrof, akcji ratunkowych na oceanie, starć z nieprzyjacielem, grzmiących salw armatnich, heroicznym czynów ani bohaterskich ataków. Padł tylko jeden wystrzał, w dodatku z fuzji!

Jakież katusze musiał przechodzić ten człowiek! Racine powiedział kiedyś... Ale chyba będzie lepiej, jeśli przypomnę waszej lordowskiej mości jego własne słowa:

*Spójrzcie! Cnota pnie się z mozołem na Olimpu zbocza strome,  
A Zło bez wysiłku bieży ku Hadesu mrocznej toni!*

Tak właśnie mają się sprawy! To dlatego, że Zło nie napotyka na swej drodze właściwie żadnych przeszkód, przeróżni Brocklebankowie tego świata wiodą nędzne, przepite żywoty, budząc odrazę we wszystkich dokoła! Colley był zupełnie inny. Stanowił wyjątek. Tak jak jego podkute buty ciągnęły go w dół po szczeblach drabin łączących mostek z pokładem rufowym, a pokład rufowy ze śródokręciem, tak łyk albo dwa ognistego trunku ściągnęły go w rejony, które potem, po otrzeźwieniu, musiał uznać za najniższy krąg piekła samoupodlenia. Pozwolę sobie wpisać jedno zdanie do niezbyt obszernego tomu zawierającego wiedzę człowieka o Człowieku: Ludzie czasem umierają ze wstydu.

Moja księga jest już zapisana prawie do końca. Zamknę ją zaraz, zaszyję w żaglowe płótno i wrzucę na dno szuflady, którą także zamknę na klucz. Ostatnio mało spałem, za to wiele myślałem, w związku z czym zaczyna mi się trochę mącić w głowie; tak chyba zawsze dzieje się z tymi, co wyruszają w morze, skazani na ciągłe przebywanie w towarzystwie swych bliźnich, a więc i na obcowanie ze wszystkim, co najstraszliwsze pod słońcem.